

Wezmisz czarna kure

PILIPIUK ANDRZEJ



calibre 0.7.28

ANDRZEJ PILIPIUK

Wezmisz czarna kure

2002

Spis tresci:Wezmisz czarno kure

Problemy

Bimbrociag

Dom bez klamek

Drewniany umysl

Dziadek

Lenin

Lenin 2: Cos przetrwalo

Okazja

Ostatnia posluga

Znalezisko

W kamiennym kregu

Ostateczna polisa na zycie

Park Jurasicki

Epilog

ReprywatyzacjaSpowiedz

Titanic

Liverpool 1911

Zbrodnia doskonala

Pogotowie

Dodatek: Spotkanie z pisarzem Wezmisz czarno kure...

Jakub Wedrowycz stal, wpatrujac sie ponuro w swoja niedoszla plantacje malin na Bialej Gorze. Pole dobrane bylo idealnie. Poludniowa ekspozycja, solidnie zasilona obornikiem. Waskie i dlugie. A jaki piekny byl z niego widok. Wzrok wlasciciela mogl sie swobodnie slizgac po calej dolinie. Na lewo widac bylo wysadzana drzewami droge do Huty, dalej majaczyla kapliczka stojaca na rozstajnych drogach. Przed nim, w dole, lezaly Wojslawice. Wyraznie widzial biala sylwetke kosciola i dach bylego ratusza.

Za wsia wznosil sie maszyw Mamczynej Gory oraz Zamczyska i tylko zle dobrany punkt obserwacji utrudnial dostrzezenie wielkiej piaskowni. Na prawo, na linii horyzontu, widac bylo kirkut i pagorki, za ktorymi lezala Troscianka. Jeszcze dalej majaczyl Witoldow, a kepa drzew wyznaczala polozenie jego rodzinnego Starego Majdanu. Daleko. Prawie osiemnascie kilometrow.

Za plecami Jakuba wznosil sie niewielki pagorek, a dalej byl las, poprzecinany licznymi parowami. W lesie znajdowal sie cmentarz z pierwszej wojny swiatowej. A tu byla jego plantacja. Jego niedoszla plantacja. Dziesiec arow malin, wgniecionych w ziemie kolami kombajnu, ktory przejechal tedy, co najmniej cztery razy. Owoce opadly w wiekszosci na ziemie. Niektore krzaczki uniknely losu swoich braci, lecz niewiele ich zostalo.

-Podłosc ludzka nie zna granic - powiedział w przestrzen.

Jego nieletni syn Marek podniósł się z ziemi, gdzie badał ślady.

-Maliny zebrali najpierw z grubsza do wiader, a później pojechali kombajnem. Sadze, że nie po to, aby ukryć ślady, ale to jedyna droga wtedy.

-Droga!?

-Przepraszam, tato. Miałem na myśli, że to jedyny równy kawałek pola. Ten bydlak nie mógł przejechać polną drogą obok, bo ryzykowałby zerwanie bebną. Pojechał na skróty. Idziemy na milicję?

-Nie. Weźmiemy zemstę we własne ręce.

Na skraju pagórków, od strony lasu, pojawił się Józef Paczenko siedzący na swojej klaczce. Po chwili podjechał do nich.

-Ślady ciągną się, aż do pola Jopka, które jest slicznie skoszone. Podobnie jak dwa sąsiednie. W jeden dzień na pewno nie dał rady. Musiał tu szaleć, co najmniej trzy dni.

-Cholera i nikt mnie nie zawiadomił - zdenerwował się Jakub. - Żeby ich tak diabli wzięli. Jak im jestem potrzebny, to jak sarenki do wodopoju, a tak to kamieniami. Rzucają kłody pod nogi. Na każdym kroku.

-Nu, nie denerwuj się. W gminie są dwa kombajny. A to myślę, że była "Vistula" Scierskiego. Job, jego matery!

-A to swinia. Swinia, co kiedyś był kolega.

-Nu, i co ty będziesz robił?

-Zajdziem go we dwu i przetrzepiemy mu gnaty. Ja na milicję chodzić nie będę.

-Za dobrze cie tam znają. Chorocho. Pojdzim we dwu, przetrzepiemy mu skóre i co z tego wyjdzie? Obijem gówno, a będziemy odpowiadać jak za człowieka. Jeśli chcesz, to oczywiście ja zawsze z tobą.

-Ty Józef boisz się sprac jednego faceta? A pamiętasz jak we wojnę szlachtowaliśmy Szwabów jak wieprzki?

-Wojna to coś innego. Lepiej będzie zrobić mu jakieś subtelne kuku.

-Kuku? Subtelne...

Naraz Jakub urwał, tknięty nagle myślą. Twarz jego rozjaśnił szczerzy, szeroki, słowiański uśmiech.

-Jak subtelnie? - zapytał. - Co miałeś na myśli?

-Podpalimy mu stóg, albo i stodołę.

-Równie dobrze mogłbym się pod tym podpisać! Wiesz, kogo gliny będą podejrzewać w pierwszej kolejności? Mnie. Nie zapominaj, ile czasu siedziałem za ukraińską partyzantkę. Ale z tą subtelnością to miałeś dobry pomysł. Masz trochę bimbru? Tego mocnego?

-Dla ciebie zawsze. Ile ci trzeba?

-Dziesięć litrów.

-Duzo, ale znajdzie się. Wpadnij do mnie wieczorkiem. Po dojeniu.

Pozegnali się i Józef pojechał na swojej klaczce w dolinę. Jakub i Marek obserwowali go przez chwilę.

-Dlaczego nigdy nie używa siodła?

-Sam go zapytaj. Konie go lubia. Zresztą, jego ojciec Anzelm, też był dziwny. Ważne, że odleje mi spirytu.

-Po co ci aż dziesięć litrów?

-Zobaczysz. Subtelnie. Zemsta musi być subtelna.

Rozesmiał się ponurym rechem, którego nauczył się w więzieniu od najbardziej zatwardziały kryminalistów. Sto metrów dalej poderwało się stadko kuropatw spłoszonych tym dziwnym dźwiękiem. Ich kon zastrzygł niespokojnie uszami, choć powinien już przywyknąć. Wsiadli na wóz i pojechali do domu.

Gdy tego wieczora Jakub zaszedł do zagrody Paczenków, dobiegало właśnie końca wieczorne dojenie. W oborze panował dziwny niepokój. Kon przestępował z nogi na nogę, to znów uspokajał się.

-Co z nim? - zapytał Józefa.

-A nerwowo trochę. Siadaj i poczekaj, już kończę. Pociągnął jeszcze kilka razy strzyki i klepnął krowę w zad. Zdjął z wiadra gazę i wycisnął pianę do niewielkiego kubka. Następnie przeszedł z nim w kat obory, gdzie wlał jego zawartość do niklowanej rurki sterczącej z polepy.

-Na co to robisz? - Zdziwił się Jakub, który pochlebiał sobie, znac wszystkie miejscowe zabobony.

-Jakby to powiedzieć, dla kotów w piwnicy. Bidne, głodne kotki.

-Masz piwnice pod oborą? - Józef wzruszył ramionami.

-Czy to ważne. Chodź do chalupy. Należy ci bimbru. - Poszli.

Wewnątrz domu panował nieład, znac było brak kobiecej ręki. Jak to u wdowca. Wdrapali się na strych, gdzie spora część pomieszczenia zajmował solidny kociol i system rurek, tudzież kilka kadzi z zacierem.

-Nie boisz się, że ci spadnie na łeb, której nocy?

-Ni, solidna chalupa. A sufit sam stawiałem. Wytrzyma. Podłoga posypana była warstwą piasku. W tym piasku leżały butelki pełne ciecży. Jakub podniósł jedną z nich i popatrzył przez nią na zachodzące słońce, widoczne w niewielkim okienku.

-Lepszy niż Józefa.

-Pewno. Ja dbam o swój żoladek. Potrójnie destylowany. O kumpli też dbam. To na łapówkę?

-Jako honorarium.

-Ty nie wynajmuj żadnych lepków do łamania mu kości. Sypna się przy pierwszej okazji. Sami możemy to załatwić.

-Ja nie lepków. Mówiłeś "delikatnie" i ja nad tym myślałem. I mam pomysł pierwszej klasy.

-Skoro tak, to daj plecak.

Załadowali go do pełna, a potem jeszcze sprawdzili, czy samogon na pewno jest dobry. Sprawdzanie zaczęło się od małej dawki, w której dawało się wyczuć jakiś obcy posmak, potem przyszła kolej na większą dawkę dla dokładniejszego zbadania obcej domieszki. Dawka ta okazała się jednak niewystarczająca. Dopiero nad ranem udało się ustalić, że zapewne jest to dodatek "pryty" z jabłek, która wcześniej znajdowała się w tych butelkach, ale ostateczne zweryfikowanie tej hipotezy przyjaciele odłożyli na inną okazję.

Chata Karwowskiego leżała daleko od Uchan, na wzgórzu, koło przejeźdu przez "Herbapol" palacu. Jej lokator najwyraźniej nie życzył sobie kontaktów z mieszkańcami wsi, a oni równie mało życzyli sobie kontaktu z nim. Z "Herbapolem" toczył wojnę podjazdową, milicja nekąła go za prowadzenie "pokatnej praktyki paralekarskiej", a ludzie rzucali w niego kamieniami. Edward Karwowski był bowiem znachorem. Ponadto zajmował się wroźbiarstwem i kilkoma naukami pokrewnymi. Podobno umiał też rzucać uroki, choć tego oczywiście nikt nie był w stanie sprawdzić w sposób jednoznaczny.

Owszem, gliniarze, którzy go nachodzili, cierpieli potem na świerzb i biegunkę, a jeden nawet wylysiał, wyjątkowo często psuły im się zęby i radiwozy, a dwa razy splonął posterunek, ale ostatecznie jakieś dziesiętnastowieczne choroby każdemu mogą się przytrafić, a komenda może się zapalić z wielu powodów. Podobnie każdy weterynarz może naukowo wyjaśnić utratę mleka u krow, a higienista powstawanie koltunów na głowach miejscowych plotkarek. Nieurodzaj dotyczący wybiórczo pol jednych rolników, podczas gdy sąsiednie rodzily wysokie plony, zapewne był kwestia umiejętnego nawożenia, a gradobicia też się ostatecznie zdarzają, choć fakt dokładnego wycelowania w pola pegeeru może być już, na ten przykład, nieco zastanawiający.

Jakub Wedrowycz stanął przed chatą i rozejrzył się po okolicy. Nie podobało mu się to miejsce. Było zastanawiające. W promieniu dwudziestu metrów od chaty gleba była wypalona na suchą glinę. Sterczały z niej smętne pozostałości jakichś budyli. Wyglądało to jak mały kawałek pustyni, rzuconej w świat lasów i pol pagorów Chelmskich. Zjawisko było tym bardziej dziwne, że raptem dwanaście godzin wcześniej nad okolicą przeszła burza z piorunami i wszędzie wokół stały kaluże wody. Dom chylił się ku ziemi. Powtykane w glebę patyki, obwieszane kolorowymi szmatkami, klekotały ponuro, uderzając o siebie. Zdobiała drzwi krowia czaszka, obwieszona paciorkami, skłaniała do refleksji. Jakub zapukał.

-Zjeżdżaj - dobiegł go ze środka starczy głos.

-Wybacz mistrzu, że cię nachodzę, ale mam ważną sprawę - zaczął.

Z wnętrza dobiegł dźwięk oznaczający, że mieszkaniec rzucił w drzwi butem.

-Mam prezent - dodał.

Wewnątrz panowała przez chwilę cisza.

-Ktos ty? - dobiegło wreszcie pytanie zabarwione ironią.

-Jakub Wedrowycz ze Starego Majdanu. Egzorcysta - amator. Byłem już tu kilka razy, ostatnio cztery lata temu...

-Wejdz but łaska.

Wszedł. W chacie panował potworny smród. Z boku pomieszczenia znajdowało się palenisko. Dalej stało zapadnięte łóżko. Na wprost od wejścia królowało potężne, ciężkie biurko z całą pewnością ukradzione z pałacu. Obok znajdował się rozwalony regał, a na nim kilka rozsypujących się książek. Koło biurka stał dumnie wyprostowany niewysoki staruszek w garniturze. Garnitur zapewne także był kradziony, na oko sadząc, jeszcze przed pierwszą wojną światową i od tego czasu ani razu nie widział prania.

-Nu i czego ty, ha? - zapytał czarownik skrzekliwym głosem. - Ty od duchów, ja od czarów. Na nauce fachu przyszedłeś?

-Nie. Mam problem z jednym złośliwym typem. Potrzebna mi twoja wiedza.

-Hy! Znaczący, co? Chcesz go otruc?

-Nie. Chcę na niego rzucić urok.

Staruszek zaśmiał się złośliwie.

-Urok? Toś dobru trafili. Co chcesz? Gorączkę mogę, i sraczkę, i świerzb, i włosów wypadanie, nawet zgnilca mogę mu zadać.

-Co ty. Na to są leki. Muszę zaszkodzić jego maszynom. Pojeździł mi kombajnem po polu.

-Znasz ty, gdy uroki były pisane, to jeszcze maszyn nie było, ani ani. Receptę mogę ci podać, ale czy będzie dobru, to nie powiem.

-Podaj. Spróbuj.

-Zara, zara. Ty mówił, że jest u ciebie dla mnie podarek. Jakub wyjął z plecaka dziesięć butelek i ustawił je rzadkiem na stole. Czarownik złapał jedną. Odkorkował i pociągnął z lubością kilka łyków.

-Gut - wyraził swoje uznanie. - Trzydziestu procent jak obszył.

-No, co ty. Pełne osiemdziesiąt. Mów receptę.

-Nu, dobra. Weźmiesz czarno kure...

Noc była pogodna. Widac było wszystkie gwiazdy. Droga mleczna przecinała niebo swoim łukiem. Ziemia powoli oddawała, zgromadzone podczas długiego, upalnego dnia, ciepło. Gdzieś daleko ujadły psy. Dwa cienie przemieknęły się bezszelestnie rowem. Rozległo się gdakanie kury. Odpowiedziały mu głosy innych kur, zamkniętych w kurnikach. Gdkanie nasiliło się, a potem nagle umilkło.

-Tutaj? - rozległ się stłumiony szept.

-Tutaj - uspokoil go drugi. - Dawaj lom.

Zaskrzypialy odrywane od plotu sztachety. Po chwili dwa cienie wslizgnely sie na podworze. Pies otworzyl pysk, aby zaszczekac, ale w tym momencie jeden z nocnych gosci przylozyl mu do pyska kawal szmaty nasaczonej eterem. Pies szarpnal sie kilkakrotnie i znieruchomial. Dwa cienie podpelzly pod drzwi. Jakub zaczal kreslic kreda, na kawalku betonu, skomplikowane symbole. Wreszcie zapalil zapalke i w jej swietle przez chwile porownywal sporzadzony rysunek ze swoja pamiecia.

-Fertyg - powiedzial wreszcie.

Jozef przelknal nerwowo sline.

-Nie wiem, czy to zadziala?

-Zobaczymy.

Wydobyl z koszyka czarna kure, urznal jej glowe brzytwa, po czym starannie zachlapal rysunek krwia.

-Uhur hakau seczech - powiedzial z namaszcczeniem. - Oby ten, ktory tu mieszka, nigdy nie dojechal swoim kombajnem na pole.

W tym momencie na pietrze otworzylo sie z rozmachem okno.

-Ha, zlodzieje! - wydarl sie Scierski.

-Chodu - wrzasnal nie mniej poteznie Jakub.

Obaj czarownicy rzucili sie do uciezki. Gospodarz wygarnal z dubeltowki w powietrze i stracil nastepne dziesiec minut na szukanie nabo i ponowne jej nabijanie. Nim skonczyl, obaj przyjaciele byli juz daleko.

-Wywal to - powiedzial Jozef, patrzac na trzymany przez Jakuba bezglowy zezwlok.

-No, co ty? Dobra kurka. Zjemy na sniadanie.

Ciezko los doswiadczył Mariusza Scierskiego. A bylo to tak. Nastepnego dnia rankiem wsiadl na kombajn i ruszyl w pole, gdzie mial umowiona robote. Pech chcial, ze dwadziescia metrow od bramy gospodarstwa strzelila mu prawa detka. Kolo zupełnie sflaczalo. Wrocil wiec do domu po traktor, zeby nim sciagnac kombajn z powrotem na podworze. Niestety, w czasie gdy uruchamial traktor, nadjechala ciezarowka prowadzona przez pijanego kierowce i zwalila kombajn do rowu. Uruchomienie pojazdu zajelo mu czas do wieczora, a urozmaiczone zostalo wycieczka do kolka rolniczego, gdzie musial wyzebrac odpowiedni lewarek oraz wizyta faceta, z ktorym byl umowiony na koszenie pola, a ktory to obil mu twarz i inne czesci ciala, a nastepnie opuscil jego posesje, zabierajac ze soba wplacona wczesniej zaliczke.

Nastepnego dnia zdolal przejechac az kilometr, po czym pekla mu tylna os. Sprowadzenie nowej z Lublina trwalo rowno tydzien i wymagal wreczenia trzech lapowek, w tym dwu calkowicie bezproduktywnie. Wreszcie, gdy znowu ruszyl na pole, na szosie pojawil sie drugi w gminie kombajn, nalezacy do kolka rolniczego.

Szosa byla dosyc waska, ale przeciez wielokrotnie juz sie na niej mijali. Scierski mial dobre oko i tym razem tez prawie mu sie udalo. Wyladowal w rowie. Potrzebna byla pomoc mechanika. Zniwa dobiegaly konca, gdy ponownie ruszyl na szose. Tym razem dojechal bez przeszkod na pole i zaczal kosic. Gdy dotarl do polowy, zapalila sie sloma wewnatrz pojazdu.

Usilowal walczyc, przez kilka minut, z rozprzestrzeniajacym sie ogniem za pomoca gasnicy, ale wysilki jego okazaly sie bezowocne. Kombajn po krotkotrwalym pozarze zakonczyl zywt efektownym wybuchem, ktory z kolei podpalil lezacy pokos slomy i stojace na polu zboze. Prawdopodobnie splonelaby cala okolica, gdyby nie to, ze jakos bardzo szybko niebo zaciagnelo sie chmurami i spadl deszcz. Ludzie zaczeli jakos dziwnie omijac jego zagrode, a po calej gminie rozpelzly sie glupie plotki o czarach. Przez pare tygodni byl spokoj, a potem zaczely sie wykopki.

Pech, strawiwszy kombajn, zajal sie dla odmiany jego traktorem. Zaczelo sie niewinnie, od zerwania paska klinowego, nastepnie zatarl sie silnik, ale prawdziwy ubaw nastapil kilka dni pozniej. Z niewiadomych przyczyn zablokowal sie pedal gazu i jednoczesnie odmowil posluszenstwa hamulec. Traktor, ciagnac wyladowana burakami przyczepe, staranowal brame skupu i wyrznal w podstawie poteznego silosu. Scierski cudem uniknal wypadku, wyskakujac w pore.

Zlosliwy los sprawil jedynie, ze wpadl na slup od linii wysokiego napiecia, osunal sie na zalegajaca w poblizu slupa sterte

gnijących kartofli, wybil sobie siedem zębów i złamał reke. Silos był wyjątkowo solidnie wykonany i teoretycznie nawet uderzenie rozpedzonego czołgu nie powinno zrobić mu krzywdy, jednak na skutek uderzenia traktora przewrócił się jak długi i rozwałił na kawałki. Przez następne trzy lata, w tym miejscu, na wiosnę wyrastały samosiejki pszenicy.

Odbył się proces, ale nie udało się udowodnić celowego staranowania silosu, więc Mariusz otrzymał wyrok w zawieszeniu i skierowanie na badania psychiatryczne, bowiem podczas procesu wyrzaskiwał coś niezrozumiałego o klatwie i o tym, że zemści się na kims. Nie udało się ustalić, kogo miał na myśli. Z obserwacji wypuszczono go po miesiącu, stwierdzając, że wprawdzie jest to człowiek wyjątkowo zabobonny, ale nieszkodliwy dla otoczenia.

Jakub karmił własnie swoje świnki, gdy ktoś stanął w drzwiach obory. Poznał Scierskiego.

-Wejdz do środka, bo wyziebisz całe pomieszczenie - powiedział niezyczliwie.

Gość wszedł.

-I czego chcesz, ha?

-Jakub, ty na mnie rzuciłeś klatwę.

-Nie klatwę, tylko urok, poza tym, co za pomysł? Czyja wyglądam na czarownika?

-Tylko ty byś potrafił. Może jeszcze stary Karwowski z Uchan, ale on nie żyje, bo już nawet jeździłem sprawdzić, czy by mi nie pomógł i nie odczynił...

-A co mu się stało?

-Ponoc wypił na raz dziesięć litrów samogonu i szalał po wsi, aż wreszcie ktoś pokazał mu lustro i starzec padł na swój widok jak rążony piorunem.

Jakub poczuł swędzenie sumienia i podrapał się w tym miejscu po głowie.

-Nu i co dalej?

-Odczyn urok. Już nie mogę tak żyć. Jutro chce wiać zboże.

Mrugnął i niezdarnie zaczął wciskać Jakubowi koperte. Ten wziął i zajrzał ciekawie do środka. Wewnątrz było sześć miesięcy spokojnego życia.

-Niech ci będzie - zgodził się łaskawie. - Dostarczysz dzisiaj jeszcze następujące rzeczy...

Noc Jakub i Józef spędzili pracowicie. Zarznięli białą kure dostarczoną przez gospodarza, powyrzaskiwali w przestrzeń magiczne formułki.

-A ty, lachmyto najpierw pomyśl dwa razy, zanim pojedziesz na skroty przez czyjaś plantacje - wrzasnął Jakub, gdy już było po wszystkim.

Dwaj czarownicy z godnością opuścili niegospinną ziemię. Następnie udali się do gospodarstwa Wedrowiczów, gdzie upiekli kure i delektowali się nią, popijając młodym winem.

-Tak swoją drogą to, kiedy znajdował ty czas, żeby majstrować mu przy kombajnie? - Zapytał nieco już podpity Józef.

-No, co ja miałem majstrować. Rzuciliśmy urok. Nie pamiętasz?

-Pierdoly. Ni ma uroków.

-Teraz już nie będzie. Karwowski nie żyje.

-W ogóle nie było. Żyjemy w dwudziestym wieku.

-Haj, żywie dwudziesty wiek.

Uniesli szklanki do wschodzącego słońca...

Problemy

Ludzie mają różne problemy. Niektóre z tych problemów spoczywają w ziemi. I to jest naturalne, a zwłaszcza po wsiach. Można nawet powiedzieć, że liczba spoczywających w ziemi problemów przekracza tam średnią krajową. Była sobie pewna wioska. Nazwa jej właściwie nie jest do niczego przydatna, bowiem mogło się to wydarzyć gdziekolwiek, ale wydarzyło się właśnie w Wojsławicach. Wioska ta nie była duża, ale dość ludna. A tam, gdzie są ludzie, tam są i problemy. Oczywiście każdemu coś jego. Fiszek miał w ogrodzie pogrzebana teściową, Hryniewicz miał pod stodołą zakopanego starszego brata (poszło o spadek po ojcu, który zakopany był wprawdzie na cmentarzu, ale za to w jego organizmie występowało tak wysokie stężenie arsenu, że nawet robaczki go nie chciały jeść). Biliński miał zakopaną na ogrodzie skrzynię pieniędzy po pradziadku, której, nawiasem mówiąc, szukali od trzech pokoleń i to bezskutecznie.

Ponadto w większości murowanych domów w ścianach i w piwnicach znajdowały się zamurwane problemy. O ile wioska była naszpikowana problemami, o tyle szczególne ich zagęszczenie występowało w gospodarstwie starego Józefa Paczenki.

Siedem problemów z czasów okupacji i okresu utrwalania władzy ludowej spoczywało w jego ogrodzie i wachowało kwiatki od spodu. Problemy miały rany od broni palnej i siecznej, i nie żyły. Trochę problemów zakopano w stodole. Problemy te można określić grubszą jako broń palna i amunicja do niej. Na strychu chałupy znajdował się niewielki problem w postaci kotła i systemu rurek służących do skraplania problemów lotnych. Skroplone problemy trafiały do butelek. Pare, wyjątkowo dokuczliwych problemów w błękitnych mundurach, mieszkało w domu po drugiej stronie plotu. Ale zasadniczy problem spoczywał głębiej w ziemi...

Był zimowy wieczór. Na dworze wiał wiatr i sypał śnieg. W taką pogodę Józef nie wysciubił nosa za prog. No chyba, że akurat musiał przejść się do wygodki. Ale na razie nie musiał. Siedział sobie wygodnie i słuchał radia. A konkretnie - Wolnej Europy. Zresztą, jego radio odbierało wszystkie stacje jakie tylko mogli wymyślić. To też wiązało się z tym głównym problemem. W drugim fotelu siedział, pociągając z lubością nieoczyszczony bimber prosto ze słoika po dzemie, miejscowy pozał się Boże egzorcysta - amator Jakub Wedrowicz.

Niespodziewanie miły wypoczynek przerwało im pukanie do drzwi. Józef wyłączył radio, a Jakub wetknął dłoń za pazuchę, gdzie przechowywał zazwyczaj bagnet służący mu do krojenia różnych rzeczy. Gospodarz otworzył. Na progu stał Tomasz Ciesluk, stary znajomy obywatel. Odetchnęli z ulgą. Słoik z bimbrem wrócił na stół, a Józef ponownie włączył radio.

-Nu i co cię sprowadza? Ha? - zapytał.

-Ukradli mi jałowkę - powiedział Tomasz. - Dopiero co wróciłem z miasta. Są ślady samochodu, ciężarówki.

-Wiesz kto? - zaintrygował się Jakub, od niechcenia sprawdzając stopień naostrzenia majchrą.

-Ba, żeby to wiedział. Dlatego przyszedłem do was. Ty Józefie kiedyś znalazłeś jakąś szkapę przez zamawianie.

-Aha. Ale potrzebuje czegoś związanego z tą krową i nie mogę dać gwarancji.

-Mam od niej kolczyk. Wystarczy?

-Powinno.

Dłoń starca zacisnęła się na plastikowej plakietce.

-Jutro rano dam ci znać. Siadaj, odpocznij. Chcesz lyka?

-Chętnie. Zdenerwowałem się.

Józef przyniósł z kuchni musztardówkę i słoik typu wek wypełniony metnym płynem.

-Nu zdrowia.

Gość lyknał trochę i przez chwilę usiłował złapać oddech.

-U cholera. Co to jest? Politura?

-A co? - obraził się Józef. - Nie smakuje?

-Ognisty, ale lepiej by było przedestylować jeszcze raz.

-E, na cholere.

Gosc dopil i odstawil musztardowke na stol.

-Cos na zakaske? - zapytal.

Podsuneli mu ogorki. Zjadl jednego razem ze skora, potem pozegnal sie i poszedl.

-Dawno cie mialem zapytac - odezwal sie po chwili milczenia egzorcysta. - Jak to wlasciwie jest z tym twoim zamawianiem?

-A klade sie spac z przedmiotem pod glowa i na rano wiem.

-Tak po prostu?

-Aha.

Na marginesie musimy nadmienic, ze kit, ktory Jozef wcisnal przyjacielowi, nie bral sie z braku zaufania. Po prostu zobligowano go kiedys do zachowania tajemnicy. Jakub posiedzial jeszcze chwile w cieple, a potem wsiadl na motor i pojechal do domu. Jozef nastawil budzik na trzecia nad ranem i podreptal jeszcze do stajni. Sterczala tu z ziemi poniklowana rura, na ktora nasadzono kiedys nocnik, zeby do srodka nie sypaly sie paprochy. Staruszek zdjal naczynie, a potem wpuscil do srodka kilka jajek podebranych kurom. Teraz wystarczylo tylko cierpliwie poczekac. Jakies piec godzin.

Zasadniczy problem, ktory od kilku pokolen trzymal jego rodzine w tym miejscu, spoczywal gleboko w ziemi pod stajnia. Problem mial sto dwadziescia metrow srednicy, ponad dziesiec grubosci i byl edonickim statkiem kosmicznym. O ile wszystkie pozostale problemy byly latwe do wykopania i likwidacji, o tyle ten byl w zasadzie nierozwiazwalny. Rura w stajni byla z nim scisle zwiazana. Do tej rury po kazdym dojeniu aktualny wlasciciel wlewal kubek mleka. Nie mial pojecia, w jakim celu tak robi, ale jego ojciec powiedzial kiedys, ze tak trzeba, wiec robil. A od czasu do czasu wrzucal kilka jajek.

Byl ze statkiem umowiony w ten sposob, ze jesli wrzucal jajka, statek pozwalal mu zejsc w dol i pogadac. Poniewaz staruszek nie lubil tam zlazic, statek rzadko mial jajka do jedzenia. Jozef obudzil sie przed switem, czujac w glowie jakies dziwne mrowienie. Wstal i ubral sie cieplo. Bardzo cieplo, bowiem na dworze bylo dwadziescia stopni mrozu, a on mial juz swoje lata. Lyknal na rozgrzewke maly lyczek wodka i wyszedl w zadymke.

-Ojobjeho materyl - zaklal, patrzac na zdumiewajace zjawisko, jakie czekalo go tuz za progiem.

Ziemia byla rozgrzana i parowala lekko. Na jego podworku, za plotem u sasiadow, i dalej na ich ogrodzie nie bylo nawet grama sniegu. W powietrzu unosila sie ciepla, wilgotna mgla. Na lace za szopa widac bylo krawedz wielkiego kola rozgrzanej ziemi. Dalej lezal snieg.

-Idiota - powiedzial pod adresem statku.

Statek odebral jego mysl. Odpowiedzial mu telepatycznie.

-Ujemna temperatura, panujaca na zewnatrz twojego schronienia, nie sprzyja wlasciwemu funkcjonowaniu twojego ciala. Pragnieniem moim bylo, abys nie doznal niewygod zwiazanych z twoja sprawa.

-Kij ci w oko - powiedzial Jozef. - Wylacz ta grzalke, bo jeszcze sie ktos obudzi i bedzie dekonspiracja!

Ziemia przestala parowac. Trwalo to sekundy. Zanim doszedl do szopy, cala woda zostala zamieniona w snieg. Nie zwyczajnie zamrozona, ale scieta w jakis inny sposob. Czarny krąg rozmnozonej gleby zatarl sie, a potem przestal byc widoczny. Podniosl z zaciekawieniem garsc sniegu do oczu. W swietle rzucanym przez latarnie stojaca na ulicy snieg nie roznil sie niczym od zwyczajnego.

-Niezle - powiedzial z uznaniem.

-Staram sie - odpowiedzial statek w jego glowie.

W kacie szopy Jozef odwalil na bok stare lozko i zaczal kopac motyka w twardej jak skala ziemi. Szlo mu to opornie, gleba byla zmrozona.

-Pomoc? - rozleglo sie w jego glowie.

-Jesli nie sprawi ci to problemu...

Gleba zaczela parowac i ciagu kilku minut stala sie miękka. Jednocześnie poczul sie lżejszy. Praca stala sie czysta

przyjemnością. Ziemia wazyła tyle co puch, podobnie jak lopata. Wystarczyło jednak, że odrzucił ją trochę dalej, a opadała w dół szybciej niż normalnie.

-Sprytnie - powiedział. - Jak to robisz?

-Ekranuje częściowo grawitację. Pracuj sobie, nie przejmuj się. I tak masz zbyt niski iloraz inteligencji, żeby zrozumieć, jak to robie.

-Pies ci bozke lizal - odgryzł się kopiacy. - Wcale nie jesteś taki mądry, jak ci się wydaje.

-Jozefie, cywilizacja Edon trwała o całe eony dłużej niż ziemską.

-I co z tego? Zdaje się, że jesteś tu zakopany. I nie możesz się wykopać. I gdzie te zdobycze techniki, które pozwoliłyby ci wrócić do siebie? Żeby już nie wnikać, jaki błąd popełniłeś, że się tu zaryles.

-Nie dorosłeś jeszcze do krytykowania wyżej od ciebie stojącej cywilizacji.

-Wydaje ci się, że jesteś taki mądry. Wiesz, co mogę zrobić? Przestane ci wlewać to mleko do dziurki co wieczór i zobaczymy jak długo pociągniesz.

-Długo. Az znajdzie się ktoś inny.

Pracował. Wkrótce odsłoniło się wejście. Józef odważył włączyć. Zaraz za nim, w korytarzu, leżeli trzej esesmani. Tak jak wtedy, gdy w pogoni za nim wbiegli na pokład statku. Mieli otwarte oczy, ale nie oddychali. Statek zatrzymał dla nich czas. Gdyby się teraz obudzili, nie pamiętaliby, że spali. Ominął ich obojętnie. Zdażył się już do nich przyzwyczaić, jak do grzyba na ścianie.

-Mogłbym ich wypuścić - zaproponował statek. - Z ochotą podetną ci gardło. To chyba leży w waszych zwyczajach?

-Masz pojęcie o naszych zwyczajach, jak ślepy o kolorach - odgryzł się. - A tylko spróbujesz ich wypuścić, to wleje ci do rury swojego bimbru. I co wtedy zrobisz, niemoto?

-Najpierw cie załatwia. Tak się tutaj mówi?

-Tak. Ale nie załatwia, bo zglupieją. Wychodzą z piwniczki, a tu jest inny świat. Jeśli faktycznie czas dla nich stoi, to mogą być niezłe zaskoczeni. Zdechnij ich wreszcie, po co nam oni?

Statek milczał. Starzec przeszedł po lekko nachylonej podłodze do sporej sali. Od ostatniego razu, przed dwoma laty, nic się tu nie zmieniło. Podłoga pokryta była kiedyś złotą folią, ale dawno nie zostało po niej śladu. Ostatecznie minęło tyle pokoleń, a za coś trzeba pic. Jego dziadek wykrecił spore diamenty, służące do jakichś tam celów, z takiej jednej maszyny. Dla niego nie zostało prawie nic. Owszem było kilka siedlisk wykonanych z czystego niklu, ale statek coś zrobił się skąpy ostatnimi czasy i nie pozwalał spylic ich na złom.

Dziwaczne urządzenia polyskiwały w ciemności. Pośrodku unosiła się spora, czterowymiarowa konstrukcja. Gość omijał ją starannie, wzrokiem. Patrzenie na nią groziło całkowitym pomieszaniem zmysłów.

-Włącz światło, co? - zagadnął.

Zapaliło się światło. Nie było widac jego źródeł, ale w sali pojaśniało. Za to w całej wsi przygasły latarnie. Mechanizmy pojazdu przeszły z biegu jałowego w stan pełnej gotowości. Organiczno - cybernetyczny mózg sprawdził wszystkie sekcje. Był gotów.

-Pełna gotowość - zameldował.

W całej wsi ludzie ocknęli się ze snu, czując nieznośne swędzenie między uszami. Większość jednak zaraz ponownie zapadła w sen. Na cmentarzu na wpol zmumifikowane ciała poruszyły się w swoich grobach. Na okolicznych łąkach zakwitły trawy. Zakwitły niestety pod śniegiem, toteż nikt nie zauważył tego ciekawego i pouczającego zjawiska. Nadwyżki energii wyciekły przez pęknięcia w burtach. A były to bardzo dziwne rodzaje energii, w większości nieznanie ziemskiej nauce.

-Nie pieprz o pełnej gotowości - powiedział zrzędliwie staruszek. - Jakbyś miał pełną gotowość, to byś stąd piorunem odleciał.

-Mozna spróbować.

Pojazd zatrzęsł się lekko. W całej wsi rozhistotały się lampy. Drobne zaburzenia grawitacyjne obaliły na ziemię paru pijaczków chlających w gospodzie. Niestety, nikt nie miał włączonego telewizora, bo akurat leciał japoński film erotyczny ściągnięty niechcący, z dość odległej kapitalistycznej przyszłości, przez anomalie czasoprzestrzeni. Woda w studniach zagotowała się. Piasek na głębokości kilku metrów pod statkiem scieło na marmur, co teoretycznie przynajmniej, było z naukowego punktu widzenia niemożliwe. Miedziane druty od wysokiego napięcia stały się na chwilę nadprzewodnikami.

-Ty lepiej się uspokój, bo mi zabudowania poniszczysz takimi wstrząsami.

Drzenie ustalo.

-Czasami myśle, że mogłbym odlecieć - powiedział statek. - Gdybym wam wyłączył elektryczność na jakieś dwa tygodnie...Taka ilość energii wystarczy, żeby dolecieć na geostacjonarną, a tam krazy nasza cysterna z paliwem na powrót...

-Jakby przez dwa tygodnie nie było prądu to skapowaliby, że coś jest nie tak. Ciebie by wykopali i rozebrali na części, a ja bym poszedł siedzieć. A co do tej cysterny, to Rusy na pewno dawno ją znaleźli i zabrali.

W powietrzu pojawiła się trójwymiarowa projekcja. Przedstawiała równinę, z której sterczały budynki, zbliżone kształtem do konskich zębów wetkniętych niewłaściwa strona. Pomiedzy nimi baraszkowały dziwaczne stwory, wyglądające jak skrzyżowanie malpoluda z osmiornicą i motylem. Obok nimi biegały koniopodobne koszmary.

-Dobra, dobra - powiedział Józef. - Nie wciskaj mi takich kitów. Świetnie wiem, że leciales stamtąd setki lat. Trawa zwiedła przez ten czas, a te malpiszony wyzdychały. Coś tam słyszałem o ewolucji.

-To wspaniała cywilizacja. Fakt, że nie odpowiadają na moje sygnały nie oznacza wcale, że ich tam nie ma. Może to ja jestem za bardzo uszkodzony.

-Gdyby byli, to by przylecieli. Chyba, że mają cię gdzieś. Jakby mi się traktor całkiem rozgracił, to bym go zostawił na polu.

-Pamiętaj, że pierwszy z twojej rodziny miał te właśnie geny. Rozbiliśmy się na tej planecie. Większość zmarła od tutejszych zarazków. Reszta musiała zmienić strukturę genetyczną. Jesteś potomkiem tych konio-malpiszonów.

-Pierdoly. Rykalem się, zrobiłem syna. I gdzie te obce geny?

-Sa uspięne. Można je wywołać. Twój organizm jest mocniejszy od zwykłego ludzkiego, inaczej dawno już byś nogi wyciągnął od tego cuchnącego gazu, który z takim upodobaniem w siebie wlewasz, rujnując swój umysł.

-Juz ty się o to nie boj. Pije za swoje. Człowiek wykorzystuje dziesięć procent swojego mózgu, więc resztę może przeznaczyć na alkoholizm.

Obraz zmienił się. Miedzy chałupami pluskały się w gnojowce świnię.

-Tak, wiem. Wylądowaliście tu przed trzystu laty. Twierdzisz, że przylecieliście nas oświecić, ale mi się widzi, że w rzeczywistości to chcieliście sobie nalapać niewolników, bo tam na Edonie nie chciało się wam już robić za bezdurno. Ale coś nie skłapowało. Dobra. No to naucz mnie czegoś. Jak robić bimber z trocin na przykład.

-Moje instrukcje pozwalają mi przekazywać wiedzę tylko istotom o odpowiednim ilorazie inteligencji.

-Znaczy masz mnie za głupiego?

-Mozna to tak w uproszczeniu określić.

-Ty sukinsynu!

Statek milczał. Chyba był obrażony. O ile wiedział, co to znaczy być obrażonym. Józef wyciągnął z kieszeni krowi kolczyk.

-Poszukalbys czegoś dla mnie? - zapytał.

-Fige, jak się mawia w tych stronach.

-No wiesz! Moja rodzina haruje na ciebie od pokoleń, a ty takie siupy? Przyjacielskiej przysługi odmawiasz?

-Dobra, dobra, o co chodzi?

-Rabneli krowe mojemu kumowi. Kapujesz?

-Rozumiec. Masz probke DNA?

-Ze dna stawu nic nie bralem. Masz tu kolczyk z jej ucha. Moze na nim cos bedzie.

Ze sciany wystrzelila macka. Zlapala kolczyk i wciagnela go gdzies w bebechy pojazdu. Jozef podszedl do miejsca, gdzie znikla i obmacal gladka powierzchnie.

-Niezle - powiedzial. - Fajna sztuczka.

-To nie sztuczka. To nauka - zaprotestowal pojazd. Wyswietlil mapę okolicy, trojwymiarowa projekcje z lotu ptaka. Po chwili wykonal zblizenie na jeden z domow.

-Krowa nie zyje. Mieso znajduje sie tutaj w dwu lodowkach - powiedzial. - Wystarczy?

-Zrob zblizenie na tabliczke z numerem - polecil starzec.

Czasami ludzie narobia sobie problemow. Na przyklad ukradna krowe sasiadowi i zarzna ja po cichu. Stali we trzech na zasypnym sniegiem podworzu Marcina Bardaka. Jakub, Jozef i oczywiscie Tomasz. Mieli ze soba wszystko, co bylo potrzebne, to znaczy problemy wykopane w stodolach. Jozef nacisnal guzik dzwonka. Odpowiedzialo mu milczenie. Nacisnal jeszcze raz. Marcin obudzil sie w swoim plugawym barlogu.

-Kto tam, k...twoja mac? - zapytal, gramolac sie z wyra.

Jakub od niechcienia dotknal drutem do bieguna baterii. Kostka trotylu wyrwala drzwi razem z framuga.

-Zupelnie jak w czterdziestym czwartym - zauwazyl Jozef, repetujac pepesze.

Wpadli do chalupy we trzech. Bardak byl wyraznie nie w nastroju do przyjmowania wizyt.

-Wypierdalac! - wrzasnal.

Tomasz przeciagnal mu seryjka po kredensie i nowiutkim telewizorze.

-Gdzie moja jalowka scierwo? - zapytal.

-Nie bralem zadnej jalowki!

Jozef otworzyl lodowke. Wewnatrz tkwila na sztorc cwiartka cielaka.

-To, co to jest?

-Nigdy mi tego nie udowodnicie! Kazdy sad mnie uniewinni.

-Prawie kazdy - powiedzial Jakub, od niechcienia rozstrzeliwujac rzadek garnkow.

-Plac pieciokrotna wartosc krowy i to juz, bo inaczej...- znaczaco, delikatnie nacisnal spust.

-Zaraz tu bedzie cala wies!

-To bedziesz mial gosci na pogrzebie.

Zaplacil dopiero, gdy postrzelili video.

Gdy czlowiek nie ma innych problemow, slucha bzdurnych audycji radiowych, a potem stara sie poskladac uzyskane wiadomosci do kupy i stresuje sie tym. Od nagrzanego pieca wialo cieplem. Dwaj starcy, Jakub i Jozef siedzieli w fotelach i sluchali przez radio audycji o UFO. Jakub nie mogl sie nadziwic.

-Cholera i pomyslec tylko, ze przylatuja w talerzach takie male, zielone sukinsyny.

-Pies ich tracal.

-Tak swoja droga, to chcialbym takiego dorwac.

-I co bys z nim zrobil?

-A kozikiem pod zebro. Na co nam tacy na naszej planecie? Malo to mamy bez nich problemow? Mozna by potem sprawdzic, co taki ma w kioskach. Zawsze to ciekawe.

-...Tak wiec, wobec zgromadzonego materialu wydaje sie, ze kosmici to istoty dosc sympatyczne i szukajace przyjacielskich kontaktow z ludzmi - powiedzial prowadzacy audycje.

-Tez cos. Zielone paskudztwo, pewnie miedzygwiazdne wampiry - wsciek sie egzorcysta.

-...Pozostaje nam miec nadzieje na przyjacielskie kontakty trzeciego stopnia. Oni z pewnoscia takze do tego daza...

Jozef usmiechnal sie. Popatrzył na kumpla, który własnie machal nozem. Puscil do niego oko i dolal mu bimbru. Spojrzal w zadumie na swoje przedramie. Blekitne zyly byly dobrze widoczne. Pulsowaly lekko w rytm uderzen jego serca. Jesli faktycznie plynela w nich krew koniopodobnych zwierzakow z planety Edon, to chyba byl na dobrej drodze, jesli chodzi o nawiazywanie przyjacielskich kontaktow z tubylcami. Bimbrociag

Przejscie graniczne kolo Hrubieszowa nie wygladalo specjalnie imponujaco. Po stronie ukrajskiej terminal urzadzono wykorzystujac stary dom przewoznikow. Po stronie polskiej walnielo spory hangar i takze murowany budynek dla pogranicznikow. Granica przebiegala przez srodek Bugu. Oba brzegi polski i ukrajski laczył lekki, metalowy most opierajacy sie na drewnianych palach. Z polskiej strony brzeg rzeki zabezpieczala porzeczniawa, metalowa siatka rozpieta na poprzekrzywianych ze starosci drewnianych palach. Po drugiej stronie z wody sterczaly betonowe kloce i wietrzejace skorupy bunkrow. Na slupach zrobionych z szyn kolejowych rdzewialy cale tony drutow kolczastych. Od czasu upadku Związku Radzieckiego nikt nie konserwowal umocnien. Na przejscie od radzieckiej strony wyjechala czarna, porzeczniawa nieco wolga.

Jakub Wedrowycz, Pawel Skorlinski i Josif Kleszczak lezacy w krzakach na pagorku sto metrow od terminalu jak na komende wlozyli w uszy sluchawki podczepione do mikrofonu kierunkowego i przylozyli do oczu solidne wojskowe lornetki.

Na dachu Wolgi znajdowala sie ladna, drewniana trumna. Z budki wyszedl celnik.

-Dokumenty - polecil.

Dwaj Ukrajscy siedzacy w wozie podali mu przez okienko paszporty.

-A to, to co? - zainteresowal sie, klepiac burte trumny. - Nasz przyjaciel zmarl w Polsce - wyjasnil jeden z podroznych - wieziemy trumne, by sprowadzic jego zwloki do ojczyzny. Tu zrobil odpowiednio zbolala mine.

-Sprytnie to wykombinowali - powiedzial Kleszczak do Jakuba.

-Znasz ich? - zaciekawil sie Skorlinski.

-Ta...Mychajlo i jego brat...rowne chlopaki...Tymczasem celnik nakazal podrozny m wysiasc z auta.

Po kilu minutach trumna stala na asfalcie. Wachman podniosl wieko. Wewnatrz spoczywala setka butelek ukrajskiej wodka.

-Znakomity pomysl - pochwalil celnik, a potem zabral sie za wypisywanie papierow do rekwizycji. - Tyle tylko, ze wiecie chlopaki, to juz przed wami wymyslono.

Podal im z powrotem papiery. Wolga wjechala do Polski. Celnicy wniesli trumne wraz z zawartoscia do budynku. Po chwili trzej wspolnicy mogli obserwowac dalsze losy ladunku. Urzednicy oprzeczniawali kolejne butelki, lejac ich zawartosc do paszczy poteznego silosu o pojemnosci, co najmniej 10 tysiecy litrow, zas trumna spoczela pod wiata na sporym stosie innych trumien. Puste butelki trafily do kontenera jakiejś firmy zajmujacej sie recyklingiem odpadow szklanych.

-Kurde - mruknal Jakub. - A wiec mowiles, ze jaki planujesz interes?

-Mam po tamtej stronie cysterne gorzelnianego spirytusu - wyjasnil Kleszczak. - Przetoczylem ja w nocy do starej cegielni, zaledwie trzysta metrow od rzeki. Spirytus moze spuscic po dolarze za litr...

-Wchodze w to - powiedzial Skorlinski. - Tylko jak cholera sforsowac ta przekleta rzeke...

Jakub spokojnie badał lornetką łagodnie wijący się nurt.

-Most pontonowy - podsunal. - Wojska inżynieryjne położą go w godzinę...

Kleszczak pokręcił głową.

-Az takich dojdę to ja nie mam...Zresztą, nie da się dojechać cysterną od naszej strony. Zapory przeciwczołgowe to raz, poza tym mogą być miny...A i wasz brzeg wysoki. Cysterna nie podjedzie. Zresztą, nie opłaci się, taki most to kupę forsy kosztuje.

Zamyslili się.

-Trzeba będzie tradycyjnie - mruknął Jakub. - Alkohol w kanistry i łódka...

-Trzeba by zrobić ze sto kursów - westchnął Skorlinski...

-Nie, niekoniecznie - zaprotestował Wedrowycz. - Na łódce wejdzie 300 litrów, przetrzucimy to w maksymalnie dziesięciu ratach. Popatrzcie na tamto zakole. Nie zobaczą nas ani z posterunku, ani ze stacji...Od polskiej strony droga jest blisko...A i od waszej wygodnie można się przemknąć nad samą wodę, między tymi rozwalonymi bunkrami...

-To ma ręce i nogi - przyznał biznesmen.

-A spiryt będziemy chować w tej szopie - Wedrowycz wskazał przechyloną mocno, drewnianą budę z zapadniętym dachem.

-Łódka odpada - mruknął Kleszczak. - Ale mam wojskowy ponton. Silnik też by się znalazł...

-Zadnych silników. W nocy, po wodzie dźwięk niesie się daleko...A ja już pływałem przez Bug...- egzorcysta uśmiechnął się do swoich wspomnień.

Milczeli przez chwilę.

-Jest karawana - ucieszył się Ukrainiec.

Faktycznie, na granicy pojawiły się cztery, nieco zdezelowane samochody marki UAZ, wypełnione jego ludźmi. Odprawa celna poszła gładko, wachmani sprawdzili jedynie, czy w detkach na pewno jest powietrze a nie spirytus, a w chłodnicach na pewno woda, a nie spirytus.

-Tylko frajerzy przemycają w kołach - mruknął Kleszczak - przecież to by potem na kilometr śmierdziało. A i gumie szkodzi takie rozpuszczanie...

Celnicy nakłuli siedzenia drutami do robotek sprawdzając, czy wewnątrz nie ma, zamiast gabki, woreczków z alkoholem. Oględziny wypadły pomysłnie. Kierowcom zwrócono paszporty i kawalkada ruszyła.

-To co, jutro po twojej stronie? - zapytał Jakub.

Ukraiński biznesmen powoli skinął głową.

-Jutro. Spotkamy się w warsztacie.

Karawana przejechała bezpiecznie. Przemysłnik odetchnął z ulgą.

-No i tona surowca jest - mruknął ucieszony. - Czas na mnie.

Uściskali sobie dłonie i ruszył ku podnożu wzgórza, gdzie zaparkował swojego rozsypującego się ze starości mercedesa. Po chwili dogonił wolno jadącą karawanę i poprowadził ją szosą na Chelm.

-W zasadzie można by i na tym poprobować spółki - mruknął milczący dotąd Skorlinski.

-Ma już swoich odbiorców - pokręcił głową Jakub.

-Poza tym nie masz pieca martenowskiego.

-A, no nie mam - westchnął biznesmen. - A jechać z towarem aż do Warszawy, trochę daleko...Może się po drodze

rozsypanie...

Na przejście wjechała na rowerze strasznie gruba kobieta. Wyjęła z kieszeni paszport. Dwaj celnicy podkradli się od tyłu i jak na komendę zaczęli dzgać ją drutami.

Spod obszernego płaszcza na wszystkie strony trysnęły cienkie strumyki spirytu z porzebijanych prezerwatyw. Jakub zaśmiał się ponuro. Po chwili szczupłutka kobieta w za dużym płaszczu stała pośrodku sporej, szybko parującej kaluży...

Skorlinski westchnął

-Boję się, żebyśmy nie skończyli tak jak ona - mruknął.

-Mam i pomysł legalnego biznesu - mruknął Jakub.

-Zupełnie legalnego?

Egzorcysta strzepnął z kurtki niewidoczny pyłek.

-Prawie - uscislił.

Na przedmieściach Rawy Ruskiej znajdowała się stara, opuszczona wiele lat temu fabryczka. W miasteczku nazywano to miejsce "Warsztatem". Zwykli ludzie wiedzieli, żeby się tu nie zapuszczać, a gliniarze byli przekupieni. Zresztą, Kleszczak nie był frajer i w zasadzie wszystko, co robił, było na tyle zbliżone do granic prawa, że w razie czego był w stanie przekupić siedzącego naprawdę niewielką sumą...Z zewnątrz fabryczka ozdobiona była szyldem "Warsztat naprawy pojazdów". Jakub zastukał w bramę.

-Przepustka - warknął uzbrojony w kalasza strażnik.

Egzorcysta popatrzył mu głęboko w oczy. Wachman zastygł.

-Przepraszam - wykrztusił.

Automatycznym ruchem otworzył drzwi i wpuszczał Jakuba do środka. Na rozległym podwórzu trwała zwyczajna, gorączkowa krzatanina. Cały jeden kat zapelniał zdezelowane, radzieckie samochody. Na czterech rampach jednocześnie technicy grzebali pod podwoziami, nadając im pozory sprawności. Malolaci z palnikami zrezygnowali z karoserii. Wewnątrz hali huczały ponuro prasy tłoczące elementy nadwozia. Jakub przeszedł kilka kroków. Dwaj technicy właśnie spawali z wytłoczonych odpowiednio, grubych, miedzianych, blach karoserie Wolgi. Nadzorca z katalogiem w ręce oceniał na oko ich pracę. Druga karoseria była akurat lakierowana na sąsiednim stanowisku. Kilka kolejnych stało pod wiatą i suszyło się. Tu krecili się malolaci instalujący boczne listwy, szyby, lusterka...Wreszcie na końcu linii technologicznych osadzano karoserie na podwoziach. Tu przechodziły jeszcze jedna, drobiazgową kontrolę.

-Nieźle fabryka - Jakub odgadł bez trudu, że jego przyjaciel stoi za nim.

-A co - mruknął z dumą Kleszczak. - Dziesięć samochodów dziennie idzie przez granicę. Łącznie cztery tony miedzi, zysk 300% na każdym...To już nie te czasy, że się odlewało z metali kolorowych zderzaki czy felgi. Dzisiaj liczy się ilość. Tylko hurtownicy mogą się utrzymać w biznesie...

Egzorcysta pokiwał głową. Na punkcie lakierowania wtoczono Moskwicza. Ten dla odmiany Isnil nieziemskim blaskiem.

-Złoto? - zapytał.

-Gdzie tam, mosiadz. Złota się nie oplaca, ceny po obu stronach są podobne...

-Szkoda - mruknął egzorcysta, widząc, jak lakiernicy pokrywają złocistą blachę brylantowym lakierem - ładnie świeci...

-A, no co zrobić. Biznes jest biznes...nie wiem, jak długo jeszcze potrwa, zanim mnie wykryją...Gotów?

-Jasne.

Wsiadł do Jeepa Cherokee. Tu u siebie Kleszczak nie musiał się maskować. Pojechali w stronę przejścia granicznego. Kilometr od terminalu zakreślił w bocznej, polnej drodze i po kilkunastu minutach zatrzymali się przed zrujnowaną cegielnią. Weszli do środka. W nozdrza uderzył ich niebieski zapach spirytusu gorzelnianego, wypędzonego z ukraińskich kartofli. Faktycznie w dawnym piecu do wypalania cegieł stała potężna cieżarówka - cysterna. Z tylnego spustu aromatyczna stróżka sypiała do dwudziestolitrowego kanistra.

Dwaj ludzie Kleszczaka zasalutowali. Jakub wyjal z kieszeni manierke i postawil pod strumien. Napelniwszy, pociagnal solidny lyk.

-Dziewiecdziesiat dwa procent - ocenil.

-Kurde, znowu mnie w gorzelnii oszukali - wsciekli sie biznesmeni - mialo byc dziewiecdziesiat piec...

-Pierwsze 300 litrow gotowe do przerzutu - zameldowal jeden z pracownikow.

-Dobra, niescie nad rzeka - rozkazal szef.

Zmierzch zapadal powoli. Egzorcysta zakasil pieczonym burakiem.

-Poradzisz sobie sam? - zaniepokoil sie jego przyjaciel.

-Pewnie - podniosl z kata drag do odpychania lodki.

Woda sprawiala wrazenie czarnej jak atrament. Noc byla bezksiezycowa. Lekkie chmury, ktore wiatr przygnal przed wieczorem, zaslanialy chwilami gwiazdy. Pomiedzy dwoma klocami betonu, zatopionymi tuz przy brzegu, kolysal sie ciezki, wojskowy ponton desantowy o wypornosci, co najmniej tony. Do jego konca przywiazana byla linka rdzeniowa, zdolna utrzymac dowolny ciezar. Jakub bedzie musial wioslowac tylko w jedna strone. Z powrotem Kleszczak i jego ludzie po prostu go sciagnal. Gdyby prad wody porwal egzorcyste, takze nie bedzie problemow, by przyholowac go do bezpiecznego brzegu. Kanistry okrecono szmatami, aby nie brzezaly. Spirytus wypelnial je az po wrebry wlewow, co eliminowalo chlupotanie zawartego w nich eliksiru.

-Gotow? - zapytal szeptem ukraiński biznesmen.

-Jasne - Jakub skoczyl do pontonu

Z przeciwnego brzegu rzeki ktos zaswiecil latarka. Trzy krotkie blyski. Droga wolna, wrogowie daleko. Spokojnie odepchnal sie dragiem. Dno opadalo lagodnie, trzymetrowa tyczka w zupelnosci wystarczala. Wyplynal na srodek nurtu. Zakole. Instykt podpowiedzial mu, ze cos jest nie tak. Woda wokolo niego robila sie podejrzanie bura. Pojedyncze gwiazdy swieczace na niebosklonie przestaly sie w niej odbijac. Skads naplynela fala ciezkiego, trupiego odoru. Jakub skoncentrowal sie. Nieoczekiwanie cos szarpnelo za drag. Egzorcysta natychmiast go puscil. Dal znak do tyłu, aby Kleszczek sciagal go z powrotem. Nagle w burcie pontonu wczepilo sie kilka par zielonkawych, plamistych rak i swiat fiknal koziolka. Jakub natychmiast zanurkowal do dna i szybkimi ruchami ramion pomknal w strone polskiego brzegu. Po ukraińskiej stronie huknal wystrzal karabinowy, a po chwili cala seria. Pod woda slychac bylo je slabo. To Kleszczak przyszedl mu z pomoca...

Egzorcysta ciagle plynal. Nieoczekiwanie cos zlapalo go za kostke. Wyprowadzil druga noga energiczny kopniak i poczul z satysfakcja, ze jego stopa miazdzy rozpuchle oblicze wroga. Dwie oslizgle dlonie wpily mu sie w gardlo. Ciachnal nozem, odcinajac jedna w nadgarstku. Oslepiajacy bol w udzie. Dno pod nogami. Zerwal sie i zaczerpnawszy gleboko powietrza, brnal w strone brzegu. Skorlinski pospieszyl mu na pomoc. Wbiegl w wode po piers i dzielnie walil saperka. Tymczasem po ukraińskiej stronie obudzili sie pogranicznicy. W nocnym powietrzu daleko niosl sie ryk silnikow terenowych samochodow. Jakub nie ogladal sie. Kleszczak sobie poradzi.

-Kurde, krwawisz jak swinia - mruknal biznesmen, taszczac przyjaciele na brzeg.

Rozcial szybko drelichowe spodnie i oswietlil rane latarka. Gwizdnal cicho przez zebry. W udzie egzorcysty tkwil grot dzidy wykonany z kosci.

-Kurde, co sie tam stalo? - zapytal.

-Utopce - wyjasnil ponuro Wedrowycz.

-To wiem...No jednego, co najmniej, w kark dziabnałem...Tylko dlaczego?

-Znalazly sobie okazje do wyrownywania porachunkow...Wyrwal oscien i kulejac, dowlokli sie do samochodu.

Tu pospiesznie opatrzyli rane i nie wlaczajac swiatel, odjechali.

Kleszczak przyjechal rankiem. Jakub lezal w swojej chalupie i uzupelnial piwem nocna utrate krwi. Czul sie podle.

-Dobrze widzialem? - zapytal. - Topielaki cie dorwaly?

Jakub kiwnal ponuro glowa.

-Kurde - mruknal ukraiński biznesmen. - Slabo je widac w noktowizorze, ale jednego z kalacha dziabnałem...

-Dzieki...

-Przepadł nasz spiryt i kanistry - westchnal Skorlinski siedzacy na lawie w kacie. - Cholera by to wziała...300 litrow poszło...

-Fatalnie - westchnal Kleszczak. - Jak sadzisz Jakub, duzo ich tam siedzi?

Egzorcysta wychylil kolejny kufel. Jego twarz odzyskiwała juz normalne kolory.

-Moze byc nawet kilkadziesiat...Sciagnales ponton?

-Tak, podziurawiony jakby rogami.

-Czyli maja tez krowolaki - mruknal Jakub. - No krowy, co sie potopily - wyjasnil, widzac, ze nie rozumieja. - Mozna by sprobowac gluszyc granatami...Duzo roboty, miejsce fatalne, a i efekty slabe...

-Fatalnie - powiedzial Kleszczak, bo ja mam juz kolejna cysterne. Trzeba cos innego wymyslic.

-Egzorcysta poskrobal sie po glowie.

-Pomysl jest...- powiedzial. - Tylko, ze potrzeba by z pol kilometra stalowej linki i pol kilometra szlauchu.

-Da sie zalatwic - Kleszczak kiwnal glowa. Cos jeszcze?

-Harpunik...

-Bedziemy polowac? - ucieszyl sie Skorlinski - Smierc utopcom...

-One juz nie zyja - Wedrowycz zdobyl sie na smutny usmiech. - Nie, z nimi porachunki wyrownamy przy innej okazji...Teraz jest robota, nie warto sie rozpraszac. Aha. Lopaty tez beda przydatne. Ale ze dwa dni musze wypoczac...

Przeplukal rane na nodze kubkiem bimbrow. Na szczescie, topielce nie zatruly ostrza...

Na granice wjechal tir - chlodnia. Kierowca podal celnikowi paszport, listy przewozowe i deklaracje celna. Wachman spokojnie przeczytal.

-Poltusze wolowe z Uzbekistanu - mruknal. - O, to tam sa krowy?

Kierowca usmiechnal sie na potwierdzenie.

-Otwieraj klape - polecil celnik.

Zaskrzypialy stalowe wierzeje, z wnetrza ladowni powialo arktycznym zimnem. Celnik zaswiecil latarka.

-Mialy byc poltusze, a tymczasem sa cale woly - mruknal. - Sprawdzic...

Jego dwaj podkomendni wskoczyli do srodka i wyciagneli jedna, zamrozona krowe. Zawyla szlifierka katowa, tylko tak mozna bylo rozpilowac miecho zamrozone w temperaturze - 40°C. Z wnetrza wypatroszonego brzucha sypneli sie paczki ukraińskich papierosow.

-Co to niby jest? - celnik zapytal kierowce.

-Nie mam pojecia - zelgal Rosjanin. - Wrogowie podrzucili...

Trzysta metrow nizej, w dol rzeki, Jakub ustawil nieduzy wielorybiczny harpun na trojnogu. Wycelowal w ukraiński brzeg i wystrzelil. Ostrze pomknelo nad woda, ciagnac za soba stalowa linke. Z ponurym tapnieciem wbito sie w rosnaca po tamtej stronie wierzbe. Kleszczak wyszedl zza betonowych blokow i odczepiwszy linke od harpuna, pociagnal w swoja strone.

Zapadł zmierzch. Na granice wjechal tir. Celnik dluzsza chwile badal list przewozowy.

-Kartofle do Doniecka? - zdziwil sie.

Kierowca powaznie pokiwal glowa. Wachman wyjal z kieszeni krotkofalowke i wywolal posterunek po drugiej stronie.

-Hej molojcy - zagadnal po ukrainsku. - Kartofle u was w sklepie sa, po ile?

-Po jakies pol hrywny - wyjasnil Ukrainiec.

-Dzieki - celnik wylaczyl nadajnik.

-No, to wyjasnij mi robaczku taka rzecz - zwrocil sie do przewoznika. - Skoro u nas kartofle sa po czterdziesti groszy, a u nich po dwadziescia, to dlaczego wieziesz je na Ukraine, zamiast od nich do nas?

-Ja nic nie wiem - wyjasnil kierowca. - Kazali to wieze.

-No, to do dzieła - celnik wreczyl mu lopate. - Zwal tone do rowu, zobaczmy, co masz tam pod ziemniaczkami...

Kierowca splunal ponuro.

-Cala tone.

-Wlasnie.

-Calutka?

-Co do kartofla.

-Tyle roboty? - mruknal - To ja sie lepiej od razu przyznam...Mercedesa tam w ziemniakach rabnietego zakopalismy...

Celnik wystukal numer na komorce.

-Hrubieszow? Przysylajcie ekipe, trzeba bedzie zapudlowac jednego obywatela...

Pol kilometra szlauchu siegnelo akurat od cegielni Kleszczaka do szopy po polskiej stronie.

-Kurde, Jakub jestes geniuszem - powiedzial Skorlinski. - Tylko jak to przepompujemy? A i cysterne musze sciagnac...

-Spoko. Zaraz bedzie moja ekipa - usmiechnal sie egzorcysta.

W piec minut pozniej, kolo szopy, zaparkowaly woz strazacki i szambiarka.

-To pewni ludzie, zawioza ci spiryt, gdzie tylko zechcesz - wyjasnil wspolnik.

Dwaj strazacy podczepili pompe do wylotu rurki i szybko napelnili zbiornik.

-Dobra, zawiezcie pod ten adres w Lublinie - Skorlinski podal im wizytowke. - Tam wam zaplaca, zaraz zadzwonie...

Strazacy odjechali bez slowa. Teraz miejsce wozu zajela szambiarka.

-Cholera - mruknal biznesmen, patrzac nieufnie na pojazd.

-Spokojnie - Wedrowycz poklepal go po ramieniu - umylismy instalacje Ludwikiem. A spirytus i tak wszystko odkaza...Zreszta, co sie lamiesz, nie my bedziemy to pili...

-Racja - biznesmen usmiechnal sie szeroko. - Do roboty chlopaki.

Zahuczala pompa i zbiornik powoli zaczal sie wypelniac. Jakub wyjal z kieszeni komorce.

-No i jak tam - zapytal Kleszczaka pilnujacego cysterny po drugiej stronie granicy.

-Spadlo cisnienie - zameldowal ukrainski biznesmen. - Nie ciagniecie?

-Kurde, jak to nie? - zdumial sie egzorcysta. - Caly czas pompa idzie.

Machnal reka. Obsluga szambiarki wylaczyla silnik. Jakub odczepil rurke i pociagnal ostroznie lyk. Szlamowata, cuchnaca

mulem woda z Bugu.

-O karwia - zaklal.

-Co sie stalo? - zaniepokoil sie Pawel.

-Zasrane utopce przeciapaly nam bimbrociag! Ciagniemy wode z rzeki, a nie spiryt!

Pobiegł na brzeg i po chwili wydobyl z wody poszarpany koniec szlauchu.

-Tym razem toscie przesrali - warknal.

Gdzies w trzcinach rozległ sie ironiczny rechot.

Na posterunek graniczny wjechal volkswagen. Wyszli z niego staruszek w garniturze i mlody czlowiek (tez w garniturze) z aktowka. Celnik wytrzeszczyl na nich oczy.

-Kim wy u licha jestescie?

-Głowny Urząd Cel - mlody czlowiek pokazal legitymacje - Komisja do spraw likwidacji skonfiskowanych towarow.

Celnik zasalutowal.

-Głowny technolog utylizacji alkoholu - przedstawil sie staruszek, okazujac lipna legitymacje. - Prowadzcie do zbiornika.

Celnicy poslusznie doprowadzili obu wspolnikow do silosu.

-Stopien napelnienia? - zapytal Jakub.

-Osiem tysiecy litrow - zameldowal celnik. - Mamy jeszcze dwa tysiace rezerwy...

-Stezenie?

-Wedlug pomiarow okolo siedemdziesiat procent...

-Czystosc?

-Lalismy jak leci. Wedle instrukcji wszystko razem, wodka, koniaki, spirytus, moldawskie wina...

-W porzadku. Wykopac row do Bugu i oproznic zbiornik.

-Tak po prostu do rzeki? - zdumial sie celnik. - Przeciez taka ilosc alkoholu...Zaniknie zycie biologiczne.

-Zniszczenie takiej ilosci alkoholu innymi metodami jest niemozliwe - powiedzial Jakub. - Mozna oczywiscie go spalic, ale to potrwa miesiacami...Poza tym moze wybuchnac...

-Nie daloby sie jakos bardziej ekologicznie? - zasepil sie kierownik przejscia.

-Najbardziej ekologicznym sposobem zniszczenia takiej ilosci wody byloby jej wypicie - powiedzial falszywy technolog i usmiechnal sie do swoich mysli.

-Osiem tysiecy litrow? - zdumial sie celnik.

-No i sami widzicie, ze sie nie da. Kopac row i do roboty.

Czterej celnicy wykopali kanal w niespelna trzy godziny. Jakub osobiscie odkrecil spust. Alkohol poplynal struga wprost do granicznej rzeki.

-Prosze wypelnic protokol - Skorlinski podsunal zbaranialym celnikom papiery. Zaczeli podpisywac.

Dwie godziny pozniej, kilometr w dol rzeki, ukraiński biznesmen Kleszczak wyprowadzil dwudziestu swoich ludzi na brzeg. Zgodnie z przewidywaniami Wedrowycza tu wlasnie, na mieliznie, osiadly pijane utopce i nieprzytomne krowolaki. Josif rozdawal podwladnym gazurki i kije bejsbolowe.

-Nikt nie będzie niszczył bezkarnie bimbrociagów! - powiedział. - Wykonajcie to ścierwo.

Wody rzeki zabarwiły się posoka... Dom bez klamek

Gdzieś pośrodku miasta Chelma stały nieduże domki. Za nimi wyrastała niewielka gorka. Pomiedzy domkami rozposcierał się plac, a na placu wznosił się budynek sadu. Budynek był nowy, wielki i wspaniały. Sala sądowa, też wielka i wspaniała, była tego dnia prawie pusta. Nie tak jak za dawnych dobrych czasów, gdy ławki dla świadków wypełniali kumple Jakuba. Zamiast nich siedziało kilku studentów prawa z kajetami i dyktafonami w rekach. Sędzia też siedział i miał już dość. Ostatecznie spotykali się dwudziesty raz. Gliniarze z Wojślawie zajmujący miejsce dla świadków byli zmęczeni.

Posterunkowy Birski wyglądał wręcz fatalnie. Wieloletnia wojna podjazdowa z Jakubem Wedrowyczem uczyniła go zgorzkniałym. Sam Jakub, mimo że dobiegał czterdziestki, wyglądał rześko. Nawet zbyt rześko. Był całkowicie pewien siebie. Przecież człowieka w jego wieku nie posadza do ławki. Oparł brode na nadgarstki i słuchał w skupieniu mowy oskarżycielskiej. Zarzucano mu, jak zazwyczaj, pedzenie samogonu. Jakub nie miał adwokata. Zawsze sam tłumaczył się ze swoich postępów. Sędzia popatrzył na niego z odrazą. Gdyby choć raz mógł wydać wyrok uniewinniający i wysłać tego smietnikowego dziada tam, skąd przyszedł.

-Czy oskarżony przyznaje się do winy? - zapytał wreszcie, gdy przebrzmiały słowa prokuratora.

Jakub przywołał na twarz szeroki, szczery, słowiański uśmiech. Złote zęby wypełniające jego usta zabłysły w półmroku sali sądowej.

-Nie przyznaje się do zarzucanego mi czynu - powiedział niemal radosnie.

-Co oskarżony ma na swoje usprawiedliwienie?

-Wysoki sędzie, nawet w najgorszych czasach stalinowskich, państwo pozwalało obywatelom produkować wino w domu. Pod warunkiem, że robili je na własny użytek.

-Zgadza się.

-Tak więc nie złamałem prawa. Po prostu robiłem sobie wino z cukru.

Studenci rozesmieli się, ale zaraz umilkli.

-Co na to powiedzą świadkowie oskarżenia? - zagadnął sędzia, zezując w niedwuznaczny sposób na posterunkowego Birskiego.

-Wysoki sędzie - zaczął gliniarz. - Po pierwsze nie słyszałem nigdy o winie z samego cukru...

-Pożyj tak długo jak ja, to nie takie rzeczy poznasz - powiedział Jakub zyczliwie.

Właściwie to nawet lubił tego tepego glinowinke.

-Po drugie zas, wysoki sędzie, analiza wykonana alkometrem wykazała, że to jego wino miało osiemdziesiąt procent alkoholu.

Z ławek, gdzie siedzieli studenci, rozległy się stłumione dźwięki, jakby ktoś się krztusił. Sędzia popatrzył w tamtą stronę surowo.

-Proszę zachować spokój albo opuścić salę - zagroził. Dźwięki umilkły.

-Proszę o głos - zdenerwował się Jakub.

-Udzielam.

-Po pierwsze nigdzie nie jest powiedziane, że nie może być wina mocniejszego niż wódka. Po drugie...

-Proszę o możliwość ustosunkowania się do słów oskarżonego - zezwał prokurator.

-Udzielam. Dalsze argumenty przedstawi pan panie Jakubie za chwilę, o ile zajdzie taka potrzeba.

-Czy oskarżony wie, co to jest? - oskarżyciel podniósł ze swojego stolika jakiś przedmiot.

Wioskowy egzorcysta popatrzył na niego ze zdziwieniem.

-No książka. Gruba książka.

-Czy oskarżony widzi ze swojego miejsca jej tytuł?

-Encyklopedia. Szesty tom. Czy ten obezjajec prokurator ma mnie za głupiego? - zwrócił się z pytaniem do studentów.

Nie mogli odpowiedzieć, bo trzymali twarze pod ławkami.

-Proszę zachować spokój, bo będę musiał wyznaczyć grzywnę za używanie wobec sądu wyrażen obrazliwych - odezwał się sędzia.

-Wobec tego proszę wyznaczyć - zaproponował Jakub, ale kolejny wyglup pominięto milczeniem.

-Czy wie pan, co to jest encyklopedia?

Oskarżony poskrobał się po głowie, udając zadumę.

Illekroć drapał się po głowie, robił to w sposób przywodzący na myśl starego, wyleńskiego szympansa.

-Jak się czegoś dokładnie nie wie, to można tam poszukać odpowiedzi - powiedział wreszcie. - To taka bolszewicka Biblia.

Trzech studentów musiano wyprowadzić z sali.

-Znakomicie. Proszę teraz posłuchać: Wino - napój alkoholowy (8-22% alkoholu) otrzymywany w wyniku fermentacji alkoholowej miazgi lub soku winogron a także innych owoców (wina owocowe). Czy oskarżony zrozumiał tę definicję?

Jakub poczuł się niepewnie. Było to u niego rzadkie uczucie. Ostatni raz doświadczył go jakieś czterdzieści lat temu, gdy motor jego kumpla po rozłożeniu na części i złożeniu z powrotem do kupy jakos nie chciał działać.

-Oczywiście, co nie znaczy, że przyjmuje ją do wiadomości.

-Sąd uda się na naradę - powiedział sędzia i opuścił salę.

Wzrok Jakuba spotkał się ze wzrokiem posterunkowego. Patrzyli sobie przez chwilę w oczy. Oczy Jakuba były jak porcelanowe kulki z wymalowanymi tęczówkami i zrenicami. Nie wyrażały nic. Większość krow w Wojsławicach miała bystrzejsze spojrzenie. Mimo to Birski nie mógł znieść tego wpatrywania się. Nie był pewien, czy jego wrog go widzi, ale gdy spuścił oczy, na jego twarzy spostrzegł wyraz pogardy. Wyraz ten zaraz zniknął, ustępując obojętności. Wrócił sędzia.

-Sąd uznał oskarżonego winnym wszystkich zarzucanych mu czynów. Jednocześnie, mając na uwadze zaawansowany wiek oskarżonego, zmuszony jest zrezygnować z umieszczenia go w więzieniu.

Jakub uśmiechnął się, a Birski zrobił się czerwony jak burak.

-Biorąc jednak pod uwagę wysoką społeczną szkodliwość czynów oraz ogólny stopień zdemoralizowania oskarżonego, sąd postanawia skierować go na dożywotnie przebywanie w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym.

-Co? - zdziwił się Jakub.

Posterunkowy Birski zerwał się z miejsca i zaczął rechotać tak straszliwie, że sędzia przez chwilę myślał, czy i jemu nie przydałoby się parę tygodni obserwacji "w wariatkowie".

-Dwadziesiąt lat - krzyknął policjant. - Dwadziesiąt lat staran i oto udało mi się posadzić tę swolocz na dobre.

Sędzia przywołał go do porządku, a potem odetchnął z ulgą. Jemu także było miło, że nie będzie musiał więcej mieć do czynienia z tym parszywym typem. A potem popełnił błąd. Popatrzył na podsadnego. Oczy Jakuba Wedrowicza straciły swoją obojętność porcelanowych kulek. Patrzyły z totalną, zimną nienawiścią. Sędzia odniósł paskudne, natretne wrażenie, że w tych oczach odbijają się pożary wzniesione wiele lat temu, gdy Jakub jeszcze nie pozbył się paskudnego nawyku palenia gospodarstw swoich wrogów.

-Przysięgam, że spale ten budynek! - ryknął Wedrowicz, zgola nie starczym głosem. - Spale ten kurnik, a ruiny porosnie trawa.

Studenci skrupulatnie notowali jego słowa. Na ich twarzach malował się zachwyt.

Wepchneli go do pokoju.

-To będzie teraz twoja kwatera - powiedział ten ponury wachman w fartuchu, który tu robił za szefa. - Za godzinę obiad.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Jakub zawył i przykopał w nie. Ani drgnęły. Rozejrzył się rozjuszony. Pod jedną ścianą tkwił w pozycji kwiatu lotosu prawie goły człowiek w turbanie na głowie. Na krzeselku, za biurkiem siedział może dwudziestoletni chłopak w pioropuszu. Ale było tu też okno. Jakub wydal z siebie potworny skowyt i rzucił się na nie. Niestety, siatka odrzuciła go z powrotem. Westchnął ciężko.

-Tedy nie da rady - powiedział Indianin. - Już próbowałem. Pan pozwoli, że się przedstawię jestem Maciej Borychowski. Student na SGGW.

-A ja jestem Jakub Wedrowycz, egzorcysta amator. Do jakiego plemienia...?

-Wybaczy pan. Bierze mnie pan za wariata, nie okazujac mi tego. Dziękuję.

Jakub po raz kolejny poczuł się niezrecznie.

-Ten stroj jest istotnie mylacy, ale widzi pan to jest tak, że okropnie nie chciałem iść do wojska, więc postanowiłem udać wariata. Wóz albo przewóz. Albo dadzą A albo D. A ci wpakowali mnie na obserwację. No, a te konowały doszły do wniosku, że faktycznie mi odbiło.

-A nasz towarzysz?

-Dżalaladyn Ben Husajn - przedstawił się siedzący, nie otwierając oczu. - Jak by to na wasz język, czarownik? Arabski cudotwórca.

Jakub wyraził żywe zainteresowanie.

-Przepraszam, ten Husajn Saddam od najazdu na Kuwejt to jakis wasz krewny? - zagadnął z szacunkiem.

-Nie. Żaden krewny. Za co pan się tu dostał?

-Zrobili mi rewizję i wykryli w końcu bimbrownię w szopie pod podłogą - powiedział Jakub. - Za stary już byłem, żeby mnie sadzono do pudła to i tak trafiłem. Macie plan ucieczki?

-Prawie - powiedział Arab. - Muszę się trochę skoncentrować. Mój dywan jest w depozycie. Jeśli dotrę do niego myślę, że może przyleci.

-Ale siatka w oknie - zaprotestował "Indianin".

-Mielismy rozważyć, jak się jej pozbyć.

-Może mogłbym pomóc? - zagadnął Jakub, wyciągając spod odklejającej się podeszwy buta Żydowski Włós - cieniutką złodziejską piłkę jeszcze przedwojennej produkcji ze specjalnie hartowanej stali.

Brwi obu współtowarzyszy niewoli uniosły się. Indianin wykonał reka ostrzegawczy gest.

-Nie teraz. Zresztą, nie opracowaliśmy planu do końca.

Jakub położył się na jedynym wolnym łóżku.

-To wy opracujcie, a ja się zdrzemnę. Nerwy sobie zszargałem.

Walnął się na twardą leżankę i po chwili spał jak zabity. Obudził się dopiero na obiad. Po obiedzie powlekli go na rozmowę z naczelnym psychiatrą. Jakub musiał zdjąć kurtkę i położyć się na kozetce, a potem przyszedł ten najważniejszy.

-Jak pan się nazywa? - zagadnął przyjaźnie.

Jakub odpowiedział uśmiechem.

-Moje nazwisko znajduje się na pierwszej stronie historii choroby leżacej na pańskim biurku. Na wypadek, gdyby nie umiał

pan czytać, służyć informacją, że nazywam się Jakub Wedrowycz, mam prawie czterdzieści lat i chcę się widzieć z adwokatem. Zamierzam podać do sądu skorumpowanego sędziego i tego palanta posterunkowego, na skutek knowania których znalazłem się w tej godnej pozalawania sytuacji.

Lekarz zamrugnął oczami.

-Czym zajmował się pan przed aresztowaniem?

-Byłem wioskowym egzorcystą amatorem, słynnym w całej Polsce i poza jej granicami. Moje umiejętności może potwierdzić prezes Polskiego Towarzystwa Ezoterycznego.

-Który prezes?

-Pan Biedermeier.

-Ach. Tak. Może zdziwi to pana, ale siedzi u nas od trzech miesięcy z objawami totalnego obłędu.

Jakub usiadł.

-Opetalo go! Mówiłem kretynowi, żeby nie czytał tych zafajdanych książek z Wrocławia. Ale to się dobrze składa. Leczyłem już opętania. Pozwoli pan, to się nim zajmę...

-Może pozwolę. A jakiego argumentu użyli ci dranie: sędzia i posterunkowy, żeby wsadzić pana tutaj?

-Zarzucili mi, że pedzę bimber.

-Oczywiście bezpodstawnie.

-Panie doktorze, a co to jest dwadzieścia litrów? Zapas na pół roku?

-Jest pan alkoholikiem? - zaniepokoił się lekarz. - Czy przebywał pan kiedykolwiek na kuracji odwykowej?

-Miałem kiedyś wszyty esperal, ale wyprałem bagnietem, a resztki wyplukalem z organizmu spirytusem gorzelnianym.

-Dobrze. Przejdziemy teraz do pańskiego życiorysu. Proszę powiedzieć, co pamięta pan najlepiej.

-Pamiętam, jak urzynałem się po raz pierwszy - powiedział Jakub w rozmarzeniu. To było w pierwszą wojnę, miałem wtedy dziesięć lat.

-A inne silne przeżycia?

-Raz mi mój tato zabral butelkę z piwem. A potem to z takich mocnych, to jak pierwszy raz uciałem Szwabowi głowę, ale to było już w drugą wojnę. Trzymałem ją, a ona jeszcze żyła, to znaczy ruszała oczyma i ruszała, i w ogóle nie chciała przestać.

-I co pan zrobił?

-A rzuciłem w cholere. I jeszcze pamiętam, jak mnie ugryzł wampir - podwinął rękaw koszuli i zademonstrował dwie bardzo stare blizny.

-Proszę opowiedzieć, jak to się stało.

-Poszliśmy z Józefem Paczenką, znaczy moim sąsiadem, do lasu. Robiliśmy do Poznania, a to był styczeń i zrobiło się ciemno. To nałamałismy jedliny, zapaliliśmy ogień i poszliśmy spać. A rano już to miałem.

Lekarz uśmiechnął się.

-Proszę mówić dalej.

-Ech walczyłem z różnymi upiorami. I tak przeżyłem. A teraz na stare lata pakuje do wariatkownika.

-Podobno odgrzązał się pan, że spalił sad?

-A dlaczego by nie? Ukrzywdzili? Ukrzywdzili. Niech się smażą.

-Dobrze. Na ile zna pan prawo?

-Raczej kiepsko, choc bez przerwy nekaja mnie roznymi paragrafami.

-Swietnie. Prosze posluchac, co panu powiem. Sedzia nie mial prawa skazac pana na dozywotni pobyt w zakladzie.

-O! - zdziwil sie Jakub.

-Co wiecej, sad moze zarzadzic obserwacje psychiatryczna. Poniewaz z racji panskiego wieku praktycznie nie moze pan juz odsiaduwac kary wiezienia, ja po stwierdzeniu, ze jest pan zdrowy, mam pelne prawo pana wypuscic. Ale pod dwoma warunkami.

-Aha? Bimbru napedzic?

Lekarz westchnal.

-Panie Jakubie. To jest klinika. Mamy laboratoryjny spirytus, gdyby bylo trzeba. Ale nie w tym rzecz. Zatrzymamy tu pana na obserwacji tak na wszelki wypadek. Poza tym oni beda sie interesowac, co z panem.

-Nie sadze. Ciesza sie, ze sie mnie pozbyli.

-Dlatego moga byc klopoty po panskim powrocie. No, nieistotne, to juz moje zmartwienie. Po trzecie jako egzorcysta udzieli mi pan drobnych konsultacji.

-Pan prezes...

-Coz, gdy sie ma na co dzien do czynienia ze swirami, to czasami czlowiek tez zwariuje, a czasami mozna znalezc przypadki, w ktorych jest cos wiecej. Pan rozumie?

-Tak. Czasem ktos zachowuje sie jak wariat, chory na urojenie maniakalne, a w rzeczywistosci jest w tym jakas glebsza, obca, ciemna logika.

Lekarz zajrzal do karty pacjenta.

-Naprawde skonczyl pan tylko dwie klasy szkoły podstawowej?

-Wojna przeszkodzila. Chcialem potem isc do wieczorowki, ale wybuchla kolejna wojna, a potem juz sie jakos nie wybralem. Zreszta, na co mi. Mam swoj fach, troche grosza odlozone. A pije, bo lubie. I ludzie czasami przychodza do mnie po rady, to i odwiedzyc sie umieja.

-Co bedzie potrzebne do odprawienia egzorcyzmu?

Jakub wyliczal dosc dlugo. Lekarz nie zadawal zadnych pytan, ale na koncu nie wytrzymal.

-Spirytus laboratoryjny to rozumiem, moze byc potrzebny do dezynfekcji ran. Ale sledz?

-Nu ni, spirytus do popicia po robocie, a sledz na zagryche.

Gdy Jakub wrocil do celi, wyczul od razu zmiane nastroju. Dzalalladin siedzial pod sciana i koncentrowal sie. Koncentracja wypelniala pokoj. Powietrze, mimo uchylonego okna, bylo tak geste, ze mozna w nim bylo zawiesic siekiere, ale akurat zadnej nie bylo pod reka. Za to kapcie Indianina unosily sie w powietrzu. Jakub podszedl do nich i przydusil je do podlogi. Juz tam zostaly. Arab ocknal sie.

-No i jak? - zapytal.

Indianin przerwal obliczenia na kartce.

-Postep geometryczny - powiedzial. - Dzis kolo polnocy bedzie mozna podzialac.

-Co mierzycie? - zaciekawil sie Jakub.

-Badam zwiekszanie sie potencjalu telekinetycznego naszego drogiego goscia. Przestal lykac tabletki i od razu pomoglo. Zaczelo sie od dwu sekund unoszenia kapci, teraz doszedl do minuty.

-Aha - zrozumiał Jakub. - No nic. Ja bede jeszcze w nocy brany na zabieg. Tak wiec uciekajcie beze mnie.

-Nie zostawimy kumpla z celi...

-Poradze sobie. Maja mnie za jakis czas puscic - podal pile. - Do dzieła.

Do kolacji krata byla przecieta. Pielegniarz przyszedl po Jakuba w srodku nocy.

-No, czeka cie zabieg - powiedzial.

W izolatce wszystko bylo przygotowane. Chory prezes lezal rozkrzyzowany na ziemi. Patrzyl spode lba i, co uderzylo Jakuba na samym poczatku, oczy jarzily mu sie na czerwono. Jego rece i nogi przywiazano do solidnych hakow.

-Ciekawe - zauwazyl Jakub.

-Aha. Pamiatka po dziewietnastowiecznych metodach - wyjasnil doktor. - Wyglada na ciezkki przypadek.

-Nie ma ciezkich przypadkow. Sa tylko zli egzorcysci - powiedzial Wedrowycz z godnoscia.

-Zanim mu sie to zrobilo, czytál to - lekarz podal mu opasla ksiege w skorzanej oprawie zaopatrzona w zamek.

Jakub otworzyl ja ostroznie. Stronice byly czyste.

-Przeczytál i tresc wskoczyla mu do glowy - wyjasni rzeczowo. - Ale chyba da sie przywrocic stan pierwotny.

-Dobrze by bylo. Ta ksiazka pochodzi z Biblioteki Slaskiej.

Egzorcysta zabral sie do rzeczy z werwa i znajomoscia rzeczy. Na poczatek poswiecona kreda narysowal krag wokol lezacego, potem obok nakreslil pentagram i zmusil lekarza, zeby wszedl do srodka.

-To dla bezpieczenstwa - powiedzial.

Wreszcie uznawszy, ze wszystko jest w porzadku, zapalil swiece i otworzywszy pusta ksiazke, zaczal odmawiac jakies zaklecia po starocerkiewno-slowiansku. Wokol lezacej postaci pojawiala sie parokrotnie swietlista aureola, ale zaraz znikala.

-Za silny - powiedzial wreszcie Jakub.

-Nie da sie? Juz chyba niezle szlo...

-Zrobie inaczej. Wejde do jego umyslu.

-Czy to na pewno bezpieczne?

-Nie.

Ulozyl nieduzy stosik z ziol i zapalil je. Uniosl sie paskudny, czarny dym. Jakub zdjal koszule i zaciawszy sie w palec, wymalowal na skorze skomplikowany wzor. Potem dotknal palcem czola i natychmiast padl jak podciety. Lekarz patrzyl na niego przestraszony. Po dlugiej chwili wahania postanowil pospieszyc mu z pomoca, ale ledwie wysunal noge poza pentagram, poczul cos w rodzaju uderzenia pradem.

Tymczasem Jakub Wedrowycz mial drobne problemy. W chwili, gdy dotykajac czola, otworzyl polaczenie, w jego umysl wtargnelo jakies monstrum. Wbilo sie jak kleszczami w jego mysli i zaczelo wysysac jazn. Jakub nawet sie nie bronil, nie musial. Monstrum zjadalo jego wspomnienia oraz mysli i puchlo coraz bardziej, a potem nagle zwinelo sie w sobie i zaczelo uciekac. Podazyl za nim.

Spotkali sie na szarej rowninie posrod zwojow mozgowych prezesa.

-Nu i papai ty - powiedzial Jakub.

Stwor zwijal sie w konwulsjach.

-Nie smakowalo? - zmartwil sie egzorcysta.

Potwor z pogarda bryznal jakas mazia.

-Widzisz robaczku juz raz taki jeden mentalny wampir we mnie wzlazl. I co sie stalo? Zdechl. Ciebie tez to czeka.

Stwor juz sie nie ruszal. Jakub zarzucil go na ramie i wyniosl na zewnatrz. Rzucil go z rozmachem na betonowa posadzke i wskoczył w swoje ciało. Starł kropkę z czoła.

-Nu, gotowe - powiedział do oniemiałego lekarza. - Można wyjść.

Lekarz pochylił się nad ciemnym, rozlanym kształtem na podłodze.

-Co to jest? - zdumiał się.

-Uporzadkowana ektoplazma. Można to spalić na przykład - podpalili stwora świeczką. Po chwili została tylko garść popiołu. - I już. Po problemie.

-A prezes?

-Zyje. Dojdzie do siebie.

-Ale co to było?

-Mentalny wampir. Siedział w książce i podczas czytania wylazł. Zjadał myśli. Stąd nastąpiła desynchronizacja zachowania. Zresztą, co ja będę tłumaczył. To pan jest psychiatra.

-I jak go pan załatwił?

-Wlaził mi do głowy i naraził się moich myśli. Widac zaszkodziły mu.

Lekarz usiłował wyobrazić sobie myśli Jakuba. To musiało być niezłe, cuchnące bajoro.

-No, popracowaliśmy, to może teraz coś niecos wypijemy?

-A książka?

-Zobaczmy.

Książka była znowu zapisana.

-Nic z niej nie wylezie?

-Nic.

Poszli do gabinetu doktora i raczyli się spirytusem laboratoryjnym skazonym eterem. Lekarz rozcienczał i pił ze szklanki po herbacie, a egzorcysta pił nie rozcienczony prosto ze słoją. Gdzieś koło północy Jakub był właśnie w wesołym i trochę podniosłym nastroju wywołanym przez alkohol, a lekarz na najlepszej drodze do delirium tremens, gdy niespodziewanie ktoś zapukał do okna. Uniesli głowy i wlepili zdumiony wzrok w niepokojące zjawisko za szybą. Na wzorzystym, perskim dywanie siedzieli arabski czarownik i niedoszły Indianin. Dywan unosił się w powietrzu.

-No, ładna kuracja przechodzi pan panie Jakubie - powiedział czarownik. - Na pewno nie chce pan lecieć z nami?

Jakub wziął pod pachę słoję.

-Podrzucicie mnie w rodzinne strony? Mam tam jedną sprawę do załatwienia.

-Jasne, wsiadaj - Indianin popatrzył pozadliwie na słoję.

-Do zobaczenia - powiedział Jakub doktorowi, zakrecił słoję i umieścił go troskliwie pod pachą, a potem z parapetu wgramolił się na dywan i odleciał.

Psychiatra uszczypnął się w policzek. Był trzeźwy, no prawie trzeźwy, a nadal widział to samo. Oddalający się dywan z trzema osobami na pokładzie.

-Tak chyba zaczyna się obłęd - powiedział do siebie. A potem otworzył szafkę, w której trzymał środki odurzające.

Gdzieś posrodku miasta Chelma stoja sobie małe białe domki. Otaczają plac. Za domkami jest nieduża gorka. Na placu

trawa zaczyna porastać ruiny. Sadu już nie ma. Spalił się. Drewniany umysł

Jakub wstał chwiejnie od stołu. Krzesło popchnięte jego tyłkiem przewróciło się, a że było stare, rozleciało się na kawałki. Egzorcysta z trudem utrzymując równowagę, dotarł do zbawczej ściany i opierając się o nią, ruszył do drzwi. Złotliwy prog usiłował podstawić mu nogę, ale Jakub kopnął energicznie i wyprochniała belka wyleciała na zewnątrz. Coś złapało go za gumofilc. Popatrzył w dół i stwierdził, że to jedna z szesćdziesiąciu puszek od piwa przyczepiła się do buta. Wreszcie wytoczył się na zewnątrz. Na niebie coś wisiało, ale czy było to słońce, czy księżyc w pełni, trudno było powiedzieć. Wszystko tonęło w zielonych oparach. Za to było dość chłodno, co pozwoliło mu się domysleć, że chyba jest jesień.

-Kurde - mruknął Jakub. - Nie trza było pryty mieszać z piwem.

Świat zakolysał się gwałtownie, jak gdyby ziemia chciała stracić pasożyta ze swojego grzbietu, ale nie udało się. Wreszcie Wedrowycz przywedrował na miejsce. Stanął, opierając się czołem i jedną ręką o drzewo, druga zaś rozsupłał drut trzymający rozporek i wydobywszy ptaszka, zaczął łac. Jego dobrze wytresowany organizm przez ostatnie dwie godziny cierpliwie przetaczał alkohol do pecherza, toteż struga, która wypuszczał, miała mniej więcej czterdzieści procent mocy. Z każdym wylanym litrem egzorcysta był coraz bardziej trzeźwy. Wreszcie opróżnił zbiorniki i zadowolony schował kuske. Ruszył w stronę szopy. Zielone cienie ustąpiły i mógł teraz stwierdzić, że jednak jest dzień. I faktycznie chyba była jesień.

-Nie ma się co byczyć, gdy robota czeka - mruknął do siebie.

Jaka konkretnie robota czeka, tego nie wiedział...Pol nie obsiewał od lat, czekając na dotacje z UE. Dotacje wprowadzić dotąd nie napłynęły, ale on wytrwał twardo w swoim postanowieniu. Zwierzał także już od dawna nie trzymał...

Prawie doczłapywał już do szopy, gdy nieoczekiwanie usłyszał śpiew.

Hej, my chłopcy z nadprzestrzennych baz

Nam nie straszny jest alienów kwas,

Egzorcysta zatrzymał się gwałtownie. Coś mu się nie zgadzało i to nawet, o zgrozo, dwie rzeczy. Po pierwsze pieśń słychać było tylko w pasmie odbioru telepatycznego, po drugie śpiewał ją chor złożony z co najmniej dwu lub trzech setek głosów.

Rycerzy Jedi czas wykurzać z gniazd...

-Kurde - mruknął Jakub.

Włączył swój mózg na szybsze obroty. Trzy procent komórek, których ludzie używają zazwyczaj do myślenia, nadal było zamroczonych, ale pozostałe dziewięćdziesiąt siedem pomalutku rozgrzało. Inteligencja powoli zaczęła piąć się w górę po skali. Gdy doszła do dwustu pięćdziesiąciu IQ, Jakub wyłączył grzałkę. Zwoje stygły, co jednak potrwac musiało parę godzin.

-Trzystu telepatów na wycieczce - mruknął egzorcysta. - W całym kraju jest tej holoty nie więcej niż dwudziestu...

My szturmowcy gwiazdowego imperium - zakończył chor.

Pod sam koniec głosy niezłe już belkotały.

-Nawet gdyby zwalili się tu telepaci z całej Europy...- mruknął egzorcysta. - No właściwie nie jest to wykluczone...Język telepatyczny jest wspólny dla wszystkich ludzi, ale poczulbym wcześniej...

Usiadł na pienu i zamyslił się. Tych trzystu telepatów musiało być niedaleko. Zupełnie niedaleko...Nieoczekiwanie sygnał uderzył prosto w niego. W oczach stanęły mu świece, z uszu poszło trochę krwi.

-Jakubie Wedrowycz zostałeś wybrany - rozległ się w jego głowie spizowy głos.

Egzorcysta podkreślił głośność do minimum, ale sygnał przedarł się przez zabezpieczenia. - Zostałeś wybrany - powtórzył.

-Wiem, kurde - powiedział Jakub. - Jeszcze przed wojną. I co z tego?

-Tamto zapomnij. Zostałeś wybrany do nowych celów.

Egzorcysta poskrobal sie po glowie.

-Jakich znowu celow?

-Zaniesiesz naszych braci do wszystkich zakatkow tej planety. Nadchodzi czas, abysmy przejele wladze nad swiatem.

Jakub nadludzkiem wysilkiem zalozył blokade mentalna i odetchnal z ulga.

-Cos malego, co nie moze sie samo poruszac - mruknal. - Rozumne zaby? Chyba nie. A moze myslace wirusy?

W tym momencie bariera ochronna zostala przelamana naglym uderzeniem. Jakub, trac zalzawione oczy, policzyl sile napastnikow. Bylo ich ponad trzystu.

-Podejdz i poklon sie swojemu nowemu panu - rozkazal glos.

Egzorcysta pokazal dlonia gest podpatrzony na amerykanskim filmidle. Kolejne uderzenie obalilo go na ziemie. Zaraz po tym nogi zeszytnialy mu jak klody i nieznaną sila podniosla go do pionu. Ruszył jak na szczudlach w strone drzewa, ktore przed paroma minutami podlal.

-Na kolana niewolniku - powiedzialo drzewo.

Glos troche belkotal, co oznaczalo, ze Jakubowe siki faktycznie byly tym razem mocne...

-Wala - z przekonaniem odparl Jakub. - Niewolnictwo jest tu od dawna zakazane...

Kolana zgiely mu sie nieoczekiwanie i po chwili kleczal w trawie.

-Bij mi poklon - zazadalo drzewo.

-W dupe mnie pocaluj - powiedzial Jakub.

W sekunde pozniej lezal, bijac glowa w ziemie.

-A teraz posluchaj niewolniku - odezwal sie pien. - Zaniesiesz moje orzechy i rozsiejesz po calej ziemi. Gdy wyrosna, stworzymy siec, za pomoca ktorej bedziemy sterowali ludzkoscia. Wasz czas sie skonczyl. Nadchodzi era rozumnych drzew!

-Diabli nadali - mruknal.

-Nie diabli, tylko sami do tego doprowadziliscie. Tu na wzgorzach osiadla chmurka pylu radioaktywnego po wybuchu elektrowni w Czarnobylu.

-Mutasy - zrozumial Jakub.

-Mutanci idioto!

-Czegos tu nie rozumiem - poskarzyl sie.

-Czego? - zainteresowalo sie drzewo

-Dlaczego to wlasnie ty zaczales myslec?

-Czy zdarzylo ci sie kiedyś rozlupywac wloskie orzechy?

-Nigdy w zyciu - zelgal na wszelki wypadek. - Ja nie podnioslbym reki, ale widzialem, jak inni lupali.

-Gdy przejmujemy wladze, zostana ukarani. Surowoukarani. A wiec wiesz, ze miasz wloskiego orzecha przypominajac wygladem ludzki mozg?

-Aha. A i dlatego tworzycie zbiorowy intelekt! Myslicie znaczy orzechami...

-Wlasnie. A teraz wtajemnicze cie w szczegoly planu...

Pijane orzechy znowu zaspiewaly. Pien zaczal gadac na temat wysiewania jednego orzecha co cztery kilometry, ale

egzorcysta nie słuchał. Zastanawiał się gorączkowo, jak pozbyć się problemu, a przy okazji jak uratować ludzkość. I co było do przewidzenia niebawem wymyślił.

-Wiesz co - powiedział, przerywając ciąg instrukcji, jak sadzić orzechy na terytorium Wielkiej Brytanii. - Sadze, że przydałoby ci się trochę nawozów azotowych, gleba w tym kacie podwórza zawsze była jałowa...

-Ha, zaczynasz wykazywać właściwą inicjatywę niewolniku - ucieszyło się drzewo. - Nawozy to dobra rzecz...Przynies.

Jakub poczłapał do szopy. W kacie drzemal dwudziestolitrowy plastikowy pojemnik z cuchnącym płynem. Stał tu już od dwudziestu lat, bo Jakub nie zwykł paprać ziemi chemią. Teraz odkrecił nakrętkę i powachał. Przez te lata niewątpliwie w preparacie zaszło szereg niekorzystnych zmian. Uśmiechnął się jadowniczo i przydzwigał kanister pod orzech. Następnie puścił strugę cuchnącej cieczy. W powietrze buchnął upiorny smród, co było właściwie bez znaczenia bowiem drzewa, jak powszechnie wiadomo, nosów nie mają...był mniej więcej w połowie, gdy orzech zorientował się, co się święci.

-Zdrada - wrzasnęło w jego głowie trzysta drewnianych głosów.

-A zdrada, zdrada - warknął. - Nie lubię być niewolnikiem jakiegos tam Pinokia...

A potem założył kolejną blokadę mentalną, poczłapał do chalupy i poszedł spać. Gdy obudził się następnego dnia, drzewo stało martwe. Jakub podszedł ostrożnie z siekierą w ręce. Liście pozółkły i opadły na ziemię. Orzechy jeszcze w zielonych lupinach wałowały się pod nogami. Jakub z zadowoleniem rozdeptał kilka z nich.

-Władzy nad światem się zachciało - powiedział mściwie. - Frajerzy...Drewniane mózgi, a nie pomyśleli, że jakby tak podporządkowali sobie ludzkość, to w zimie, gdy nie ma orzechów, ludziska by wszystko wykarczowali...

A potem mocniej złapał trzonek i zabrał się za rabanie pnia.

-Widzisz - odezwała sięśliwa do jablonki - mówiłam, że atak frontalny będzie mało skuteczny...

-Spokojnie - uśmiechnęła się jablon. - Załatwimy go zimą. Przygotuj odpowiednio jabłka, niech tylko spróbuje napedzić z nich bimbru...Zdobędziemy jeszcze władzę nad światem. To tylko kwestia czasu... Dziadek

W knajpie było tego wieczora bardzo wesoło. Agent kupił od Ruskich nieco przechodzony, kolorowy telewizor i ustawił naładzie. Telewizor spodobał się wszystkim byłym. Aparat pokazywał obraz pokryty delikatną kaszką zakłocen i wydawał dźwięki, z których niekiedy można się było domyślać ludzkiej mowy.

Jakub Wedrowycz pil właśnie czwarty kufel Perly, gdy nieoczekiwanie obraz w telewizorze nieco się ustabilizował. Staruszek oderwał wzrok od piwa i wbił go obojętnie w ekran. Nieoczekiwanie na ekranie pojawiła się jego podobizna. Głos coś z ożywieniem zatrajkotał, a potem pokazano jakies góry.

-Cholera? - zdziwił się Semen. - To już jesteś taki sławny, że cie w "Wiadomościach" pokazują?

Agent przywalił w obudowę kuflem. Obraz wyostrzył się. Dźwięk też uległ znacznej poprawie. Głos znowu coś zagadał, a potem na ekranie pojawiła się twarz prowadzącego.

-Ciekawe znalezisko...bla bla...zabezpieczone bla bla...

-Jakie znowu znalezisko? - zdenerwował się egzorcysta. - Przecież ja siedzę tutaj!

Prowadzący nie uznał za konieczne powtórzenie informacji, zaczął referować coś na temat nalotów na Afganistan,

-Gadaj scierwo o znalezisku! - wydarł się Jakub.

Facet w telewizorze znowu go zignorował, więc Wedrowycz złożył palce w odpowiedni gest i cisnął kuflem. Naczynie wpadło w ekran jak w jezioro, szkło kineskopu zafalowało niczym woda i wrocilo do normy. Cały naród ujrzał pokrytą krwią, piwem i szklaną sieczką twarz prowadzącego. Niemal natychmiast program przerwano i wyświetliła się plansza "przepraszamy za usterki".

-Nieladnie Jakub, mogłeś telewizor uszkodzić...- delikatnie upomniął go przyjaciel.

-Ma za swoje. Dlaczego nie powtórzył?

-Jeśli to coś ważnego, to jutro przeczytasz w gazetach. A jeśli nic ważnego to nie ma po co głowy sobie zawracać - wzruszył ramionami stary kozak. - Napijmy się.

Po chwili zastanowienia Jakub przyznał mu rację. Zamówili jeszcze po kuflu.

Rankiem skacowany egzorcysta przybył do wsi w szlachetnym zamiarze nabycia gazety. Zajrzał najpierw do monopolowego, potem do miesnego. (Pamiętał, że dawniej w tych właśnie sklepach zawijano towar w gazety, ale jak się okazało wyszło to ostatnio z mody). W przypiływie rozpaczy, walcząc z obrzydzeniem, wszedł do księgarni, gdzie poinformowano go, iż gazety można kupić w kiosku. Tamże faktycznie nabył jedną i siadł w parczku na laweczce.

-Cholera, osiemdziesiąt lat na świecie żyje i jeszcze zem gazety kupować nie musiał i na starość taka hanba - westchnął.

Na jego dłoniach pojawiły się czerwone kropki - uczulenie na słowo drukowane. Miał to od dzieciństwa...Hanba jednak się opłaciła, bowiem już na przedostatniej stronie zobaczył gapiąca się z papieru własną gebę.

-Wot te na! - powiedział. - To już jestem taki ważny, że nawet ze zdjęciem mnie opisują?

Poczuł gwałtowny przypływ szacunku do samego siebie. Zaraz jednak skupił się na fotografii. Jedną powieką lekko opadała, ucho okłaple od ciosu lancuchem krowiakiem, brwi nieco bardziej krzaczaste niż to widywał w lustrze...

-Hmm? - mruknął, wytezając pamięć. - Przecież to dziadek! - oślnięto go nieoczekiwanie. - Ano zobaczymy, co tu nacykane - wyczytał się w tekst artykułu.

Czytanie szło mu opornie, nie wszystkie litery zdołał sobie przypomnieć.

-Przed kilku laty z lodowca na pograniczu Austrii i Szwajcarii wydobyto znakomicie zakonserwowane ciało mężczyzny - przesyłabizował. - Kurde znalazł się stary. Ale cholera, co ze złotem?

Na lawce przysiadł jego kumpel Semen. W ręce stary kozak trzymał identyczny egzemplarz gazety.

-Znaleźli mojego dziadka - pochwalil się Jakub.

-Co ty, tu pisze, że to trup z epoki neolitu. Bardzo ciekawe znalezisko...

-Co to jest nielit? - zainteresował się Wedrowycz.

-Młodsza epoka kamienia. Czasy, kiedy nie znali metalu i narzędzia robili z krzemienia...

-Jak mogli robić coś z kamienia, skoro nie mieli metalowych młotków i dłut, żeby go obrabiać? - zdziwił się staruszek. - A chyba, że laserem - odpowiedział sam sobie.

-Dotąd nie natrafiano na dobrze zachowane zwłoki z tego czasu. Pewnie go teraz pokroją na kawałki, żeby zobaczyć, co jadł i tak dalej.

-Co? - Jakubem aż zatrzęsło. - Chca pokroić mojego dziadka? Scierwo to było, ale po moim trupie!

-To nie twój dziadek - uśmiechnął się Semen. - Ten trup leżał w lodzie przez ostatnie kilka tysięcy lat.

-Akurat - parsknął Jakub. - Mówię ci, że to mój dziadek. Pamiętam jak dziś. Wziął całe złoto i poszedł. Chciał założyć sobie konto w Szwajcarii, a kasa była wspólna...I wszystko się zgadza. Tylko cholera powinien mieć przy sobie worek złotych rubli...Zresztą i tak trzeba jechać.

-Dokąd?

-Jak to, dokąd, tam gdzie go trzymają. Niech powie, co z forsa zrobił...A ty Semen będziesz mi potrzebny.

-Po co? - stary kozak unosił brwi do góry.

-Jak to, po co? Przecież ja nie gadam po zagranicznemu...

Kozak wziął gazetę do ręki i wyczytał się w tekst artykułu.

-Po co mamy jechać za granicę - mruknął. - Tu pisza, że tego cudaka zamrożonego przywieźli do Warszawy na wystawę archeologiczną.

-Archeo...Co?

-Archeolodzy to tacy, co w ziemi grzebia - wyjasnil Semen. - w sumie mozna by zlapac pekaes do Lublina i gdzies za cztery, moze piec godzin bedziemy na miejscu...Tylko najpierw trzeba sie przejsc do informatyka...

-A po co? - zdziwil sie Jakub.

-Trzeba karty wstepu podrobic, zeby nas wpuscili. A i lachy by sie lepsze przydaly...

Wachmani pilnujacy wstepu na uroczystosc otwarcia wystawy zastygli ze zdumienia, gdy przed wejciem do muzeum pojawili sie dwaj starcy ubrani w arabskie burnusy i turbany na glowach. Wyzszy z gosci z zanadrza wyciagnal papier pokryty kilkunastoma linijkami arabskich znaczkw oraz opatrzony licznymi pieczatkami roznych kolorow. Nizszy z "Arabow", ktoremu spod gabliji wystawaly noski gumofilcow okazal identyczny dokument.

-Kurde - jeden z wachmanow poskrobal sie po glowie. - Co to za jedni?

Nizszy z gosci spojrzal na niego przenikliwie wodnisto-blekitnymi, swinskimi oczkami. Cos zatrzaszczalo w glowie straznika, gdy jego mysli kierowaly sie na nowe tory.

-To pewnie zaproszeni goscie - powiedzial do drugiego.

-A jesli to Talibowie? - zafrasowal sie drugi wachman. - Na otwarciu imprezy bedzie prezydent, premier, minister i cala kupa vipow...Moze trzeba ich przynajmniej obszukac?

Wodniste slepia wbily wzrok w jego oczy. Po chwili i on przestal miec watpliwosci. Obaj zamaskowani przybysze weszli do holu. Przejscie w glab muzeum zaslaniala plachta szarego plotna. Przed nia stal na mownicy siwowlosy archeolog.

-Sensacyjne znalezisko...bla bla bla...bez precedensu...bla bla...dzięki uprzejmosci naszych przyjaciol...blabla bla...

Tlum zaklaskal. Na mownice wstapil kolejny uczony.

-Dziadek to pewnie za ta zaslona - zauwazyl nizszy z "Arabow".

-Pewnie tak - mruknal Semen. - Trzeba poczekac az otworza wystawe i wtedy dostaniemy sie do srodka...

-W takim tlumie nic nie zdzialamy - parsknal Jakub. - A moze da sie od drugiej strony?

Stary kozak odczepil ze sciany plan ewakuacyjny budynku.

-Da sie - mruknal.

Ruszyli w druga strone. Weszli do sal ekspozycyjnych.

-Cholera - mruknal egzorcysta, patrzac na lezace w gablotce amulety kultury luzyckiej. - Ciekawe, ciekawe...O i chalupa jak w Debince dawniej stawiali - obejrzal model chaty z okresu wplywow rzymskich.

-Cholera wie, ile czasu potrwaja te szopki - Semen wyrwal go z poznawczego transu. - Musimy sie pospieszyc.

Ruszyli przez ciag sal. Wreszcie droge zagrodzila im sciana z desek pociagnieta biala, bawelniana tkanina.

-Cholera zagrodzili.

-Spoko - mruknal Jakub.

Wyciagnal z cholewy gumofilca bagnet od Kalasznikowa i wyciachal dziure w materiale. Potem silnym ciosem wylamal plyte pazdzierzowa i rozciachawszy kolejna zaslone, utorowal wejscie do nastepnego pomieszczenia. Sala byla prawie pusta, tylko posrodku stalo kilka gablot. Jeden koniec przegrodzony byl plocienna zaslona, zza ktorej dobiegalo przemowienie uczonego.

Obaj wlamywacze ruszyli w strone ekspozycji oswietlonej mocnymi punktowymi reflektorkami.

-No i wszystko sie zgadza - mruknal egzorcysta, patrzac na zgromadzone w gablocie elementy stroju. - Kozuch z kroczych skorek, pamietam jak tatko hodowal, buciory z lyka, nawet i ja do szkoly jeszcze w takich chodzilam, luk do polowania na ptaki, bo dubeltowke za bardzo w lesie slychac bylo i sie gliny przypieprzali...Parciany pasek, koszula z worka...

W środkowej gablocie na warstwie suchego lodu spoczywały zmumifikowane zwłoki.

-Jest i dziadunio - mruknął Semen. - Jesteś aby pewien, że to on?

-Kolor skóry się trochę nie zgadza, ale to normalne u mumii - Jakub wyrzucił diamentem dziurę w szklanym wieku. Odczepił alarm.

-Co chcesz zrobić? - zainteresował się kozak. - To sztywny trup...

-Jak to, co? Oczywiście i zapytam, co z forsa zrobił...

-Oczywiście to coś? - popatrzył z powątpiewaniem na ciało. - Poza tym zamrożony.

Egzorcysta wyciągnął spod gabliki suszarkę do włosów.

-Mój bimber postawi na nogi nawet umarłego - egzorcysta wetknął nieboszczykowi w usta lejek i spokojnie wlał w gardziel mumii pół litra metnego płynu z piersiówki. Rozejrzał się za kontaktem, żeby podłączyć suszarkę, ale nigdzie nie wypatrył...

Za kotara rozległy się okłaski.

-Chyba musimy się spieszyć - zauważył Semen. - I jak, działa?

-Kurde, coś się nie ożywia - westchnął Wedrowycz. - Trzeba jednak chyba rozmrozić...Gadaj dziadek, gdzie jest złoto - potrząsnął trupa za ramiona.

Głowa odpadła od ciała z suchym trzaskiem. Semen złapał ją za włosy i wyciągnął z sarkofagu. Z rozchylonych ust wylał się samogon.

-Ty, zobacz - zwrócił się do Jakuba. - To tylko woskowa kukła zrobiona tak, żeby udawać mumie...A to naszych archeologów w jajo zrobili.

-Cholera - Wedrowycz kopnął ze złością w postument. - Gdzie jest moje złoto?

W tej chwili okłaski przybrały na sile i ktoś uroczyście zerwał kotarę. Prezydent stanął na progu sali. Za jego plecami tłoczyli się inni goście.

-O? - powiedział, widząc dwóch "Arabów", z których jeden miał na nogach gumofilce, a drugi ciągle trzymał za włosy głowę mumii.

W następnej chwili prezydent leżał na ziemi przygnieciony przez pięciu agentów BOR - u, którzy własnymi ciałami zasłaniaли go przed zamachowcami. Tłum zastygł w bezruchu. Jakub mrugnął kilka razy oczkami.

-Chyba zaraz spuszcza nam łomot - powiedział szeptem do Semena.

Ten postąpił krok do przodu.

-Salaam - powiedział po arabsku - Allah Akbar. My być goście, archeolodzy z Afganistanu.

W ciągu trzydziestu sekund budynek opustoszał.

-Co ich tak wymiotło? - zdziwił się Jakub.

-Psychologia tłumu - oświadczył Semem z zadowoleniem. - Na coś się jednak przydała ta uniwersytecka wiedza...po osiemdziesięciu latach, ale lepiej późno niż wcale...

Wyszli przed budynek, tu też było zupełnie pusto, tylko gdzieś z oddali slychac było wycie syren wozów policyjnych. Zrzucili burnusy i ruszyli spokojnie przez park w stronę Starego Miasta.

-Co z tym ciapkem - stary kozak ciągle trzymał jeszcze pod pachą głowę. - Pod autobus wrzucimy czy co? A może postraszymy kogoś?

-To z wosku? - zamyslił się egzorcysta. - Wsadź do siatki. Zabieramy ze sobą. Knot się ze sznurka od snopowiazalki wprawi i świeca będzie. Lenin

Był spokojny, srodowy wieczor. Od znikniecia Jakuba Wedrowycza mijal wlasnie szosty dzien. Jego kumple zaczynali juz odczuwac pewien niepokoj. Wprawdzie czolowy egzorcysta - amator znikal wczesniej parokrotnie, ale tym razem zrobil to calkiem niespodziewanie. Gospoda w Wojslawicach byla czynna dluzej, jak to w srody. Wprawdzie targ odbywal sie rano, ale niektorzy bywalcy oblewali swoje interesy dosc dlugo. Tak bylo i tym razem.

Jozef Paczenko, Tomasz Ciesluk, Jan Grzadkowski i Semen Korczaszko siedzieli przy stoliku w kacie.

-A ja uwazam, ze trzeba by zawiadomic gliny - wsciekal sie szeptem Tomasz.

-Jakub nie bylby zadowolony.

-A widziales kiedys, zeby byl zadowolony?

-No nie. Pewnie trafila mu sie jakas powazna robota.

-Zostawilby konia u Semena.

-Nu, kon sam do mnie przyszedl. A obora jest zamknieta. Znaczy wypuscil go i zamkнал.

-A ja wam powiem, ze mnie sie to wszystko nie podoba.

W tym momencie, drzwi otworzily sie i na progu stanal Jakub Wedrowycz. Byl zdziebko zawiany, ale nic nie wskazywalo, by podczas swojej nieobecności poniosl jakies uszczerbki na zdrowiu. Rozejrzal sie srednio przytomnym wzrokiem, a potem usmiechnal sie na widok kumpli. Kumple zaraz go zauwazyli i zaciagneli do swojego stolika.

-Nu i gdzie ty bywal? - zapytal Semen.

-Ech, nie uwierzylibyscie. Dajcie jakiegos piwa, bo przepalilem gardlo spirytem.

Niebawem stanela przed nimi bateria butelek. Jakub odkorkowal jedna z nich o kant stolu i popatrzywszy metnie na twarze sluchaczy, a wokol stolika zgromadzili sie wszyscy bywalcy, zaczal opowiadac. Ludzie sluchali go z rozbawieniem. Powszechnie wiadomo bylo, ze gdy sobie chlapnie, to opowiada niestworzone historie, ale nawet jesli sa zupełnie nieprawdopodobne, to jest czego posluchac. Tego wieczoru przeszedl siebie. To wszyscy musieli przyznac.

Korytarz ciagnal sie w nieskonczonosc. Korytarz byl betonowy. Betonowe byly sciany, sufit, podloga. Na podlodze lezal czerwony chodnik, wytarty juz nieco przez miliony par butow, ktore po nim przeszly. Chodnik tak jak korytarz ciagnal sie w dal, w szary polmrok, az znikal, zjedzony przez perspektywe.

Jakub Wedrowycz dreptal cierpliwie. Obok niego kroczył ni to przewodnik, ni to straznik. Ponury wachman, solidnie zbudowany, z automatem Kalasznikowa w owlosionej lapie. Do jego charakterystyki nalezaloby dodac, ze mial kilka orderow upietych tu i owdzie na piersi. Twarz wachmana byla lekko bialawa, jak brzuch snietej ryby, co przyjemnie wspolgralo z rownie chorobliwa barwa scian.

-Sympatycznie tu - zakpil Jakub. - Zupelnie jak w kwaterze glownej KGB.

-To jest kwatera glowna KGB - odezwal sie wachman, a potem zamilkl.

-A gdybym tak zazadal polskiego konsula? - zapytal chytrze Wedrowycz..

-To jedno z najscislej tajnych miejsc na ziemi. Nie wpuszczamy tu obcych dyplomatow. A w kazdym razie juz ich potem nie wypuszczamy.

-A gdybym sprobował stawiac opor?

Wachman nic nie odpowiedzial, ale jego automat znalazl sie niespodziewanie w pozycji gotowej do strzalu.

-Dobra, dobra, tak tylko zazartowalem - odepchnal lufe dlonia.

Zatrzymali sie przed stalowymi drzwiami. Wachman zapukal i wrota otworzily sie ze zgrzytem. Za drzwiami stalo wiecej wachmanow. Niektorzy mieli nawet psy na smyczy. Wszyscy byli rosli i mieli ordery.

-General czeka - powiedzial jeden z nich.

Weszli do niewielkiego gabinetu. Gabinet takze wykonany byl z betonu, choc troche staranniej niz korytarz, na przyklad

zbrojenia nie sterczały ze ścian. W gabinecie znajdowało się biurko, stół przykryty szmatką do betonowej podłogi oraz wiszący na ścianie nad biurkiem portret aktualnego, generalnego sekretarza. Podłoga była pokryta plamami brązowego koloru, a tu i owdzie wyrysowano na niej kreda leżące sylwetki. Sylwetki pasowały trochę do znajdujących się na ścianach krwawych rozbryzgów i dziur po kulach.

-Jakub Wedrowycz? - upewnił się general.

-Aha - przyznał się egzorcysta.

General kontemlował przez chwilę, stojąc przed nim na biurku krwistoczerwonej barwy telefon, po czym zaczął mówić.

-Nasza przodująca, radziecka nauka rozwiązała w ostatnich latach szereg nierozwiązywalnych zdawałoby się problemów.

-Etanol z trocin? - Jakub wykazał żywe zainteresowanie.

-Między innymi - wtracił wachman.

-Dacie przepis towarzyszu?

General trzasnął piestem w stół.

-Nie czas tu na wyglupy! Jesteście towarzyszu Wedrowycz egzorcysta.

Brwi wieźnia uniosły się do góry.

-Czy wasza, przodująca, radziecka nauka nie udowodniła czasem, że nie ma żadnych zjawisk paranormalnych?

-Nasza, przodująca, radziecka nauka, udowodniła wiele rzeczy, ale niektóre dogmaty musimy zweryfikować...Nieważne. Jest ci zapewne wiadomo, po swojej śmierci wielki Lenin...

-A kto to jest Lenin? - zaciekawiał się egzorcysta.

Wachman z trzaskiem odbezpieczył karabin.

-Zastrzelić?

-Już nie trzeba, przypomniałem sobie!

-Nie strzelaj - polecił general. - Po swojej śmierci, nasz nauczyciel został zabalsamowany. Rozumiesz, co to znaczy?

Jakub uwielbiał grać wioskowego przyglupa. Tym razem też nie odmówił sobie tej przyjemności.

-Znaczy takim tym balsamem do włosów? - upewnił się.

-Ja go jednak zastrzele - poprosił wachman. - Zamknij się idioto, bo ciebie zastrzele! A ty słuchaj.

Lenin został zmumifikowany.

-Znaczy zasolony, tak jak egipskie faraony?

-Cos w tym rodzaju. Zakonserwowano go specjalną substancją o ściśle tajnej recepturze.

-Mam ja odtajnić? - Jakub palił się do czynu.

-A skąd! Nasz problem polega zupełnie na czymś innym. - general zniżył głos. - Otoż ostatnio, na dniach, wartownicy pilnujący szklanej trumny wodza zauważyli, że ten zaczął się poruszać.

-To da się bardzo łatwo wyjaśnić.

-No to mówcie, egzorcysto.

-Powtarzacie od siedemdziesięciu lat, że Lenin jest wiecznie żywy i w końcu uwierzył. Ba, kto by nie uwierzył.

-Powtarzamy także inne hasła, a jakos nie widac...- general był wyraźnie zaskoczony taką interpretacją.

-Och, to bardzo proste. Większe jest prawdopodobieństwo, że Lenin zasolony tym tajnym polimerem siedemdziesiąt lat temu jest nadal żywy, niż że proletariusze się polaczą, czy że każdemu będzie wedle jego potrzeb.

-Trzeba go odesłać w niebyt.

-Hm?

-Trzeba go wykonać.

-I wy marksisci-leninisci chcecie zaprzepścić taką szansę?

-Jaką szansę?

-Pod wodzą nieśmiertelnego wodza, będziecie mogli przeprowadzić rewolucję światową!

-Wolimy służyć idei...

-A jaki to byłby wspaniały argument za wprowadzeniem komunizmu.

Wachman unosił karabin, ale general uspokoił go jednym gestem.

-I co poradzicie, towarzyszu specjalisto?

-A co mam radzić? Wezmę osikowy kulek i niech sobie leży kolejne siedemdziesiąt lat.

-Kulkiem naszego wodza?

-Nie widzę innej możliwości. Chyba, żeby mu wbic srebrny albo żelazny gwoździć w czoło.

-W czoło nie można, bo turyści go oglądają.

-No to został tylko kulek. Może go wbic tak, żeby nie wystawał. Załóżcie na wierzch nową marynarkę i będzie gut.

-A nie dałoby się wbic kulka od spodu?

-Ni. Po pierwsze będzie wam wyciekał ten tajny sos, a po drugie łopatką zasłania serce.

-Jeszcze jedno. Przydałoby się wykryć winnych takiego stanu rzeczy i oczywiście surowo ich ukarać.

-Myślę, że powinniście podejrzewać tych towarzyszy, którzy byli na placówkach na Haiti.

-Dlaczego?

-Tamtejsi Murzyni mają taką zabawną religię, nazywa się voo doo, ożywianie trupów.

General mrugnął i wydobyl spod biurka butelkę spirytusu.

-Wudu powiadacie? No to wypijmy za owocną współpracę - zachęcił.

Wypili. Dwie butelki później, Jakub zaczął nudzić, że warto by zabrać się wreszcie do roboty.

-No to chodźmy - powiedział general, podnosząc się ciężko.

Ruszyli długimi, betonowymi korytarzami, przy czym egzorcysta, co parę kroków, musiał potrząsać generałem i pytać go o dalszą drogę. Niebawem po zaglebieniu się w wąski korytarzyk zatrzymali się przed masywnymi drzwiami. Drzwi były wykonane ze stali.

-To tutaj - powiedział general, a potem oparł się o ścianę i zachrapał.

-Wstawaj! Gdzie jest klucz?

General otworzył leniwie jedno oko i wygrzebał z kieszeni płaski klucz.

-Mm-masz!

-No co ty, to przeciez nie od tych drzwi.

-Jj-jasne mm-mordeczko! To kluczyk od sejfiku.

-Jakiego znowu sejfiku?

-W Genewie. A w sejfiku milion zielonych papierkow dla ciebie, bo jestes moim najlepszym przyjacielem.

-A order bedzie? - zaciekawil sie Jakub bez zenady, chowajac klucz od sejfu do kieszeni.

General odpial z wlasnej piersi order Lenina i podal nowemu kumplowi.

-Masz! To ze zlota. Kupisz za niego kielbasy, czy inne takie.

Jakub umiescil order w kieszeni na piersi.

-Otwieraj wrota.

General otworzyl. Weszli po waskich schodkach na pietro. Tu znajdowaly sie kolejne drzwi. Byly niemniej potezne, nie mialy dziurki od klucza, a za to tarcze, jak w telefonie. General znowu zaczal drzemac oparty o sciane.

-Te, general, jaki jest szyfr?

General wyjal z kieszeni olowek i nie otwierajac oczu, zapisal na scianie rzad cyfr. Jakub wykrecil je na tarczy, ale nic sie nie stalo.

-No co ty? Nie otworzily sie.

General otworzyl jedno oko. Popatrzył metnie na drzwi.

-A, to do tych drzwi - powiedzial. - Myslalem, ze chodzi ci o kod do glowic.

Nowy rzadek cyfr okazal sie lepszy. Drzwi odjechały w bok. Weszli do sporego pomieszczenia. Wodz lezal w trumnie i robil miny. Szkło bylo w kilku miejscach pekniete.

-Kto to tak porozbijal?

-Wartownik przestraszyl sie i walil kolba. Juz go rozstrzelalismy.

-No to do dzieła - zaczal odkrecac sruby. Zaledwie zdjeli pokrywe, wiecznie zywy wodz usiadl.

Jakub popchnal go z powrotem do pozycji lezacej.

-Narzedzia - polecil.

-General dal mi kolek i mlotek, ale wtedy Lenin zaczal wylazic z trumny - powiedzial Jakub i zrobil przerwe na jeszcze jedno piwo.

-Masz chlopie fantazje - powiedzial jakis menel z Uhan. - Ale z tym Leniem wylazacym z trumny to bujda na resorach.

-Ja lze? - wsciekł sie Jakub. - No pewnie!

-Odszczekaj, bo ci flaki wypruje!

-Ty? Nie tacy probowali.

-Kto jest z kim? - dopytywal sie Semen.

W dziesiec sekund pozniej zaczelo sie istne pandemonium. Jakub, ryczac jak kastrowany knur, porwal krzeslo, na którym dotad siedzial i zaczal kruszyc na maczuga, walac nim w sciane. Menel wolno wycofal sie w strone swoich kumpli. Tomasz zdjal marynarkę i wszyscy zobaczyli, ze jest w pasie owiniety lancuchem krowiakiem.

-Odszczekaj - zawył egzorcysta.

-Wala!

Jakub wydal z siebie bojowy okrzyk i runal na wroga. Kumple, wywijajac roznoraka bronia, ruszyli za nim. Noga krzesla zderzyla sie ze stołem podniesionym przez silny kop do pozycji pionowej. Puste butelki zabrzeczaly, roztrzaskujac sie na podlodze. Tomasz, wywijajac lancuchem i wyjac, wskoczył na inny stol i z gory atakowal uchanczykow, ci nie pozostali mu dluzni. Celnie rzucona butelka wybila mu kilka zebow. Semen przebijal sobie droge piesciami. Mimo setki na karku, nic nie stracil z dawnego kunsztu.

Wodz uchanczykow oderwal mocnym szarpnieciem noge od stolu, przy ktorym akurat sie znalazl i wywijajac w powietrzu mlynki, rzucil sie na wrogow. Roztrzaskiwaly sie butelki i lampy. Agent ukryl sie za barem i klal w bezsilnej wscieklosci. Gdyby mieszkal w Ameryce, mialby tam zapewne obrzyzna lub telefon komorkowy. Ale to byla Polska, dlatego mial jedynie siekiere. A ich bylo tylu...

Wycie Jakuba stalo sie straszne. To juz nie byl spokojny wiejski chlopek - roztropek. To wodz hordy pitekantropow, atakowal horde neandertalczykow. Alkohol i szal bitewny w jednej chwili zerwaly z niego cala cywilizowana otoczke. Wargi cofnely mu sie, uwidaczniajac zebry. Ach gryzc, szarpac, rwac...Starli sie wreszcie, on i menel. Dwa opetane zadza krwi malpoludy. Spletli sie w poteznym uscisku i miotali, walac soba o sciany. W ktorymś momencie trafili na drzwi. Lichy, socjalistyczny produkt nie wytrzymal uderzenia dwu cial. Drzwi wypadly ze sciany razem z futryna i obaj zapasnicy stoczyli sie po schodkach na chodnik. Gdy oprzytomnieli, stalo nad nimi trzech roslych milicjantow.

-No to zapraszamy do naszego hotelu za kratkami - powiedzial posterunkowy Birski.

Dwadziescia minut pozniej na komendzie praktykant Rowicki wypelnial rubryki formularza, tworzac spis przedmiotow, skonfiskowanych uczestnikom zajscia. Zawartosc kieszeni egzorcysty przedstawiala sie wedle tego nastepujaco:

-Moneta zolta, okragla, z napisem Twenty Dolars szt. I

-Chustka do nosa papierowa szt. I /uzywana/.

-Szkłana fifka do papierosow /stluczona/.

-Portfel meski /pusty/ szt. I

-Linka hamulcowa z petla na koncu szt. I

-Otwieracz do butelek /radziecki/.

-Klucz plaski z napisem "Genewa Credit Suisse".

-Order zolty, w ksztalcie gwiazdy, ze srebrna glowa Lenina... Lenin 2: Cos przetrwalo

W ponurym, betonowym lochu na piatym poziomie piwnic wrytych pod Kwaterna Glowna KGB panowal wieczny polmrok. Dwa rzedy stalowych drzwi zaopatrzonych w zamki szyfrowe bronily tajemnic zbyt strasznych, by mogla poznac je klasa robotniczo - chlopska. To tutaj zapadaly decyzje o kierunkach rozwoju ludzkiej cywilizacji. To tutaj testowano nowe, smiercionosne bronie, ktore niebawem posluzyc mialy umacnianiu swiatowego pokoju. Tu wreszcie prowadzono smiale eksperymenty naukowe, ktorych wyniki zrewolucjonizowac mialy wszystkie galezie nauki.

Za stalowymi drzwiami setki dzielnych agentow KGB pracowalo w pocie czola nad tym, by sluzyc i chronic szczesliwa wyspe wolnosci i dobrobytu, nieustannie atakowana ze wszystkich stron przez kapitalistycznych krwiopijcow. Tu wreszcie w piwnicach wysypanych trocinami gineli z przeklenstwem na ustach najwieksi wrogowie postepowej ludzkosci.

Caly kompleks byl oczywiscie scisle tajny. Co kilkanascie metrow na korytarzach stali dumnie wyprezeni wachmani pilnujacy, aby zaden szpieg nigdy nie wdarl sie w te tunele...Ale bylo miejsce jeszcze bardziej tajne. Na koncu jednego z lochow znajdowaly sie stalowe drzwi zaopatrzone w tabliczke

Wydzial XI KGB.

Przed tymi wlasnie drzwiami staneli dwaj ludzie w mundurach bez dystynkcji. General Kalmanawardze zastukal. Szczeknela kłapa judasza. Wartownik stojacy po drugiej stronie drzwi zlustrowal ich posepnym spojrzeniem i rozpoznawszy zwierzchnika, niechetnie wpuscil do srodka. Weszli, a drzwi z grobowym loskotem zatrzasnely sie za ich plecami. Wachman zasalutowal jak automat.

-Towarzyszu generale posłusznie melduje, że podczas mojej służby, w strzeżonym obiekcie nie zaszły...

-Spocznijcie, spocznijcie - dobrodusznie powiedział general.

Wartownik oparł dłoń na kolbie pistoletu maszynowego.

-A to, to kto? - zlustrował spojrzeniem drugiego przybysza.

-Pulkownik Tichobzdiejew - przedstawił się drugi z gości, wyjmując z kieszeni legitymację. - Wydział Badawczy GRU.

Wachman obejrzał legitymację z głębokim zdziwieniem.

-Co to jest GRU? - zapytał generala.

-Radziecki wywiad wojskowy - wyjaśnił mu zwierzchnik.

-Nigdy nie słyszałem nazwy GRU - mruknął strażnik.

-To dlatego, że ta nazwa jest ściśle tajna - wyjaśnił przybysz.

-Tak jest - zaszłował wachman. - Zaraz, jeśli jest ściśle tajna, to ja nie powinienem o tym wiedzieć...

-Słusznie - mruknął general, strzelając mu między oczy. Ciało chlapnęło na podłogę, prawie dokładnie wpasowując się w narysowaną kreda sylwetkę.

-No i kurcze znowu nie wycelowałem - general zawiedziony porównał kontur z nieboszczykiem.

-Widzę, że dbacie tu o zachowanie tajemnicy państwowej - w głosie pulkownika zabrzmiał głęboki szacunek.

-Staramy się - general uśmiechnął się z zażenowaniem. Nie przywykł do pochwał.

-I za każdym razem tak? - gość wskazał leżące na betonie ciało.

-Nas mnogo...

Wyjął z kieszeni telefon i wystukał jakiś numer.

-Oficer rozprawdzający? Witajcie towarzyszu. Potrzeba pilnie uzupełnienia, wydział jedenasty, sektor alfa. Był wypadek przy pracy...Co? Tak, tak jak zwykle. Przypadkowe usłyszenie tajemnicy państwowej zakończone samobójstwem.

Rozłączył się. Ruszyli długim, betonowym korytarzem. Niebawem zatrzymali się przed solidnymi drzwiami pokrytymi warstwą farby antykorozyjnej. General wpuścił w szczelinę czytnika kartę magnetyczną i wystukał kod.

-Widzę, że macie tu całkiem nowoczesne urządzenia - zauważył Pulkownik.

-A tak, nasi chłopcy rabneli w Japonii całego tira. Miał być z bronią, okazało się, że elektronika, ale przecież też się przyda...

Wreszcie drzwi ustąpiły. Weszli do sporej piwnicy. Zaraz koło wejścia siedział bardzo spasyony wachman. Na widok wchodzących poderwał się i zaszłował.

-Posłusznie melduje, że podczas mojej warty na terenie chronionego obiektu...

-Spocznij - powiedział dobrodusznie general - i odmaszeruj, poczekasz za drzwiami...

Zatrzasnal stalowe wrota. Zostali sami. - A zatem - Kalmanawardze pstryknal przelacznikiem - Oto nasze osiagniecie.

Pod sufitem zaplonely swietlowki. Ich blask wydobyl z ciemnosci cale pomieszczenie. Posrodku przykrecone do podlogi stalo krzeslo. Na krzesle siedziala dziewczyna w diademie na glowie. Miala na sobie suknie z jedwabiu morelowego koloru, ozdobiona przy kolnierzu i mankietach koronkami. Dziewczyna zostala przywiazana do krzesla bardzo duza iloscia konopnego sznura. Usta zaklejal jej tandetny plaster. Dziewczyna usilowala wrzeszczec, ale knebel trzymal mocno.

Pulkownik obejrzal ja sobie z zainteresowaniem.

-Wyglada jakby sie z filmu urwala - powiedzial. - Ubrana jak strach na wrole, ladniutka jak aktoreczka...

-A wiec towarzyszu Tichobzdiejew macie przed soba prawdziwa ksiezniczke - oswiadczył general z zadowoleniem.

-Cos podobnego - zdumial sie pulkownik - Jakim cudem sie uchwala. Po siedemdziesieciu latach wladzy radzieckiej...Az strach pomyslec, ze przez cale lata pila krew naszych robotnikow i chlopow...

-To nie nasza. U nas takie dawno wytepiono, musieli chlopcy za granica lowic...

-Rozumiem - mruknal przybysz. - To znaczy nie rozumiem. Po co nam ona?

-Zaraz zobaczycie - usmiechnal sie general. Podeszedl do lezacego na stoliku interkomu i wystukal sekwencje szyfru.

-A wachman, ktory pilnuje, nie probowal wykorzystac sytuacji? - zaciekawil sie pulkownik - ostatecznie nieco dzien zdarza sie...

-Wykastrowalismy go - wyjasnil general - Jest nam zbyt potrzebna, aby narazac ja na przedwczesne zuzycie..., ale gdybyscie towarzyszu mieli ochote, to po demonstracji...

-No wiecie, widze, ze macie tu w KGB burzuazyjne odchyly! Luksusow sie zachciewa...wladza robotniczo - chlopska...

-Alez nie - usmiechnal sie general - My to robimy tylko, zeby jej przywrocic swiadomosc klasowa. Ale jak nie chcecie ryckac, to nie bede zmuszal.

Pulkownik popatrzył na ksiezniczke.

-Chce - jeknal cicho.

-Da sie zalatwic po znajomosci..., ale najpierw praca, potem przyjemnosci.

Rozległ się cichy brzęczyk, a w ścianie otworzyła się kłapa windy. Na podestwie stało tekturowe pudełko.

General otworzył drzwi. Do pomieszczenia wmaszerowali dwaj wachmani. Jeden dzierzył miotłę i szufelkę, drugi miał zarzucony na plecy pekaty worek. Zaraz też odwiązał sznurek i wysypał obok księżniczki trociny. Nieduzymi grabkami rozprowadził je tworząc dwucentymetrową warstwę. Drugi oparł miotłę o ścianę.

-Widzę, że technika zakładania przenośnych punktów egzekucyjnych nie odbiega od naszej - pochwalili pułkownik.

-No cóż, opieramy się na podobnej, chlubnej tradycji...Od czasów rewolucji...

Wyjął z windy pudełko i postawił na stole. Zdjął tekturową pokrywkę.

-Widzę tu dwie zaby - zauważył gość.

-Aha - Kalmanawardze potwierdził jego przypuszczenia. - No to teraz patrzcie uważnie.

Złapał zreźnie pierwszego plaza i podszedł do księżniczki. Jeden z wachmanów odkleił plaster. Księżniczka zawyla jak syrena.

-Chyba chce niemieckiego konsula - pułkownik zidentyfikował niektóre wywrzaskiwane przez dziewczyste wyrazy.

-Już wam mówiłem towarzysko księżniczko, że nie wpuszczamy tu obcych dyplomatów - powiedział łagodnie general. - A jeśli nawet, to oczywiście nie po to, żeby ich później wypuszczać...- uśmiechnął się do swoich wspomnień.

Księżniczka nie przestawała wrzeszczec.

-Jest nawet miła, ale nie rozumie po naszemu - wyjaśnił general - A więc do roboty.

Jeden z wachmanów przyłożył arystokratce w łeb. Pomogło - natychmiast umilkła.

-Uważaj - ostrzegł go general. - To cholernie delikatny materiał...Ci kapitalistyczni ludzie to jak z gówna zrobieni...

Jedną ręką złapał ją za warkocz, a drugą podsunął zębę do jej ust.

-Całuj cholero - warknął.

Błysnęło zielone światło i na ziemi zwalił się obity na ryju mężczyzna w okularach.

-Brac go, jest oszłamiony - polecił general.

Straznicy odciagneli nieprzytomnego na bok i rzucili na trociny. General wyjal z pudelka druga zabe. Znowu blysnelo swiatlo i na ziemie wywalil sie mezczyzna w bialym stroju i wysokiej, kucharskiej czapce.

Wachmani pochyli sie nad nim, ale zwierzchnik powstrzymal ich gestem.

-Zaraz, zaraz - mruknal - cos mi sie tu nie zgadza...Ten tutaj - wskazal okularnika - to niejaki Suworow, nasz szpieg, ktory uciekl na Zachod i wypisywal paszkwile na nasza socjalistyczna ojczyzne, ktora go wychowala, wykarmila i dala mu prace...

Zdenerwowal sie do tego stopnia, ze az mu rece zadrzaly.

-Spokojnie - pulkownik poklepal go po ramieniu. - Nie trzeba sie tak denerwowac...

-A ten tutaj - wskazal kucharza - Mial byc przewodniczacy francuskiej partii komunistycznej, ktory zaczal zdradzac odchyly...Ale cos musieli pokrecic na miejscu...Trudno, rzucicie go w kacie, jak dojdzie do siebie sam wyspiewa, kim jest.

-A on? - pulkownik wskazal szpiega.

-A, bylbym zapomnial - general strzelil do lezacego. Ciało zadrzalo i znieruchomialo. Wachmani szybko i sprawnie posprzatali.

-Z tymi zabami jednak nie wszystko jeszcze jest dla mnie jasne - mruknal pulkownik. - Gdybyscie towarzyszu zechcieli zreferowac...

-To proste. Nasz wydzial rok temu upolowal w tajdze prawdziwa czarownice...Gdy ja upolowali, to znaczy zanim ja upolowali, zamienila osmiu agentow w zaby...KGB wyznaje zasade, ze zawsze nalezy dbac o naszych ludzi i ratowac poki sie...No to sprowadzilismy ksiezniczke, zeby ich odczarowala. A kiedy juz sie udalo pomyslam, ze przeciez mozna to wykorzystac na wieksza skale. A wiec babcia siedzi pod ambasada w Paryzu. A ksiezniczka tutaj. Upraszczejac, staruszki - jedzy uzywamy jako aparatury szyfrujacej, a ksiezniczka jest swojego rodzaju dekodere.

Pulkownik z wrazenia cofnal sie o krok.

To wspanialy triumf przodujacej, radzieckiej nauki - wykrzyknal. - Ale gdzie prawo zachowania masy?

-Anulowane. Szkoda, ze to scisle tajne - westchnal General Kalmanawardze. - Nagroda Nobla przeszla kolo nosa. Ale przynajmniej order dali - zademonstrowal zlota gwiazde na kolorowej wstazeczce.

Pulkownik podziwial ja, a potem pokazal swoje odznaczenia. Obaj wojskowi nie zauwazyli, ze przez ciało przywiazanej do krzesla dziewczyny przebiegl dziwny dreszcz. Nogi kilka razy

zadrzaly, a potem glowa opadla na piersi...

Z zamyslenia wyrwal ich dopiero brzeczyk przy windzie. Otworzyla sie klapa i we wnece ukazalo sie kolejne, tekturowe pudelko. General pospieszyl i wydobyl je wraz z jakas kartka. W kartonie siedziala tylko jedna zaba.

-To nasz najlepszy agent - pulkownik zreferowal tresc kartki przyczepionej do pokrywki. - Musieli go pilnie ewakuowac...

-No to do dzieła, towarzyszu agencie, zaraz bedziecie tacy jak dawniej - general usmiechnal sie do zaby. Ruszyli w strone ksiezniczki.

-Cos kiepsko wyglada - mruknal Tichobdziejew.

-Delikatna, psia krew - dlon generala zacisnela sie zezlosci, a zaba zarechotala rozpaczliwie. - Zabiore ja jutro do kolchozu. Jak porobi w polu kilka dni, to doceni jeszcze nasza opieke i wygody...

-Wydaje mi sie, ze ona nie zyje - pulkownik pochytil sie, zajrzal jej w twarz.

Cholera, tak szybko sie zuzyla? - zdumial sie jego towarzysz. - Na pewno nie zyje?

Pulkownik przylozyl jej dlon do piersi, a na jego twarzy odmalowal sie wyraz rozmarzenia.

-Mmmm - mruknal.

-Ty mi nie badaj anatomii, tylko sprawdzaj, czy zyje!

-Nie zyje, ale jeszcze ciepla. Dajcie te zabe towarzysz. - Moze jeszcze zadziala?

Przylozyli zabe do stygnacych ust, ale nic z tego nie wyszlo.

-Cholera - general rzucil agenta z powrotem do pudelka - do dupy z taka robota. Zamowie nastepna, to chlopaki sie wsciekna. Nie zamowie, zginie nasz najlepszy czlowiek. Wtedy dopiero sie wsciekna...

Wyjal z kieszeni pistolet i wykrecajac reke, przytknal sobie lufe z tylu glowy.

-Co wy robicie? Towarzyszu! - zdumial sie jego gosc.

-Jak to co? Popelniam samobojstwo dla unikniecia odpowiedzialnosc - wyjasnil z godnoscia general.

-Ale tak?

-Tradycja naszej sluzby zobowiazuje. W taki sposob popelnil samobojstwo sam Feliks Dzierzynski. Czytalem w ksiazkach historycznych. Zabil sie trzykrotnym strzalem w potylicę...A tobie radze to samo. Lepsza smierc z wlasnej reki niz zamiatanie do konca zycia poligonu atomowego w Kazachstanie...

-A moze by ja jakos ozywic? - zadumal sie pulkownik. Generalowi scierpla wykrecona reka, wiec opuscil ja i uwaznie sluchal goscia.

-Nasza przodujaca radziecka nauka jeszcze nie potrafi ozywiac zmarlych - zauwazyl.

-Ale z Leninem przeciez sie udalo - pulkownik spojrzal na kolege swidrujacych wzrokiem.

-A wy skad o tym wiecie?

-A myslicie, ze co, mamy swoje zrodla...skoro ten caly Wedrowycz potrafil unieszkodliwic Lenina, to moze umie tez podzialac w druga strone?

-Moze i faktycznie warto sprobowac - mruknal general. A potem zdjal sluchawke czerwonego telefonu wiszacego na scianie i zaczal wykrecac numer.

-Swoja droga to skoro Lenin ozyl, dlaczego nie wypusciliscie go na wolnosc? - zagadnal pulkownik.

-A po co? Jeszcze by uciekl i zrobil rewolucje swiatowa...

-To chyba dobrze...Nie byloby kapitalistow...

-I od kogo byśmy pozyczali pieniadze na zbrojenia? - general usmiechnal sie z politowaniem.

W sluchawce rozlegl sie glos dyzurnego. Trzeba bylo wydac odpowiednie dyspozycje...

Tymczasem gdzieś daleko od Moskwy...

Oskarzyciel odchrzaknal i zaczal mowic. Jakub Wedrowycz oparl brode na skutych kajdankami rekach i wsluchal sie w jego slowa. Jednocześnie rozmyslal o manierce lezacej pod krzeslem, na którym siedzial w lawie oskarzonych. Manierke umiescil tam zapewne ktorys z jego kumpli, obecnych na sali.

-W toku sledztwa ustalono, co nastepuje. Oskarzony zakupil w bazie rolniczej w Wojslawicach uszkodzony elewator. Fakt sprzedazy mienia panstwowego osobie prywatnej jest jawnym pogwałceniem kodeksu karnego PRL i w tej sprawie toczyc sie bedzie osobne postepowanie. Nastepnie oskarzony przetransportowal elewator na teren swojego gospodarstwa i wyremontowawszy, zaraz po zniwach wypelnil go zbozem. Elewator ma pojemnosc piecdziesieciu ton. Biorac pod uwage, ze przechowywanie zboza w ilosci

wiekszej niz dwie tony, podpada pod paragraf o gromadzeniu zapasow spekulacyjnych...

-Veto - krzyknal Jakub, ale zignorowano go.

Spuscil wzrok w dol i podziwial manierke. Tracil ja lekko butem. Byla pelna.

-Ponadto do zakupu zboza od rolnikow upowaznione sa jedynie punkty skupu.

-Prosze o glos - powiedzial Jakub, wstajac. - Udzielam glosu oskarzonemu - sedzia ocknal sie z zamyslenia.

-Prosze, aby oskarzyciel udowodnil, ze ja to zboze kupilem.

-Nawet zaplaciles dolarami - odgryzl sie oskarzyciel.

-Wypraszam sobie. Czy moze w materiale dowodowym sa jakies dolary z moimi odciskami palcow?

-To skad oskarzony wytrzasnal piecdziesiat ton jeczmenia? - zapytal lagodnie wysoki sad.

-Ja go rozmnozylem wegetatywnie w elewatorze.

Sala wybuchla smiechem. Sedzia tez sie smial.

-Oskarzony zechce podzielic sie tym wynalazkiem z narodem - powiedzial. - Kto wie, moze to recepta na nasze przejsciowe problemy...

-Wysoki sadzie - powiedzial Jakub. - Sekret rozmnazania pszenicy przez paczkowanie przekazali mi przodkowie i poprzysialem zachowac go na potrzeby mojej rodziny! - usmiechnal sie zadowolony z aliteracyjnego zartu.

-Piecdziesiat ton lewego zboza to dopiero poczatek - glos oskarzyciela ociekal jadem. - Najwazniejsze jest to, co oskarzony z nim zrobil.

-Sluchamy - powiedzial sedzia.

-Oskarzony zalal jeczmen woda i dodal drozdzy, poczym odczekal miesiac. Nastepnie umiescil pod elewatozem piecyk gazowy, zreszta bez atestu...

-A skad mialem miec atest, jak sam go zbudowalem? - zaprotestowal Jakub, ale i tym razem nie dostal odpowiedzi.

-...Zas ze szczytu elewatora poprowadzil rure dlugosci dwudziestu metrow konczaca sie w jego plugawej siedzibie.

-Sprzeciw! - wrzasnal Jakub.

-Przyjmuje sprzeciw - powiedział sędzia. - Nawet jeśli ten dom przypomina dawno nie sprzątny chlew, należy zachować odrobinę szacunku dla oskarżonego - pouczył prokuratora.

-Proszę o głos - odezwał się podsądny.

-Udzielam.

-Wysoki sędzio przyjmuje za dobrą monetę twierdzenia oskarżyciela?

-A ma pan jakieś wytłumaczenie?

-Ależ wysoki sędzio! Piecdziesiąt tysięcy litrów zacieru?

-Proszę wobec tego przedstawić swoją wersję wydarzeń.

Jakub był na lekkim kacu i pewnie dlatego miał taką fantazję.

-Wysoki sędzio. To było tak. Pewna ilość wody znajdowała się w elewatorze już wcześniej. Była niezbędna w procesie rozmrażania. Zresztą, to szczegóły techniczne o drugorzędnym znaczeniu. Bezpośrednio po napełnieniu się zbiornika spadł gwałtowny deszcz, ja zaś zapomniałem zamknąć pokrywę i woda opadowa zalala...

-Mam pytanie do oskarżonego - odezwał się oskarżyciel.

-Zezwalam.

-Jak wy, obywatelu Wedrowycz, wyjaśnicie nam taką okoliczność. Elewator ma sześć metrów wysokości. Woda deszczowa nie mogła go napełnić z tej prostej przyczyny, że według wskazanej stacji meteorologicznej w Krasnymstawie suma opadów z miesiąca, w którym podejmował pan swoje nie zgodne z prawem i poczuciem ludzkiej przyzwoitości...

-Krocej - polecił sędzia.

-...Działania, suma opadów wyniosła zaledwie dwadzieścia centymetrów?

Jakub pociągnął bimbru z manierki, aby rozjaśnić sobie umysł. Milicjanci zaraz mu ją odebrali.

-Co było w tym bidonie? - zaciekawiał się sędzia.

-Bimber - wyjaśnił milicjant, wachając z wyraźnym obrzydzeniem zawartość.

-Czy oskarżony może nam wyjaśnić pochodzenie tego przedmiotu?

Jakub mrugnął kilkakrotnie oczami.

-Nie wysoki sędzie.

-Na pewno nie?

-Wrogowie podrzucili, aby mnie skompromitować.

Sędzia ukrył na chwilę twarz za stołem. Gdy ją podniósł, był lekko zaczerwieniony.

-Wróćmy do sprawy - polecił.

-Tak więc silos nie mógł napełnić się wodą deszczową - zakończył oskarżyciel.

-Proszę o głos.

-Udzielam.

-Wysoki sędzie. Mam tu do czynienia z nadinterpretacją mojej wypowiedzi - głos bimbrownika oczekiwał godności. - Z tego, co powiedziałem, a co można z całą pewnością sprawdzić w protokole, nie wynikało, że elewator napełnił się wodą deszczową w całości. Co więcej, wspomniałem o obecności w nim wody użytej w procesie namnazania ziarna. Ponadto oskarżyciel nie wyjaśnił, czy elewator wypełniony był wodą w całości, czy może na przykład w jednej trzeciej.

-Przyjmuje protest. Żechce pan kontynuować.

-Para z elewatora skraplała się w rurze i spływała do wanny oskarżonego.

-To także mogę wyjaśnić - zaprotestował Jakub.

-W celu rozlania i dystrybucji uzyskiwanej cieczy oskarżony naszykowane miał dwieście butelek po litrach. Według mnie, podane fakty wskazują jednoznacznie na działanie z zamiarem przestępczym.

-Proszę o głos - odezwał się Jakub.

-Udzielam.

-Wysoki sędzie. Prawda jest, że podgrzewałem elewator, jednak bynajmniej nie powiedziałem w nim niczego. Fakt istnienia dwudziestometrowej rury prowadzącej do mojej wanny mogę wyjaśnić w bardzo prosty sposób. Otóż uwielbiam gorące kąpiele, a nie mam siły dźwigać wiader z wodą z pieca. Mając do dyspozycji parę skraplałem ją, uzyskując ciepłą wodę. Uprzedzając następne pytanie oskarżyciela, spieszę wyjaśnić, że woda w wannie zawierała istotnie około pięćdziesięciu procent alkoholu, jednak bynajmniej nie pochodził on z silosa. W toku prac śledczych znaleziono u mnie dwieście butelek po spirytusie.

Mając możliwość zanurzenia się w ciepłej wodzie, zapragnąłem przy okazji wygubić

gniebiace mnie choroby skory i pasozyty. W tym celu napelniona do polowy wanne dopelnilem spirytusem zakupionym w sklepie. Co wiecej, nie zlamalem tu nawet ustawy o ilosciach spekulacyjnych, gdzy nie gromadzilem go, lecz natychmiast zuzylem dla podratowania swojego watlego zdrowia. No, a butelki zostaly. Oddalbym je do skupu, ale mnie capneli.

-Aresztowali - sprostowal odruchowo sedzia.

-Aresztowali. Przepraszam wysoki sadzie.

-W jakim celu podgrzewal pan elewator - zapytal sedzia.

Jakub zrobil mine niewiniatka.

-Jestem zbyt stary i slaby, aby wybierac wode wiadrami. Postanowilem ja odparowac.

Dwadziescia osob nie potrafilo zachowac powagi mimo perswazji sedziego i usunieto je z sali. Nastepnie sad udal sie na narade. Oskarzony z braku innego zajecia przechylil sie przez barierke i podjal rozmowe ze swoim kumplem Jozefem Paczenka.

-Jak cie wypuszcza, to zapraszam na balange. Bedzie jesiotr.

-Fajnie. Czym oblejemy?

-Bimbrem Mariusza. Miales racje, zeby przegonic adwokata i broniec sie samemu.

-Hy!

Jakub wyciagnal z kieszeni gazete i rozlozyl ja. Na pierwszej stronie wielkimi literami klul w oczy tytul: Maleja szanse na okragly stol. Zaczal powoli literowac tekst artykulu. Wrocil sedzia.

-Sad rozpatrzywszy zdania oskarzyciela i oskarzonego, oraz wysluchawszy swiadkow, uznaje obywatela Jakuba Wedrowycza winnym produkcji piecdziesieciu tysiecy litrow zacieru, kradziezy mienia panstwowego, nielegalnych operacji finansowych z uzyciem walut pochodzenia kapitalistycznego, gromadzenia nadwyzek spekulacyjnych w ilosci piecdziesieciu tysiecy kilogramow ziarna...

W tym momencie na sale wbiegl zaafierowany wozny sadowy i polozyl przed nim kartke papieru. Sedzia zamilkil i wpatrywal sie w nia przez chwile w oslupieniu. Nastepnie nabral w pluca metr szescienny powietrza i zmienil kolor twarzy na zupełnie czerwony. Potem spuscil powietrze, popatrzył w zadumie na wiszace na scianie godlo.

-W imieniu Polski Rzeczypospolitej Ludowej uwalniam obywatela Jakuba Wedrowycza od wszystkich zarzutow. Obywatelu Wedrowycz jestescie wolny.

Sala osłupiała. Jakub usmiechnął się i wyjawszy z rąk skamieniałego milicjanta manierkę unosił ją do góry.

-Pije zdrowie wysokiego sadu - powiedział. Sędzia nic nie powiedział, tylko rzucił w podsadnego młotkiem. Nie trafił, bowiem Jakub wymknął się już wejściem dla oskarżonych i wyszedł na korytarz. Czekało tu na niego dwóch barczystych wachmanów w radzieckich mundurach wojsk MSW, którzy wykrecili mu bez słowa ręce i skuli je kajdankami.

-Protestuje! - wrzasnął. - Znikąd nie uciekłem! Puscili mnie! Znaczą niewinny jestem!

-No to będziesz miał okazję dowiedzieć się, dlaczego cie puscili - powiedział jeden z nich. - W Moskwie.

-Gdzie? - zdumiał się Jakub.

-To takie miasto w Rosji - wyjaśnił drugi wachman, troskliwie zaklejając mu usta taśmą klejącą.

A potem wpakowali go do samochodu i powieźli w nieznane.

Mężczyzna w kucharskiej czapce z wysiłkiem otworzył oczy. Jego wzrok przetoczył się z wysiłkiem po pomieszczeniu.

-Sacre bleu - jęknął - gdzie ja właściwie jestem?

Przyłożył rozpalone czoło do betonu.

-Ano przypomnijmy sobie - mruknął. - Przyjechałem razem z innymi kucharzami z hotelu. Podawałem duszone raki na przyjęciu w radzieckiej ambasadzie. Konsul poczęstował mnie szklanką wódki, potem jeszcze butelka...Potem zakradłem się do piwnicy, gdzie siedzieli ruscy szpiegowie. Rowne chłopaki, wypiliśmy i powiedzieli mi jak zrobić bombę atomową. Potem była jeszcze jedna flaszką, potem pokazali mi tajne dokumenty, potem jeszcze flaszką i powiedziałem, że ja też jestem szpiegiem, tylko angielskim. Potem wypiliśmy za partię komunistyczną, potem za pokój na świecie, potem żeby królowa szłał trafił. Potem poszliśmy odwiedzić jakąś staruszkę w sąsiedniej piwnicy, następnie ganiały mnie małe białe myszki. No nie były takie małe, jak pociąg na wielkość...A teraz jestem tutaj, cholera wie gdzie...

Rozejrzał się wokół i spostrzegł krzesło z ciałem księżniczki. Wstał chwiejnie na nogi i podszedłszy potrząsnął ją delikatnie za ramię.

-Halo, mademoiselle, proszę się obudzić...

Głowa dziewczyny przetoczyła się bezwładnie z ramienia na ramię. Cofnął się przestraszony.

-O kurcze, ona nie żyje!

Nieoczekiwanie coś sobie przypomniał. Uniosł jej głowę do światła i przez chwilę wpatrywał się w stęzale rysy. Potem wyjął z kieszeni ulotkę i porównał.

-Hej! - wrzasnął uradowany. - To przecież zaginiona księżniczka von Schlezwig-Holstein, za odnalezienie której wyznaczono milion dolarów nagrody! Jestem bogaty!

Z radości podskoczył kilka razy. Nieoczekiwanie znieruchomiał.

-Zaraz - mruknął - jeśli ona nie żyje, to może nie zapłaca wszystkiego? Ile może być warta martwa księżniczka? Może 90%, a może tylko 70%?

Wyjął z kieszeni telefon komórkowy.

-Po co się martwić na zapas - wystukał numer z ulotki. - Sprawdź...Halo? - przyłożył aparat do ucha. Zaraz cofnął go i zaskoczony spojrzał na wyświetlacz.

-Co się dzieje? - mruknął. - Nie łapie pola...Zniechęcony usiadł na krzeselku.

-Nudno cholera - westchnął - I zjadłoby się coś...Wzrok jego spoczął na tekturowym pudełku ciągle stojącym na stole. Podniósł pokrywke i zobaczył dorodną ząbę.

-Francuski przysmaczek - mruknął. - Coś w sam raz dla mnie.

Pod krzesłem leżał widelec. "Kucharz" wytarł go o spodnie i nadział ząbę.

-Ratunku! - rozległ się cichy pisk.

Szpieg rozejrzał się wokół. Zwłoki księżniczki nie poruszyły się. Piwnica była pusta.

-Kto to mówi? - zaciekawił się.

-Ja. Masz mnie na widelcu. Jestem agentem KGB...

-Czego to ząba nie wymyśli, żeby uniknąć zjedzenia - mruknął z podziwem, a potem przystąpił do konsumpcji.

Zostało mu już tylko jedno udko, gdy nieoczekiwanie stalowe drzwi zazgrzytały i zaczęły się odsuwać. Kucharz porzucił ząbę i padłszy pod ścianę udał nieprzytomnego. Ostrożność ta nie była zbyt cenna, bowiem do piwnicy weszli Jakub, pułkownik i generał. Bystre oczy wioskowego egzorcysty omiotły pomieszczenie.

-A więc, w czym problem? - zapytał.

-Widzisz Jakub - generał nachylił się do niego konspiracyjnie. - Testujemy tu unikalny

system transformacji ozywionej materii rozumnej.

Oczy Wedrowicza spoczely na martwej ksiezniczce.

-To znaczy zamieniliscie kogos w zabe i nie mozecie odczarowac - przelozyl slowa generala na bardziej zrozumialy jezyk.

-Skad wiesz? - zdumial sie pulkownik.

Egzorcysta machnal reka.

-Nie wy pierwsi - machnal lekcewazaco reka i usmiechnal sie do swoich wspomnien.

-A wiec mamy problem z ksiezniczka - general wskazal na dziewczynie. - Jak widzisz zuzyla sie...

-Za intensywnie eksploatowaliscie - mruknal Jakub. - I co by tu teraz zrobic...

-Mozecie towarzyszu egzorcysto zrobic z niej zombie? - zapytal pulkownik.

-W sumie daloby sie - mruknal Jakub. - Ale wtedy odczarowani przez nia, tez zrobia sie zombie. A w zasadzie tylko jedna noga zombie...- zajrzal do pudelka.

Zaferowani wojskowi nie zwrocili na to uwagi.

-Cholera - zaklal general - Niepotrzebnie wleklismy go taki kawal...

-Hm. Agenci zombie - rozwazal pulkownik. - Bedzie trudno ich zabic...

-Ale z czasem zaczyna sie rozpadac - wyjasnil Jakub. - Poza tym smierdziec beda padlina na kilometr...I te rybie oczy, wyszczerzone zeby, zapadniete nosy, rozczapierzone palce...A szpiedzy nie powinni sie chyba az tak wyrozniac z tlumu...

-Dobra - zdecydowal general. - Zastrzelmy go i skladamy zamowienie na nowa ksiezniczke.

-Zaraz, zaraz - zdenerwowal sie Jakub. - Przeciez...

-To nic osobistego - wyjasnil Kalmanawardze - Po prostu takie sa przepisy o zachowaniu tajemnicy panstwowej.

Wargi Jakuba wykrzywily sie w pogardliwym usmiechu.

-Macie strasznie niehumanitarne metody zachowywania tajemnicy panstwowej - powiedzial.

Obaj mundurowi spojrzeli na niego zaskoczeni.

-A jakie sa te humanitarne? - zapytal pulkownik.

-A o! - egzorcysta wyjal z kieszeni manierke bimbru.

-Jak sie narobiemy, to zapomnimy wszystkie tajemnice - wyjasnil.

Tichobdziejew wzruszyl ramionami.

-Moze to i humanitarne - powiedzial general - ale nasze sposoby sa o wiele bardziej skuteczne.

Uniosl bron do strzalu.

-Jakub uzyj mocy - wrzasnal po polsku lezacy pod sciana kucharz.

Jakub uzyl mocy. Huknelo, blyselo i zgaslo swiatlo. W ciemnosciach padl strzal, po chwili drugi. Jakub wyjal z kieszeni obgryziona swieczke i zapalniczke. Skrzesal ognia i poswiecil. Obaj dzielni agenci i ten z KGB, i ten z GRU lezeli martwi. Kucharz nabijal pistolet.

-Zastrzelil kumpla, a potem popelnil samobojstwo - usmiechnal sie wrednie.

-Jaaasne doktorku - mruknal Jakub. - Niech i tak bedzie. A cos ty za jeden?

-Jam Bond, James Bond...

-Aha. A ja jestem Wedrowycz, Jakub Wedrowycz - przedstawil sie egzorcysta. - ale skoro wiedziales, ze mam moc, to pewnie mnie znasz...

-Wspominano nam na szkoleniu - wyjasnil - Choc nie sadzilem, ze bedzie mi kiedyś dane poznac osobiscie...

-Jak sie stad wydostaniemy?

-Proponuje wspiac sie szybem windy i wyciac dziure w suficie - powiedzial powaznie szpieg. - To zwykly beton, a ja mam laser w zegarku...

Pomacal sie po przegubie i zaklal wsciekle.

-Musieli mi rabnac, jak bylem pijany - westchnal.

Jakub pochyлил sie nad trupem generala.

-Przebierzmy sie - zaproponowal, rozpinajac poplamiony krwia mundur nieboszczyka.

Po chwili dwaj wysokiej rangi funkcjonariusze radzieckich sluzb specjalnych wyszli z piwnicy. Zatrzasneli za soba ciezkie stalowe wrota.

-Dokad teraz? - zagadnal egzorcysta.

-Hm. Skoro juz tu jestesmy, to co powiesz na to, zeby troche zmienic losy swiata? - zapytal Bond.

-Jestem za. Tylko jak?

-Zobaczysz...

Po kilku minutach staneli przed kolejnymi stalowymi drzwiami. Szpieg wsunal klucz kodowy w szczeline i wystukal szyfr.

-Ty, skad wiesz jak sie to otwiera? - zdumial sie egzorcysta.

-To juz dawno wyszpiegowalem, tylko nie bylo okazji, zeby sie tu dostac i wykorzystac.

-A ja znam kod do glowic - pochwalil sie Wedrowycz, - jak sie je stad odpali, to mozemy zrobic III wojne swiatowa...A to sie ludziska zdziwia...

Wreszcie drzwi ustapily. Stalo tu biurko pokryte dzwigniami i przelacznikami. Kolorowe swiatelka mrugaly delikatnie. Jakub zawsze kochal technike. Mial juz taka analityczna nature, ze lubil rozne rzeczy rozbierac na czesci. Ale Bond go ubiegl. Zasiadl za biurkiem i zalozyl sluchawki na uszy.

-Stad komunisci rzadza polowa swiata - powiedzial. - To znaczy rzadzili. Teraz nasza kolej.

Wedrowycz zatarl rece z uciechy. Od dawna chcial sobie porzadzic, tylko jakos nigdy nie bylo okazji. Bond wcisnal pierwszy z brzegu przycisk. Nad przyciskiem widnial napis "Polska".

-No to zegnaj komunizmie - usmiechnal sie agent. - Ty bedziesz mowil - polecil egzorcystcie - bo ja po polsku raczej slabo...

-Komitet centralny, sluchamy! - rozleglo sie z glosnika. Taki obrot spraw troche Jakuba zaskoczyl. Jednak stanal na wysokosci zadania.

-Mowi Moskwa - powiedzial grobowym glosem.

-Tak jest! - ryknal sluzbiscie glosnik. - Sluchamy polecen...

-Dajcie towarzysza Cioska - polecil.

-Kiedy towarzyszu konsultancie, towarzysz Ciosek spi w swoim gabinecie. Mial ciezka narade.

-To go do cholery obudzcie! My tu w Moskwie tez mielismy ciezki dzien, a pracujemy.

-Tak jest.

Po chwili w sluchawce rozlegl sie zaspany glos.

-Ciosek. Slucham.

-Co tam z tym okraglym stolem towarzyszu? Dluogo mam czekac?

-Towarzyszu konsultancie, ale trzy dni temu mowiliscie, zeby nie...

-Naradzilismy sie tu w Politbiurze i zdecydowalismy, ze jednak ma byc tak, jak teraz mowie...

-Ale general Jaruzelski...

-Kto tu jest do cholery wazniejszy ja czy on?

-Wy towarzyszu konsultancie...

-Rozmowy maja sie zaczac jutro. Stol stoi przeciez w Magdalence?

-Tak jest, ale general...

-To powiedz generalowi, zeby sie nie pieklil, bo go zaprosimy w gosci - glos Jakuba zabrzmial naprawde zlowrozbnie.

-Tak jest.

-Zaczniecie o osmej rano.

-Ale to juz tylko trzy godziny.

-Co to do cholery za wykrety. Wyciagnac towarzyszy z lozek. Zapewnic wojskowy transport lotniczy. Chyba, ze chcecie pokarmic biale niedzwiedzie.

-A jak sie od tego zawali socjalizm? - zaniepokoil sie rozmowca.

-To juz nasz problem. Wykonac!

Wylaczyl mikrofon i rozparl sie w fotelu.

-Jak mi poszlo? - zapytal.

-Kurcze Jakub, jestes urodzonym szpiegiem - westchnal z podziwem Bond. - Teraz poczekaj, musze pogadac z Honeckerem.

Przysunal do siebie mikrofon i zaczal wyrzucac krotkie, rozkazujace zdania po niemiecku.

Jakub, myszkując po pomieszczeniu, znalazł butelkę stolicznej. Wypił kilka łyków i nalał szpiegowi do szklanki po herbacie. Była to prawdziwa szkocka Whisky, ale nie miał o tym pojęcia. W głowie przyjemnie mu zaszumiało. Bond wcisnął kolejny guzik i zaczął gadać po czesku. Następnie polecenia wydał po rumunsku, jeszcze kolejny...

-Szkoda, że nie znam amcharskiego - powiedział wreszcie, wyłączając urządzenie.

-A to gdzie ta Amcharia? - zaciekawil się Jakub.

-Po amcharsku mówią w Etiopii. Ale coż, tam miejmy nadzieję poradzi sobie lokalna partyzantka...

-A jak się KGB dowie, ale będzie cyrk - mruknął egzorcysta i pociągnął jeszcze raz z gwinta.

-No, będzie zadyma - uśmiechnął się Anglik. - Lepiej stąd znikać... Tylko najpierw - wypial spinki z koszuli, nastawił na nich czas i podpiał je pod konsolę.

-Żeby nie mogli już niczego odwołać - wyjaśnił. Ruszyli przez betonowe korytarze. Od czasu do czasu otwierali jakieś drzwi, ale nigdzie nie mogli znaleźć wyjścia. Musiała być noc, bo w laboratoriach nie było nikogo. Jakub zaopatrzył się tu w pudełko uniwersalnego oglupiacza, Bond też coś upychał po kieszeniach. W innym magazynie znaleźli całe stosy worków z różnymi walutami.

-Kurde tyle forsy się marnuje - westchnął Jakub.

-Chcesz, to weź - Bond rzucił mu worek z polskimi banknotami. - Po co ma się tu kisić...

Jakub wsadził sobie prezent za pazuchę. Wreszcie stanęli przed znajomymi drzwiami.

-Kurcze, jaki tu może być szyfr? - zamyslił się szpieg.

-A ja wiem - uśmiechnął się Jakub.

W tym momencie, gdzieś w głębi lochów, rozległ się głuchy huk wybuchu.

-No to spinki zadziałały - mruknął Bond. - Zaraz zaczną nas szukać.

Faktycznie zawyla syrena. Gdzieś z oddali dobiegł ich uszu narastający tupot nóg. Jakub wykrecił na tarczy kombinację cyfr: 1 - 2 - 3 - 4 - 5. Drzwi ustąpiły. Weszli do sporej sali. Pod ścianą znajdował się kołowrot.

-Cholera nie da się tego zatrzasnąć od środka - szpieg obmacywał drzwi.

-Zaraz sobie poradzimy...

Egzorcysta uruchomił kolowrot. Z sufitu powoli zjechała platforma. Stał na niej sarkofag z mumia jakiegoś lysa.

-Rany, to przecież Lenin! - zdumiał się Bond.

-A pewnie, że Lenin. To zapasowe wejście do mauzoleum i tamtedy wyjdziemy na wolność...Tylko najpierw...

Tupot podkutych butów zbliżał się...Egzorcysta szarpnął, rozpiął kamizelkę na piersi wodza. Wymacał osikowy kolek i wyrwał go jednym ruchem. Lenin otworzył oczy.

-Co się stało? - wymamrotał.

-Nastąpiła rewolucja światowa - Jakub pomógł mu wstać i wetknął mu pistolet generała w dłoń.

Wypchnęli mumię za drzwi, następnie wsiedli do trumny. Zaterkotał kolowrot i platforma pojechała do góry.

Dwunastu wachmanów, specjalnie przeszkolonych do zwalczania szpiegów, wypadło zza zakretu. W wąskim korytarzu ktoś szedł im naprzeciw.

-Rany Boskie! - jęknął jeden z agentów, choć był ateista - Co to jest?

Lenin przechylił lysą głowę.

-Co tu się dzieje - huknął - Władza ludowa powołała was byście jej strzegli, a wy sobie biegniecie po korytarzach urządzacie?

-Wodzu wybacz - jęknął jeden z agentów. - Jacyś szpiegowie wysadzili dyspozytornię...

-To jak niby mam pokierować rewolucją światową - wściekł się Lenin. - Mielście pilnować, a nie upilnowaliście...Za takie przewinienie może być tylko jedna kara, kara śmierci - automatycznym ruchem unosił rękę ze śpiwu.

Dowódca oddziału oprzytomniał pierwszy.

-Może to i Lenin, ale rozwalcie go! - wrzasnął.

W betonowym lochu ponuro zabrzmiały salwy z 12 pistoletów maszynowych i pojedyncze suche strzały parabellum osemki...

Jakub wszedł do gospody w Wojsławicach.

-Pryta truskawkowa ze spirytusem - zadysponował - wstrząśnięte, niemieszane.

Barman wytrzeszczył na niego oczy. Kumple też popatrzyli zdumieni. Nigdy nie słyszeli o takim napoju. Jakub zauważył ich spojrzenia pełne nagany, ale zinterpretował to nieco inaczej.

-Wszystkim stawiam - wrzasnął na całe gardło.

-Chłopaki właśnie załatwiłem nam koniec komuny, musimy to oblać...

-A masz czym zapłacić? - zaciekawił się agent. Jakub wyciągnął zza pazuchy bankowy worek, zerwał plombę i wysypał zawartość na stół. Takiej kupy banknotów jeszcze w swoim życiu nie widzieli. Sala zamarła w bezruchu. Tylko jeden człowiek poderwał się dziarsko ze swojego miejsca. Posterunkowy Birski. Podszedł cicho i położył Jakubowi ciężką rękę na ramieniu.

-No coż obywatelu Wedrowycz. Za wcześnie widac puscili.

-Ale to legalnie!

-W bankowym worku robaczku? Skąd to masz?

-Dał mi James Bond w kwaterze głównej KGB! - Jakub lubił mówić prawdę...

Wszyscy zgromadzeni parsknęli śmiechem i rechotali jeszcze, gdy posterunkowy wyprowadził skutego kajdankami Jakuba. Worek zabrał ze sobą. Okazja

Paweł Bardak orzał zagon za stodołą. Dychawiczna szkapę leniwie ciągnęła plug przez rozmiękłą po deszczach ziemię. Oracz już wygasły niedopalek zwisający mu z kącika warg. W ustach miał przekleństwo. Pośrodku pola lemiesz zatrzymał się nieoczekiwanie, uderzywszy w coś twardego. Do zamroczonego bimbrem umysłu Bardaka przeniknęła myśl, że w tym miejscu, co roku trafiał na jakąś przeszkodę. Może kamień? Zaklął siarczysto i cofnął się nieco, ciągnąc za rączki pluga. Następnie machnął batem i zdzielił szkapę. Kon szarpnął się. Coś zazgrzytało, po czym uwolnione zwierzę pobiegło do przodu, ciągnąc za sobą drewnianą ramę. Lemiesz został w ziemi. Bardak zaklął wściekle, a potem poszedł do chalupy. Po półgodzinie powrócił uzbrojony w szpadel. Klnąc pod nosem, wykopał spora dziurę i wyrwał z ziemi żelazo. Oglądał dłuższą chwilę stepiony grót i peknieta odkładnice. Z kieszeni wyciągnął flaszkę i pił chciwie. Letni bimber dodał mu siły. Zaczął machać szybko szpadłem i po godzinie z okładem odsłonił leżący w ziemi dwumetrowej długości kamienny słup.

-Kurde - powiedział w zadumie. - Musi pogański balwan.

Słup pokrywały jakieś zapackane ziemia wydłubane w kamieniu rysunki. W pierwszej chwili chciał je oczyścić, ale zrezygnował. Ziemia była wilgotna, a on człowiek oczen kulturalny nie lubił brudzić się bez powodu.

-Przewrocilo sie, niech lezy - powiedzial w zadumie, a potem troskliwie przysypal posag cienka warstwa ziemi.

-Siem sprzeda - wydedukowal. - Musi, co archeologi kupiom.

Z kieszeni wyciagnal kalkulator i zrogowacjalym paznokciem zaczal wystukiwac na nim rozne numera. Przeliczal zlotowki na dolary, a dolary na irackie dinary i stawal sie coraz weselszy. Dopil resztkę bimbru i cisnal butelke w strone stodoly. Trafil w drzwi. Flaszka rozprysla sie na tysiace odlamkow. Nadal zatopiony w obliczeniach ruszyl do chalupy. Jego zamroczony mozg prowadzil obliczenia. Taki posag wart jest, co najmniej z tysiac zielonych. A moze tysiac piecset? Nim doszedl do stodoly, byl juz swiecie przekonany, ze nie moze oddac posagu za mniej niz piec tysiecy boksow.

Bol, ktory nieoczekiwanie przeszl jego stope, na chwile przerwal mu precyzyjny tok myslenia. Zawyl i przewrocil sie. Padajac, poczul jak cos wbija sie w jego lopatke. Uniosl ublocony gumofilc do oczu i spostrzegl, ze depnal na denko przed chwila oproznionej flaszki. Z denka sterczalo kilka paskudnych szklanych drzazg i jedna z nich widocznie przebiwszy podeszwe, ugodzila go w podbicie. Z niejakim trudem wyrwal denko, a potem wydobyl noge z buta. Stopa krwawila, a dziurawa skarpetka zgnilozielonego koloru zrobila sie w kilku miejscach czerwona.

-Diabli nadali - zaklal.

Poczul, ze cos scieka mu po plecach. Siegnal dlonia i stwierdzil, ze gdy upadl, inny kawalek szkla wbil mu sie w plecy. Wyrwal to kaleczac palce, a potem wsparl sie druga reka o ziemie, aby latwiej wstac. Odlamek szkla rozcial mu dlon. Kulejac i broczac krwia jak szlachtowana swinia, poczlapal do domu, mniej pokaleczona reka nadal obliczajac przyszle zyski. Nim otworzyl drzwi chalupy, zaklejony krwia kalkulator odmowil posluszenstwa.

Jakub Wedrowycz szarpnal sie gwałtownie do tyłu, ale juz bylo za pozno. Aparatura eksplodowala, obsypujac go gradem odlamkow defibratora, chlodnicy i termometru. Gola zarowka zawieszona u powaly piwnicy zamigotala, ale nie zgasla. Z rurki biegnacej od pokrywy kotla z zacierem nadal wydobywaly sie obloczki pary niosacej alkohol, ale obecnie marnowaly sie bezproduktywnie. Caly ukklad skraplajacy diabli wzeli. Egzorcysta przez chwile wpatrywal sie ze smutkiem, jak dopiero co przedestylowany samogon plonie blekitnym plomieniem, a potem z kata pomieszczenia wzial lopate i nabrawszy piasku, sypnal nim hojnie, gaszac pozar. Cos okraglego potoczylo sie po ziemi.

Kartofel - pomyslal w pierwszej chwili genialny egzorcysta, ale zaraz rozpoznal w tym przedmiocie granat typu cytrynka. Widocznie przez ostatnie kilkadziesiat lat lezal spokojnie w kacie i dopiero teraz...Plomien z sykiem przedarl sie przez piasek i liznal smiercionosny przedmiot. Jakub wpatrywal sie przez chwile, jak stalowa skorupa staje sie coraz bardziej czerwona, a potem rozpaczliwie runal w strone drabinki biegnacej na gore. Wskoczyl z bunkra w ostatniej chwili. Wybuch wyrwal strop wraz z maskujacymi go krzewami

porzeczek. Następnie cała konstrukcja zapadła się w ziemię. Jakub stał przez chwilę, wpatrując się ponuro w pogorzelisko. Nieoczekiwanie zaobserwował niecodzienne zjawisko. Na trawie koło jego stop pojawiały się czerwone plamki. Przybywało ich z minuty na minutę. Popatrzył w niebo, ale nic nie wskazywałoby, że akurat zaczął padać deszcz krwi.

-To że mnie. Krwawie - wydedukował Jakub, po czym ruszył do chalupy. Przejrzał się w lustrze wiszącym koło drzwi. Lustro było bardzo metne i przy odrobinie dobrej woli można się w nim było dopatrzeć wielu nieistniejących szczegółów własnej fizjonomii. Eks-bimbrownik spostrzegł, że cała twarz ma pocięta drobnymi rankami, które powstały zapewne w chwili wybuchu chłodnicy. Z szuflady wyjął pesetę i wytarłszy ją o spodnie, pousuwał z ran odłamki szkła.

-Cholera - powiedział w zadumie. - Coś mi tu nie gra. Już sześćdziesiąt lat pedzę bimber i nigdy jeszcze nie wyleciałem w powietrze. Coś się nieważny na stare lata zrobiłem?

Wsiadł na motor i pojechał do Wojsławic. Tak doniosły problem należało dokładnie przemysleć nad kilkoma kuflami Perly.

Semen Korczaszko rzucił kłode drewna na cyrkolatkę i puścił prad. Silnik zawył. Stary kozak szarpnął reka pas transmisyjny. Kolo zamachowe zaczęło się obracać. Wbił siekiere w krawędź belki i naprowadził ją na właściwy tor. Pila tarczowa z jękiem wgrzyła się w drewno. Semen zrecznie manipulując trzonkiem siekiery, poprowadził kłoc. Wreszcie puścił i naszykowana zerdka popchnął kłode. W tej chwili pila wydała dziwny dźwięk i rozsypała się na kawałki. Odlamki tarczy nadal posiadały znaczną szybkość. Gwizdnęły we wszystkich kierunkach. Pechowy drwał zasłonił się reka i to prawdopodobnie uratowało mu życie. Gdy w pięć minut później Jakub wjechał na podwórze, staruszek siedział i wpatrywał się w dłoń, której brakowało jednego z palców.

-Co się stało? - Zdziwiony Jakub przełączył pokrętło i silnik pracujący dotąd bezproduktywnie, zamilkł. Kolo zamachowe kreciło się jeszcze przez chwilę, a potem znieruchomiało. U stop Semena powstała spora kaluza krwi.

-Upitolilo mi palec - powiedział stary kozak.

Egzorcysta podniósł z ziemi kawałek tarczy i unikając jej ostrych jak brzytwa krawędzi, zbliżył ciekawie do oczu.

-Dziwne - powiedział.

-Co dziwne? - Semen, stosując ucisk, powstrzymał wreszcie krwawienie.

-Czasami zdarza się, że pila pęknie od korozji wzdłuż porów metalu, albo w odlewie był pecherzyk powietrza i materiał jest w tym miejscu słaby. Ale tu nie widac nic takiego.

Obejrzał inny kawałek.

-Tu tez nic.

-Moze wpadla w rezonans molekularny - podsunal Semen.

-Albo uderzenie spowodowalo pekniecie wibrujacego ze znaczna czestotliwoscia metalu - dokonczyl fachowo Jakub.

-Co ja teraz zrobie bez palca? - Jeknal Semen.

-Ty juz kumplu niedlugo pociagniesz - Jakub bywal czasami rozbrajajaco szczery. - Wiec i tak niedlugo by sie przydawal.

-Lepiej miec, a nie potrzebowac, niz nie miec i nie potrzebowac - odgryzl sie ranny. - A kto cie tak uslicznil potwarzy?

-Tresowalem kota - mruknal egzorcysta.

Na plycie znalazl dziwny slad. Jakby zadrapanie pazurem. Potem popatrzył na krew przyjaciela wsiakajaca w pyl podworza.

-Ziemia spragniona jest krwi - powiedzial w zadumie.

Odrzucil glowe do tyłu i weszyl w powietrze. Aura okolicy powoli zmieniala sie. Wrog. Nadciagal.

-Chodźmy sie napic - zaproponowal Semenowi. - Dzis ja stawiam.

Poszli.

Posterunkowy Birski dostojnie sunal poboczem drogi, usilujac utrzymac sie w pionie. Wracal wlasnie z akcji likwidacji bimbrowni na Witoldowie. Trzeba przyznac, ze do zadania tego przylozyl sie niezwykle sumienie. Dla ustalenia, czy naprawde chodzi o samogon, wypil pol wiaderka produktu i jeszcze wzial kilka butelek ze soba, zeby przeprowadzic specjalistyczne badania laboratoryjne. Wdrapal sie na wzgorze kolo kapliczki i wlasnie przed jego oczyma zarysowala sie panorama doliny i lezace na jej dnie miasteczko, gdy niespodziewanie minal go pedzacy z zupełnie niedozwolona szybkością samochod.

-A zebyś wyladowal w rowie - wrzasnal za nim gliniarz.

Musial wymowic to w zla godzine, bowiem sto metrow dalej pojazd znioslo z szosy i rabnal z calym impetem w drzewo. Posterunkowy przyczlupal po chwili. Pechowy kierowca wyrzucony przez okno sila uderzenia lezal w rowie. Ciekla z niego krew. Birski popatrzył ponuro. Uczyli go oczywiscie udzielania pierwszej pomocy, ale teraz wpatrujacy sie w liczne rany ciete i tluczone zwatpil w mozliwosc opanowania wycieku krwi.

-Wykrwawi sie - wydedukowal wreszcie. - Bedzie odstraszejacy przyklad dla innych.

Wyjął z kieszeni radiotelefon i wezwał Rowickiego. Ktos musiał tu posprzątać.

Jakub siedział w kacie gospody i wlewał w siebie piaty kufel. Czul się coraz lepiej. Leniwie przysluchiwał się rozmowom prowadzonym przy sąsiednich stolikach. Ludzie naradzali się między sobą, szeptali i popatrywali w jego stronę. Wreszcie Tomasz i Semen wystąpili jako coś w rodzaju delegacji.

-Jakub - powiedział Semen - wyliczyliśmy to statystycznie. Każdy z tu obecnych dzisiaj się poharatał. W skali wsi daje to setki litrów krwi. Coś nam się tu nie zgadza.

Jakub oderwał zamglone spojrzenie od kufła.

-Mi też się coś nie zgadza. - powiedział z pewnym ociąganiem. - I poziom się nie zgadza - westchnął, patrząc na prawie pusty kufel.

Ktos z miejsca pobiegł go napełnić. Z wdzięcznością umoczył usta. Delegacja nadal stała.

-Jakub, co się dzieje? - Zapytał Tomasz - Dlaczego tak?

-Ziemia laknie krwi - powiedział egzorcysta, po czym ze zmartwieniem stwierdził, że kufel znowu jest pusty.

Napełniono go w mig.

-Od czego tak się zrobiło? - Zapytał ktoś z tłumu otaczającego stół zwartym kregiem.

-Czasami tak bywa - zauważył Jakub i znowu się napił.

-Czy to niebezpieczne? - Zapytał agent.

Jakub kiwnął poważnie głową.

-Jeśli nic nie zrobimy, połowa z was umrze w ciągu trzech dni - powiedział poważnie.

-Połowa z was? - Zdziwił się ktoś. - To ty nie jesteś nasz?

-Połowa z was - powtórzył - ja jestem wiedzącym, więc wiem, jak się uchronić.

W powietrzu zakotłowało się od wściekłych okrzyków, a kilka butelek roztrzaskano na "tulipany".

-Odłóżcie to - powiedział Jakub - bo będzie jeszcze gorzej. Długo gorzej. To pozada krwi.

Zamilkli. Z jakichś pociętych palców już kapaly na podłogę czerwone krople.

-Kto jest winny? - Zapytał Semen - przez kogo to wszystko? I co się dzieje?

Jakub w zadumie popatrzył w kufel, jakby w pianie szukał odpowiedzi.

-Zaraz tu wejdzie - powiedział - nie możecie go zabić, nie tutaj. To otworzy nam drogę prosto do piekła.

Jego belkotliwy głos zabrzmiał bardzo poważnie.

Czekali milcząc, a on wypił jeszcze kufelek. Nieoczekiwanie otworzyły się drzwi. Do knajpy wszedł rozpromieniony Paweł Bardak.

-Dzisiaj jest mój wielki dzień - powiedział. - Wkrótce dostanę trzy tysiące dolarów. Wszystkim stawiam.

Odpowiedziało mu milczenie.

-To on - powiedział spokojnie Jakub - to wszystko przez niego, choć nie ma w tym jego winy. On ucierpiał pierwszy...

-Co ty bredzisz, pomerdalo ci mózg? - Paweł spostrzegł nienaturalny spokój panujący w karczmie.

Egzorcysta wstał zza stolika i podszedł do gościa.

-Gdzie to jest? - Zapytał, patrząc mu prosto w oczy.

-Co? - Zdziwił się Bardak.

-Wiesz, o co pytam - powiedział Jakub - o naszego starego boga, któremu nie stało o wznawców. I ofiar - dodał po chwili ciszej.

Paweł cofał się powoli, ale trafił plecami na twardej mur stłoczonych ludzi.

-Zaprowadź nas - powiedział Jakub. Mięko, ale tonem wykluczającym sprzeciw.

Pół godziny później stawali na polu, za stodołą Bardaka. Zadzwończyli o kamień łopaty. Posąg udało się odsłonić w całości. Otaczały go potrzaskane naczynka wylepione ręcznie z gliny. Mimo upływu tysiąca lat widac w nich było jeszcze ciemna zaskorupiała masa. Jakub wyjął z kieszeni buteleczkę z wodą świeconą.

-Masz pecha - powiedział do posagu - za dwadzieścia lat nikt nie wiedziałby już, jak to zrobić. Trafiłbyś do muzeum i niosłbyś śmierć między nas. Ale na szczęście są jeszcze po wsiach odpowiednio ciemni ludzie. Ludzie, którzy nie szanują pamiątek przeszłości. Wredni niszczyli zabytków. Nazywaj nas jak chcesz.

Posąg milczał. Leżąc w ziemi, zaczął otaczać świetlisty pancerz.

-Odsuncie sie - rozkazal Jakub - to sie robi niebezpieczne.

-Ale, co sie dzieje? - Zaniepokoil sie Tomasz. - Wypil sporo krwi przez dzisiejszy dzien. Pozada wiecej.

-Co mamy robic? - Jeknal ktos.

-Jest glodny, wiec bedzie bil na oslep. Ale jesli sobie troszke podje, zasnie. Wtedy go wykonczymy.

-Mowisz tak otwarcie - zauwazyl Semen.

-Spokojnie. I tak nie rozumie po naszymu. Kamienne powieki posagu podniosly sie ze zgrzytem, odslanjajac zywe, choc nieludzkie oczy.

-Pora - mruknal Jakub, popychajac skamienialego ze zgrozy Bardaka blizej brzegu wykopu. Nastepnie wyjal z kieszeni stara jak swiat, wyszczerbiona, fryzjerska brzytwe i przejechal mu po gardle, przecinajac obie tetnice. Ludzie odwrocili glowy. Pawel runal na posag. Krew lala sie z niego strumieniami. Wsiakala w kamien i ziemie bez sladu.

-To nic osobistego - powiedzial Jakub do konajacego - ale sam rozumiesz, ze ten, kto zakloca spokoj dawnych bogow, musi poniesc konsekwencje. Pewnie pojdiesz prosto do nieba, jako meczennik za wiare zlozony na poganskim oltarzu...

Urwal, widzac ze smiertelne drgawki juz ustaly. Ciało Bardaka znikalo, roztapialo sie w kamieniu. Demon przetrawi jego myśli, odczyta wspomnienia i zgodnie z wiedza i logika zabitego bedzie wyznaczal kolejne ofiary. Na razie posag utracil pozory zycia. Zapadl w sen, trawil.

-No to do roboty - warknal egzorcysta.

Chlusnal woda swiecona na krzyz. W miejscach, gdzie upadla na kamien, wypalila dziury.

-Do dzieła - powiedzial, odsuwajac sie.

W powietrze uniosly sie siekiery kilofy i mloty. Echo uderzen nioslo sie przez wies. Sam egzorcysta cofnal sie kawalek. Z kieszeni wygrzebal woreczek z tytoniem i kawalek szarego papieru pakowego.

-Nie mogles od razu woda swiecona? - Zapytal szeptem Semen. - Po cholere go wykonczyles?

Jakub zaciagnal sie skretem z machorki.

-Widzisz, moglem oczywiscie, bez wody tez byśmy sobie poradzili, ale z Bardakami to mam jeszcze od czasow wojny porachunki i teraz trafila sie dobra okazja... Ostatnia posluga

Jedynym uczuciem, jakie Semen Korczaszko żywił dla lekarzy, była totalna pogarda. Był to i tak pewien postęp, bo gdy był młodszy, czuł do nich nienawiść. Korzenie jej były głębokie i sięgały pierwszej wojny światowej, kiedy to ranny, podczas bitwy na Białej Górze, trafił do niemieckiego szpitala polowego. Wyszedł z niego żywy, co przypisać należy nie tyle zasługom konwojantów, ile wrodzonej odporności organizmu, który przetrwał zarówno odniesione obrażenia, jak i późniejsze zakażenie ran gronkowcami i epidemie tyfusu, która wycięła ponad połowę personelu, o pacjentach nie wspominając.

Opuszczając szpital, Semen poprzysiągł nigdy więcej nie zadawać się z tymi rzeźnikami i zapewne dotrzymałby słowa, gdyby nie przykry fakt kolejnej wojny światowej. Gdy podniesiono go z pola, koło Wojsławic, na którym padł trafiony w głowę odłamkiem, uprzednio przez siebie zestrzelonego niemieckiego samolotu, był nieprzytomny i tylko dlatego nie protestował. Gdy doszedł do siebie w radzieckim szpitalu polowym, brakowało mu obrączki, papierosnicy, trzech złotych zębów z kieszeni (żeby były zdobyczne, bowiem z dentystami także się nie zadawał) oraz innych wartościowych drobiazgów.

Ponadto ktoś, a on oczywiście podejrzewał personel, ukradł mu spodnie, buty i skorzany pas, w którym zaszytych miał trochę dolarów. Nawiasem mówiąc, towarzysze felczerzy po pijanemu zrobili mu trepanację czaszki dla sprawdzenia, czy uderzenie nie uszkodziło mu rozumu, zaś odłamek, który utkwił w bebeczach, nie usunęli. W każdym razie i tym razem zdolał przetrwać, co osobiście uznał za życiowy sukces. Opuszczając szpital, zaopatrzył się w ampulki cyjanku i nosił je pod kołnierzem ze szlachetnym zamiarem rozgryzienia jej natychmiast po kolejnym wypadku, kwalifikującym go do przyjmowania pomocy lekarskiej.

Pewnego dnia, jakieś trzydzieści lat po ostatnim kontakcie ze służbą zdrowia, Semen wraz z wnukiem ładowali siano na wózki w stodole. Stodola, jak to było często praktykowane w tamtych stronach, zbudowana była z materiału dość wybrakowanego. Deska, o którą opierał się koniec drabiny pekiła i Semen zwałił się na ziemię. Tym razem, pomny na poprzednie doświadczenia, ocknął się sam i to niemal natychmiast. Stał nad nim jego wnuk Mychajło.

-Kiepska sprawa - powiedział - otwarte złamanie. Leż dziadku, zaraz wracam.

Semen popatrzył na swoją nogę, a potem wyciągnął z kieszeni odrapany rewolwer.

-Nigdzie nie pojedziesz! - Wrzasnął.

-A ja do chalupy, po opatrunki.

-Kłamiesz. Chcesz tu sprowadzić lekarza. Ale po moim trupie. A, właściwie po twoim. Tylko się spróbujesz ruszyć...

W tym momencie nagły przypływ bólu odebrał mu przytomność. Gdy otworzył oczy, wnuka już nie było. Razem z wnukiem zniknął rewolwer, kosa i widły. Nikt nie mógł powiedzieć, żeby Mychajło nie był przewidującym człowiekiem. Ale wszystkiego oczywiście nie sposób

przewidzieć.

Semen zawył z wściekłości. Nie spodziewał się po swoim potomku takiego braku posłuszeństwa wobec starszych. Zaraz potem zaczął myśleć. Nawyk myślenia miał zakorzeniony od czasów, gdy jakieś osiemdziesiąt lat wcześniej studiował w Sankt Petersburgu biologię. Rozwiązanie problemu zaświtało mu po pięciu minutach intensywnej pracy umysłowej. W jakim celu wnuk pojechał po lekarza? Oczywiście po to, aby ten ostatni nastawił mu złamaną nogę, a potem ją zagipsował. Staruszek uśmiechnął się lekko. Gdyby tak udało mu się nastawić ją sobie samodzielnie, to miał przecież cały worek cementu, który powinien być równie dobry jak gips. To było tak proste, aż się zawstydził, że tak długo nad tym myślał. Trzeba było działać. Niestety, jak się już na wstępie przekonał, naciągnięcie złamanej nogi było trudniejsze niż mu się wydawało. Ciągnięcie reka wobec dość ograniczonego pola działania nic nie dawało. Poskrobał się z fraszkiem po głowie, a potem wpadł na kolejny ambitny pomysł. Ze ściany ściągnął zwoj liny, po drugiej drabinie wdrapał się z powrotem tam, skąd dziesięć minut wcześniej spadł. Usiadł na belce i obwiązawszy sobie nogę w kostce liną, przymotał drugi jej koniec do belki, na której siedział. Teraz pozostawało już tylko jedno.

Przezegnał się zamaszycie, po czym rzucił z belki w dół. Cieżar ciała powinien naciągnąć złamanie. Ponownie stracił przytomność. Gdy ją odzyskał, wisiał głową w dół, do ziemi miał jakieś dwa metry, do belki tam, na gorze, kolejne dwa, noga bolała go tak, że niemal wyl z bólu, a w dodatku wcale nie wyglądało na to, żeby się specjalnie poprawiła. Tylko kость wyszła trochę przez skórę, co widział, bo objechały mu nogawki. Z tamtego miejsca ściekał cieniutki strumyczek krwi.

-Oj, niedobrze - powiedział do siebie.

Znowu ocknął się w szpitalu. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił gdy zorientował się, gdzie się znajduje, było wydobycie ampulki cyjanku spod kołnierzyka koszuli, która dziwnym trafem wisiała na krzesle, obok łóżka. Ułamał jej szyjkę i wytrząsnął zawartość na dłoń. Cyjanek miał biały kolor i nieprzyjemny zapach. Staruszek zlizął starannie proszek, po czym przybrał pozę godną nieboszczyka, to znaczy położył się na wznak i skrzyżował ręce na piersi. Uplywały minuty, ale nic się nie działo. W ustach miał paskudny smak, nadal jednak był żywy.

-Cholera - zdenerwował się - to chyba nie był cyjanek..

A potem przyszedł całkiem sympatyczny lekarz. Semen został wypisany do domu trzy dni później. Noga zrosła się w ciągu pięciu miesięcy wprost znakomicie. Od tamtej pory Semen kłaniał się miejscowym lekarzom, gdy ich spotkał na ulicy, zamiast spluć na ich widok, jak to miał dotychczas w zwyczaju. A gdy pewnego lata pojawiły się silne bóle w rejonie wątroby, rad nie rad, udał się na czwarte spotkanie z tą białą mafią.

Gabinet był biały. Wszystko w szpitalu w Chełmie było białe. Semen siedział na wygodnym

metalowym krzesle i wpatrywał się metnym wzrokiem w zdjęcie rentgenowskie. Patrząc pod światło, widział szereg różnych plam. Przeniósł wzrok na lekarza.

-Znaczit nie da się tego w diabły wyciągnąć?

-Niestety. Cud prawdziwy, że pan jeszcze żyje. Zostało panu nie więcej niż dwa, trzy miesiące życia. I to cały czas na środkach przeciwbólowych.

Semen wściekł się. Wściekłość jego była całkowicie zimna i od zewnątrz ciężko było jej się domysleć.

-Znaczit, szto ja przeżyłem sto sześć lat, w tym trzy wojny, żeby teraz zabiło mnie jakies takie, niewielkie gówno w moim środku?

Lekarz bezradnie rozłożył ręce.

-Nic się już nie da zrobić. Nikt nic już nie może zrobić. Semen spokojnie pokazał mu figę.

-Nie takie choroby się leczyło - powiedział spokojnie - mam jeszcze ochotę zobaczyć dwudziesty pierwszy wiek.

Rzucił z pogardą zdjęcie na stół i wyszedł z gabinetu. Dwie godziny później był już w domu w Wojsławicach. Skoro oficjalna medycyna nie mogła mu pomóc, pozostawały jeszcze ludowe metody. Osiedlał swoją klaczkę Karolinę. Wybił się lekko ze strzemion i delikatnie sciągnął cugle.

-Przejedziemy się do Dubienki - powiedział.

Klacz popatrzyła na niego zaskoczona. Jej spojrzenie mówiło wyraźnie:

-To ponad dwadzieścia kilometrów. Czy jesteś pewien, że pekaesem nie byłoby szybciej?

-No szkapko - powiedział. - Nie zastanawiaj się, tylko w drogę.

No i pojechali. Na miejsce dotarli gdzieś około osmej wieczorem. Na widok wsi Semenowi włosy stanęły dęba. Fakt, że jakos nie był w tych stronach przez ostatnie sześćdziesiąt lat, ale zmiany i tak były uderzające.

-Cholera, co się z tą wiocha porobiło - mruknął sam do siebie.

Wyjechali na laki nad Bugiem i pojechali w stronę Uhanki. Po drodze powinien być las, ale zdaje się, że go w międzyczasie wycięto. Góry za lasem też nie było widać. W każdym razie, chalupa Waciuka, zbudowana kiedyś na polanie, stała obecnie w szczerym polu. Podjechał spokojnie do furki i zeskoczywszy na ziemię, zapukał do drzwi.

Z wnętrza wyszedł jakiś facet około trzydziestki z zaczerwienionymi oczyma i splatanymi

włosami.

-Nu, o co chodzi? - zapytał.

-Franko doma?

-Juz ze dwadziescia lat, jak dziadek pochowany.

-Nie zyje? Przeciez byl mlodszy ode mnie.

-Nu, nie zyje. Ale moze ja pomoge. Cos dolega, jak mniemam. Jestem Omelajn.

-Aha. Semen Korczaszko.

-Prosze do srodka.

Wnetrze jednoizbowej chalupy umeblowane bylo w sposob typowy dla domostw znachorow. Pod sufitem wisialy peczki ziol, na kuchni kipialo kilka kotlow. Na polkach staly sloje z zakiszonymi zabami, konskimi paczkami i innymi takimi. Na scianie, niczym dyplomy, wisialy oprawione w ramki wyroki sadowe, dla czterech czy pieciu kolejnych pokolen, za prowadzenie pokatnej praktyki lekarskiej.

-Prosze sie polozyc - znachor gestem wskazal zdezelowana kozetke.

Semen polozyl sie. Omelajn zaczal wykonywac nad jego cialem osobliwe gesty.

-U, niedobrze - powiedzial.

-Wyleczysz? Zaplace zlotem. Lekarze postawili juz na mnie krzyzyk.

-Znaczy nowotwor. Ciezka sprawa. Nie da sie zoperowac?

-Niestety. Myslam, ze znachorzy z Dubienki lecza wszystkie choroby.

-Moze tak bylo kiedys. Dzisiejsze choroby sa trudniejsze do wyleczenia. Zreszta, jacy znachorzy. Ja jestem ostatni, a poza tym i tak robie kurs dla bioenergoterapeutow. Bardziej modne, lepiej placa i nie idzie sie siedziec.

Semen wstal. Czul pogarde dla medycyny. Zarowno tej oficjalnej, jak i dla tej, ktorej przedstawiciel zdiagnozowal go bez uzycia rentgena.

-To co moge zrobic? - zapytal.

-Podobno pomaga picie nafty.

-A, to sie dobrze sklada, bo mam w chalupie cala butelke.

Rzucił na stol srebrnego rubla w charakterze honorarium i wsiadł na konia. W domu był dopiero po północy. Następne dni były podobne do siebie. Semen pił bimber na przemian z naftą do prymusa. Oczywiście efekty, które w ten sposób osiągnął, nie przyniosły niczego dobrego. Nafta, zgodnie ze swoją naturą, działała przeczyszczającą i to do tego stopnia, że mało mu bebeczów nie wyrwało, a bóle się nasiliły. Osmego dnia przyjechał Omelajn.

-O? - Semen wyraził zdziwienie na jego widok.

-Wpadłem, bo coś mi się przypomniało.

Znachor był najwyraźniej na najlepszej drodze do zostania bioenergoterapeuty, był gładko przyczesany, miał na sobie garnitur, a pod pachą trzymał nowiutką skórzaną aktówkę. Semen zaprosił go do środka.

-Jak samopoczucie? - zapytał gość, biorąc ze stołu flaszkę z naftą. Popatrzył na etykietkę i skrzywił się.

-Ta nafta jest do dupy. Wypiłem sobie dwie szklaneczki i mało ducha nie wyzionąłem.

-Pije się nie taka. Trzeba kupić w aptece specjalnie oczyszczoną. Ale może będzie miał coś lepszego.

Zza pazuchy wydobyl litrowa butle pełna jakiejś metnej cieczy.

-Zostało po dziadku - wyjaśnił. - Wprawdzie ma już ponad trzydzieści lat, ale było w szczelnie zakreconym słoiku, więc może się nada.

-Może spróbować. A co to?

-Balsam galicyjski. Lek na wszystkie choroby. Tylko po tym się traci przytomność na parę godzin. I głowa od niego boli.

Znachor nie zasiadywał się. Poszedł sobie. Na stole została butelka. Semen odkrecił korek i powachał. To wewnątrz było gęste jak śmietana i miało zapach ciepłego poranka na bagnach. Na etykietce nabazgrołono: Elikzir bagienny, pół szklanki naraz.

-Miał być Balsam galicyjski - powiedział sam do siebie. - Ano dobra. Zobaczymy. Zaszkodzić to już mi nic nie może.

Poskrobał się po głowie, a potem przypomniał sobie jeszcze coś. Koty. Jeśli do chorego człowieka przyłoży się kota, to człowiek wyzdrowieje, za to kot... Semen poweselał. Pogwizdując sobie walca "Na sokach Mandzurii", poszedł do apteki. W aptece kupił dziesięć butelek waleriany. Następnie polał tym swoje łóżko i otworzył szeroko okno. Przeżegnał się i wypiwszy pół szklanki preparatu, ułożył się wygodnie na wierzchu. Preparat ciał go z nog momentalnie. Odpływając w ciemność, poczuł jak pierwsze koty, zwabione

zapachem, układają się wokół.

Ocknął się po dwóch dniach. Był głodny, a stada kiciorków nadal pokrywały jego łozko warstwa. W powietrzu unosił się intensywny kocie zapach. Tarzały się po nim i po poscieli. Czuł się już zdecydowanie lepiej. Tylko jego skóra była dziwnie śliska i pokryła się jakąś lepka warstwa. Przejadł coś nieco i powtórzył kurację. Minęły jeszcze dwa dni. Był dziwnie osłabiony, ale poza tym czuł się świetnie. Włosy, których miał na głowie dość niewiele, wyrosły gęściej. Były też mniej siwe. Za to wyleciały mu dwa zęby. Specjalnie się tym nie martwił, bo w ich miejsce rosły mu nowe. Podreptał do stajni. Karolina przez te cztery dni zjadła półtorej beły siana i wyczyściła całe wiadro owsa. Ile wypila, nie był w stanie powiedzieć, bo miała automatyczne poidło. Uśmiechnął się do niej. W tym momencie złapał go gwałtowny paroksyzm bólu. Zwinął się w kłębek i upadł na ziemię. Ocknął się, gdy klacz polizła go po twarzy. Wstał. Zamyslił się na chwilę. Sto sześć lat. Prawie nikt nie dożywa tak sędziwego wieku. Popatrzył na swoją szkape. A potem podjął decyzję.

-Tu się nie ma co bawic - powiedział cicho do siebie.

Nasypał klaczy świeżego owsa. Dorzucił jeszcze dwie beły siana. Następnie wrócił do domu. Napisał kartkę, uwalil się na łozku pomiędzy kotami i pewnymi przejawami ich czynności życiowych, po czym zdecydowanym ruchem przytknął do ust butle i wytrącił blisko litr za jednym zamachem. Umysł eksplodował mu pod czaszką z oslepiającą jasnością.

Następnego dnia zaszedł do niego Jakub Wedrowycz, miejscowy egzorcysta amator. Ponieważ nikt nie odpowiadał na pukanie, wszedł do chalupy. Zobaczył pagorek miauczających kotów na łozku kumpla i zdecydowanymi ruchami wyekspediował większość z nich przez okno. Pochylił się. Leżący był martwy. Wyglądał dość dziwnie. Skóra napięła mu się na twarzy, zniknęła część zmarszczek. Twarz nabrała lekko różowego odcienia jak u nalogowego alkoholika. Rysy znikły i starzec wyglądał o dobre czterdzieści lat młodziej. Tyle tylko, że nie oddychał i nie można było wyczuć jego pulsu. Ciało wystygło zupełnie. Ze stolika przy łozku wziął kartkę.

Drogi Jakubie.

Wóz albo przewóz. Zazylem konską dawkę pewnego swinstwa. Jeśli umrę, cała moja forsa, zakopana wiesz gdzie, jest twoja, pod warunkiem, że pochowasz moją klacz Karolinę w jednym grobie ze mną. Niech Bóg cie prowadzi.

Semen

PS. Twój bimber to straszne swinstwo.

Egzorcysta poskrobał się po głowie, a potem poszedł po gliniarza i doktora. Kartkę schował. Po co postronni mają wiedzieć, że należy mu się jakieś złoto. I że nadal pedzi bimber. Milicja starannie wszystko obejrzała i spisała jego zeznania. Lekarz potwierdził

Zgon. W tej właśnie chwili Jakubowi coś zaswitało.

-Nie ma ścieżek posmiertnych - zauważył.

-To normalne - uspokoił go lekarz. - Zgon musiał nastąpić niedawno. Jeszcze się nie pojawiły.

Egzorcysta poskrobał się po głowie, ale nic nie powiedział. Jego wzrok przykuła butelka z resztką cieczy.

-A to co? - zaciekawił się. Lekarz podążył za jego spojrzeniem.

-A, to Semen miał raka. Miał bole, zostało mu parę tygodni życia. Chyba próbował się leczyć jakimś swinstwem.

Brwi Jakuba uniosły się do góry. Korzystając z chwili nieuwagi, ukradł butelkę z resztą zawartości.

Zmarły leżał w trumnie. Przyjechała cała jego rodzina. Szesciu synów, osiemnastu wnuków, ponad dwudziestu prawnuków. Było też kilku praprawnuków. Stali, milcząc ponuro. Jakub przykląkł i modlił się. Kościelny szykował wszystko do mszy. Niespodziewanie do uszu egzorcysty doleciał cichy dźwięk, jak gdyby ciało w trumnie poruszyło się.

-Jestem przewrażliwiony - powiedział do siebie. Wieko nie było jeszcze przykrecone. Przyszedł lekarz.

Nie wiedzieć dlaczego, od trzech dni pił na umór. Teraz nadszedł, lekko się zataczając. Synowie Semen na jego widok jak na komendę skrzywili się.

-Dziadek nie chciałby, żeby jakiś lekarz przyszedł na jego pogrzeb - powiedział jeden z wnuków.

Lekarz czknał potężnie.

-Pomylili zdjęcia - powiedział. - On miał odłamek, a nie raka.

-Co!?! - zawył Jakub. - Ty gnido!

-Ja bym go zaraz...- rzucił któryś z prawnuków z nienawiścią.

-Spokoj - wrzasnął kościelny - to dom Panski, a nie knajpa.

Ale egzorcysta już go nie słuchał. Kruszył właśnie krzesło na maczuga. Lekarz szarpnął się w uścisku kilku silnych rak. Niepokojący zgrzyt z tyłu utonął w ogólnym hałasie. Nawet upadek wieka trumny na podłogę przeszedł niezauważony. Dopiero gdy nieboszczyk wmieszał się do bijatyki, awantura niespodziewanie ucichła. Już tylko Semen darł się na

cały regulator.

-Ty! Zaraz ci gebe skuje felczerze od siedmiu bolesci!

-Semen, tak nie wypada, ty przeciez nie zyjesz - zauwazyl jeden z jego prawnukow.

Byly nieboszczyk zasunal go piescia w twarz.

-Co, ty tez zaczynasz? Ja ci dam, ze nie zyje.

Wrodzona delikatnosc nakazala Jakubowi oddalic sie z miejsca zajscia. Wsrod drzew spotkal ksiedza, ktory biegł w strone kosciola.

-Co tam sie dzieje? - zapytal zaniepokojony.

-Semen byl w letargu. Wlasnie sie ocknal i bije lekarza. Moze lepiej tam nie wchodzic.

Ksiadz popatrzył na Jakuba z niechecia.

-To niedobrze - powiedzial - bede musial mazac w ksiegach.

Jakub wzruszył ramionami. Los nikomu nie szczedzi rozczarowan. Z wnetrza swiatyni dobiegaly wlasnie odglosy wasni rodzinnej.

-Zobaczyli dziadka w trumnie i co? Ostatni raz pytam lachmyty, ktory z was rabnal moj srebrny zegarek? Znalezisko

Jakub Wedrowycz ocknal sie niespodziewanie. Spojrzal na swoje przedramie. W szarym blasku switu widzial wyraznie, ze czarna szczecina porastajaca jego lapy nastroszyla sie jak u dzikiego zwierzca.

-Jasna cholera - mruknal - znowu sie zaczyna...Pociagnal lyk karbidowki. Przeciagnal sie, ale jeszcze nie wstawal. Zal mu bylo opuszczac cieply dolek wygnieciony w sienniku. Nad glowa brzezaly mu sennie muchy. Wyciagnal reke spod kozucha, ktorym byl nakryty i w zadumie poskrobal sie w ciemie.

-Cholera - powtorzyl. - Przeciecz przez ostatnie 50 lat byl spokoj...

Powoli zmeczenie wzelo gore i egzorcysta zasnal.

Cadyk Mojsze Apfelbaum stal na lotnisku im. Kennedy'ego w Nowym Jorku. Przymknal oczy. Szukal informacji. Mrowienie skory bylo tak silne, ze ledwo mogl wytrzymac. Wreszcie otworzyl oczy.

-Dokad teraz - rzucil pytanie w przestrzen.

Jak do tej pory znaki doprowadzily go na lotnisko. Nie watpil, ze wskaza mu dalsza droge...

Kolo niego zatrzymala sie kobieta z walizka na wozku. Do raczki bagazu przyczepiony miala kwit. Kilka cyfr, dla laika jedynie numer lotu, dla znawcy matematyki sefiriotyecznej bezcenna wskazowka. Wytrenowany w tajnikach kabaly umysl natychmiast podstawil pod cyfry odpowiednie litery alfabetu.

-Polska - odczytal polglosem.

Zsumowal wszystkie cyfry i gwizdnal cicho przez zeby. Dwojka. Niebezpieczenstwo. Podeszedl do kontuaru.

-Chcialbym sie dostac do Polski - powiedzial, kladac na ladzie platynowa karte kredytowa.

-Jest lot do Warszawy, ale za dwadziescia minut. - wyjasnila dziewczyna. - Nie zdazy pan przejsc odprawy bagazowej.

-Nie mam bagazu.

Punkt osma rano otworzylem furtke w plocie zabezpieczajacym teren wykopalisk. Przed soba mialem ulice Lwowska. Rusczy, Ukrajczy i Bialorusini przewalali sie popekanymi chodnikami na trasie dworzec PKS - centrum miasta. Ciagneli za soba torby wypelnione wszelakim przeszmurowanym dobrem - papierosami i spirytusem. Snula sie za nimi won jaszminowej wody kolonskiej, tandetnych perfum, dziegciu i juchtowej skory. Kolejny piekny, lipcowy dzien.

Studenci pojawili sie po chwili, wchodzili na teren, niepewnie popatrujac w moja strone. Czesc usiadla na sto - sikach cegiel. Liczylem ich wzrokiem. Wreszcie przybyla cala dwunastka.

-W szeregu zbiorke - huknałem nieoczekiwanie.

Przestraszyli sie i zdeorientowani usilowali wykonac polecenie. Wreszcie jakos sie ustawili. Popatrzyłem na nich ciezko, z wystudiowana nienawiscia.

-Nazywam sie magister Tomasz Olszakowski - powiedzialem - i przez najblizszy miesiac bede waszym kierownikiem. Oznacza to, ze macie wykonywac moje polecenia. Wszelkie polecenia i to natychmiast. Za uchybienia bede bez litosci wlepial punkty karne. Kto zbierze 15, wylatuje z praktyk. Czy to jasne?

Mrukneli cos ni to potakujaco, ni to zaczepnie.

-Jest godzina osma siedemnascie. Mieliscie sie tu stawic na osma. Zostaniecie dzis za kare pol godziny dluzej. Od jutra za kazda minucie spoznienia bedzie jeden punkt karny.

Wpatrywali się w ziemię. A więc udało mi się ich skutecznie przestraszyć. Coż, ze studentami archeologii, zwłaszcza tymi przybyłymi z Warszawy, tak trzeba. Jeśli się na początku nie huknie, później nie chcą pracować...

-Spocznij - mruknąłem nieco już łagodniej. - Czy ktoś z was był już wcześniej na wykopaliskach?

Pokrecili przecząco głowami.

-To dobrze, jest szansa, że nie stajecie się jeszcze alkoholikami - mruknąłem bardziej do siebie niż do nich. - A zatem pare słów na początek o miejscu, w którym się znajdujemy. To parcela miejska przy ulicy Lwowskiej. Gdyby ktoś nie pamiętał, jesteśmy w Chelmie - dodałem złośliwie. - A więc ulica Lwowska została wytyczona jako podmiejska prawdopodobnie w XVII wieku. Sprawdzenie tej informacji będzie między innymi naszym zadaniem. Od strony ulicy - wskazałem, resztki cegieł pozostawione przez ekipę rozbiórkową - stała niewysoka, dwu lub trzypiętrowa kamieniczka. Zbudowano ją w XVIII lub XIX wieku. Domy przy ulicy były podpiwniczone, z piwnic mogły być przebite przejściami do słynnych, chelmskich podziemi kredowych. W ciągu najbliższego miesiąca wykonac musimy odgruzowanie tych piwnic, następnie przekopimy cały ten kawałek aż do plotu - wskazałem im glinę, na której staliśmy - to około 400 metrów kwadratowych...

-To po czterdziestu na każdego - zauważył student z złotymi włosami.

Wyglądały na farbowane. Paskudna gęba, trzeba będzie zwrócić na niego uwagę.

-Jak sadzę archeologiczny calec - czyli warstwa nietknięta przez człowieka znajduje się około półtora metra pod nami - powiedziałem ze sztucznym spokojem - co oznacza, że przekopac będziecie musieli po około 60 metrów szesciennych na osobę. Mam nadzieję, że poważnie podjedziecie do tego zadania, bo w razie niewypełnienia planu, nikt z was nie dostanie zaliczenia praktyk...

-To chyba niemożliwe - zauważył ten w kowbojskim kapeluszu.

Przez ramię miał przerzuconą skorzaną torbę.

-Ależ możliwe panie Indiana Jones - powiedziałem - i wy to wykonacie... Albo zdechniecie. Tu macie identyfikatory - rzuciłem im tekturowe pudełko - przypinac na widocznym miejscu, najlepiej po lewej stronie piersi.

Byli na tyle przestraszeni, że żaden się nie rozesmiał. Bardzo dobrze.

-Narzędzia są w szopie - wskazałem małą, drewnianą komórkę. - Obok macie kibel, drzwi zaopatrzone są w zatrząsk. Jeśli któryś będzie siedział w środku dłużej niż dwie minuty, zostanie zablokowany. Oczywiście go wypuszczę, ale zainkasuje trzy punkty karne.

-Dobra - odezwał się Indiana, wyjmując z torby ładny pedzelek do odkurzania znaleźsk - to od czego mamy zacząć?

-Lopaty w dłoń, zjechać mi cały teren plantem, dziesięć centymetrów - polecilem. - Potem doczyszczyć to grackami i narysujemy. Ziemię na taczki i wsypywać tam - wskazałem kąt podwórza - potem koparka zabierze. No, na co czekacie? - rzuciłem spojrzeniem jak cegła.

Pobiegli po łopaty. Wziąłem w dłoń listę uczestników i za pamięci przy każdym nazwisku wpisałem punkty karne. Pięć minut później przeszedłem się pomiędzy nimi. Skrobali ziemię z zapalem, tyle że zupełnie nieprawidłowo...

Wyjąłem łopate z ręki Jonesa.

-Popatrzcie na mnie i postarajcie się zapamiętać, bo nie będę powtarzał - huknałem. - Prowadzimy płasko, podcinając warstwy ziemi i lekkim ruchem odrzucamy ją do przodu. Potem przesuwamy się krok i znowu...Rozumiecie?

Pokiwali głowami. Podeszedłem do jednego. Miał mocno zarysowane wały nadoczodołowe i lekko się garbił.

-Ty, neandertalczyk, punkt karne.

-Za co? - tak się przestraszył, że nawet nie obraził się za tego neandertalczyka.

-Brak znajomości podstawowego sprzętu archeologicznego! - zawylem. - To co trzymasz w ręce, to szpadel, a nie łopata...

-O, a czym to się różni?

Faktycznie neandertalczyk.

-Porównaj z narzędziami kolegów i sam zgadnij!

Wycofałem się w cień szopki i usiadłem na krzeselku.

Z zadowoleniem patrzyłem, jak skrobą ziemię. Minęła godzinka, gdy ten z złotymi włosami wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i wsadziwszy jednego do ust, zajarał.

-Ty blondas! - huknałem na niego. - Pięć punktów karne!

-Za co? - jeknął.

-Sabotaż! - wrzasnąłem ochoczo.

-Jak to sabotaż? - przeraził się.

-Popiol z papierosa moze zaklocic wyniki analizy radiowęglowej - wyjasnilem z sadystycznym usmieszkiem.

Skrajny idiotyzm, ani kawalek drewna stad nie trafi na badania radioizotopu C14, ale skad mieliby o tym wiedziec studenci pierwszego roku? Nienawidzilem palenia papierosow...

O jedenastej zarzadzilem czterominutowa przerwe sniadaniowa.

Jakub siedzial na lawie, przed domem. Dziwne mrowienie ustapilo, ale on wiedzial, ze to tylko na jakis czas...

Przymkнал oczy. 1942 rok, Chelm ulica Lwowska. Dom cadyka Aarona Goldberga. Mlody Jakub stoi po drugiej stronie ulicy. Esesmani wylamuja drzwi. Przyszly egzorcysta wie, co stanie sie za chwile. Trzask pekajacego drewna. Szesciu wpada do srodka. Tupot podkutych buciorow na kafelkach podlogi. Trzask drzwi prowadzacych na wewnetrzne podworko. Dziki skowyt hitlerowcow pozbawianych konczyn poteznymi szarpnieciami rak...Ich kumple czekajacy na ulicy wpadaja do srodka. Wybucha dziki tumult. Przez okno, wybijajac szybe, wylatuje oderwana glowa w helmie.

-Rozwalcie to - krzyczy po niemiecku dowodca.

Dlugie serie z broni maszynowej, eksploduja granaty, jeden, drugi, piaty...Rozpryskuja sie szyby. Pekaja mury...

I nagle zapada cisza. Slychac tylko tupot patrolu nadbiegajacego z gory, ulica. W wylamanych drzwiach pojawia sie jeden jedyny esesman. Lewa reka podtrzymuje kikut prawej. Stracil dlon...Brakuje mu polowy szczeki. Mozg z cichym plasnieciem wysuwa sie z peknietej glowy i upada pod jego nogi. Nidoszly zdobywca swiata przewraca sie na chodnik. Nowo przybyli zagladaja ostroznie do srodka, a potem wrzucaja granaty przez okna. Podlogi z loskotem zapadaja sie do piwnic. Pekaja sciany, sufit osuwa sie na gruzowisko...Jeszcze przez chwile, w powietrzu, unosi sie bialy, kredowy pyl...A potem zapada swidrujaca w uszach cisza. Jakub cofa sie glebiej w brame, w zbawczy cien. Niemcy rozgladaja sie po ulicy, szukajac swiadkow masakry. Na szczescie nie widza go...

Ocknal sie jakby z glebokiego snu. Wtedy na Lwowskiej czul to nieznosne mrowienie, czul wloski prostujace sie na przedramionach. Czul ten ohydny lek podchodzacy do gardla. Zanim nadbiegli ci z gory, widzial przez chwile sylwetke sunaca przez zasnute dymem wnetrze domu. I wie, ze do konca zycia nie zapomni tego widoku.

Mrowienie nasila sie. Pora jechac. Zostawic nastawiony w piwnicy zacier, zostawic suszacy sie na strychu kukurydziany slod. Jakub pociagnal jeszcze jeden malenki lyczek bimbru. Tylko tyle, by odpedzic od siebie dominujace przeczucie zaglady.

Po przerwie zebralem cala grupe w polnocnej czesci podworza, przy plocie oddzielajacym nas od ulicy.

-Skupcie sie - powiedzialem. - Jak widzicie, mamy tu zarys scian budynku...

-To fundament? - zapytal neandertalczyk.

-Nie, to sciany zachowane na poziomie okolo 20 centymetrow nad ziemia - wyjasnilem. - Fundament jest niziej. Jak widzicie, po tej stronie poniewiera sie cala masa odlamkow gruzu i kredowych blokow, z ktorych wzniesiono sciany - wskazalem podworko nieistniejacego domu.

-To kawalki, ktore poupadaly tam, gdy budynek sie walil - zauwazyl Jones - a tu w srodku jest jednolite zasypisko...

-Wlasnie - potwierdzilem. - Tu w srodku nie bedzie zadnych warstw kulturowych. To po prostu piwnica zawalona resztkami domu, ktory na nia runal. Zaczniemy od wybrania calego tego rumowiska. Odslonimy az do podlogi. Moze nawet cos uda sie tam znalezc...Jakies graty, ktore zostaly zasypane. Moze nawet rytualne judaica...Ale specjalnie na to bym nie liczy. Nie wiem, jak to sie stalo, ze ten dom ulegl zniszczeniu, ale przypuszczam, ze po prostu w czasie wojny trafila tu bomba...Tak czy inaczej, zdejmujemy niwelacje na tym poziomie, a nastepnie te dwa, czy trzy metry niziej...

Wspomnienie o skarbach bylo bardzo sprytnym posuniecie. Gwarantowalo, ze ze zdwojona uwaga beda patrzyc na wybierany gruz, dzieki czemu rosła szansa, ze nie przeocza niczego ciekawego...

Zabralismy sie do roboty. Polowa wyciagala kamienie rekami, reszta wywozila taczkami na haldy. Zarzadzilem zmiany co pol godziny. Slonce stalo wysoko i przygrzewalo coraz ostrzej, wiec wyslalem dwie dziewczyny po wode mineralna. Kreda byla lekko wilgotna, brudzila dlonie na bialo. Zapewne, pierwotnie mury budynku wzniesiono z kamiennych bloczkow spajanych glina, zamiast wapnem. Gdzieniegdzie w gruzie lezaly kawalki desek.

-Dziwne to jakies - mruknal blondas, podnoszac jedna - niech pan zwroci uwage, szefie...- podal mi.

Na desce widac bylo slad osmalenia ukkladajacy sie wyraznie we wzor liscia paproci.

-To slad jaki zostawia trotyl - wyjasnilem. - Ktos to wysadzal w powietrze albo wybuchla tu bomba. Ewentualnie granat - wygrzebałem z gruzu zardzewialy kawalek metalu. - Prosze o uwage.

Znieruchomieli natychmiast. Dobrze ich wytresowalem.

-Czy ktos z was domysla sie, co to jest?

Pokazalem znalezisko. Milczac, pokrecili glowami.

-To lyzka od granatu - powiedziałem. - Fakt, że tu leży, zmusza nas do zwiększenia ostrożności. Patrzcie uważnie na to, co wygrzebujecie, mogą tu być niewypały.

Pokiwali głowami i ostrożnie znowu wgrzyźli się w głąb. Bryły kredy były coraz większe. Można się w nich było domyślać kawałków ścian zwalonych eksplozją.

Cadyk Mojsze wysiadł z pekaesu, na dworcu autobusowym, w Chelmie. Mrowienie znikło. A to znaczyło, że znalazł się na miejscu. Rozejrzył się bezradnie. Miasto przypominało jeden, wielki plac targowy. Ulica Lwowska ciągle przetaczały się tabuny ludzi. Szukał znaków. Patrzył na tablice rejestracyjne jadących ulicą samochodów.

Jestes. Miejsce. Tutaj - informowały go obojętnie.

-Czy jestem za wczesnie? - zapytał.

Przeskakujące na świetlnym zegarze cyfry. Za wczesnie...

-Kuzwa nie lubię takich, oj nie lubię - mrucał do siebie Jakub. Autobusem trzesło, podskakiwał na wybojach. Jechał powoli, a przecież miasto zbliżało się w przerażającym tempie.

-A może sobie odpuścić? - zamyslił się.

Nie, nie wolno. Obiecał przecież kiedyś, że będzie sprawy pilnował.

Koło południa oczyszciliśmy z grubsza zarys ruin. Od strony ulicy znajdowały się dwa, spore pomieszczenia, być może pełniące pierwotnie funkcje sklepu. Rozdzielał je korytarz. Z niego wchodziło się do dwóch kolejnych pomieszczeń i na podwórze. Wszystkie cztery pokoje zapadły się wraz z podłogami do piwnic, ale posadzka korytarza wyłożona niebieskimi płytkami z kamionki, wytrzymała. Odsłonili ją na prawie całej długości, tylko gdzieś tam pozostały kupki kredowego gruzu. Jedna z nich zwróciła moją uwagę.

-Indiana Jones doczyść tu swoim pedzelkiem - wskazałem dziwną, nieregularną plamę.

W pokojach studenci zagłębili się, mniej więcej, na metr poniżej poziomu gruntu. Stanąłem na resztkach ścian i zrobiłem z góry zdjęcie.

W sumie nie było tu absolutnie nic ciekawego, ale dokumentacja musi być...Nieoczekiwanie dobiegł mnie dziwny odgłos. Odwróciłem się gwałtownie i omal nie spadłem z muru. Jones odskoczył kilka kroków i rzygał prosto do jednej z piwnic. Był zupełnie zielony na twarzy.

-Co się stało? - podeszedłem i delikatnie położyłem mu dłoń na ramieniu.

-Trup - wyjeczał i znowu zwymiotował.

-Jeden punkt karny za zanieczyszczenie stanowiska archeologicznego - powiedziałem

ciepło.

Podszedłem do kupki ziemi i podniosłem porzucony przez niego pedzel. Ostrożnie omiotłem pył. Faktycznie pod warstwą gruzu leżała zgnieciona, ludzka czaszka. Wyjąłem z kieszeni szpachelkę i zacząłem odsłaniać resztę szkieletu.

Studenci porzucili prace i obstąpili mnie kolem. Kolo czaszki znalazłem kawałek sparciałej skóry i fragmenty materiału. Resztki wojskowej czapki?

-Ktos widocznie stal w tym miejscu i przygniotl go walacy sie sufit - wyjasnilem. - No coz, nieprzyjemne znalezisko, ale takie rzeczy sie znajduje. Ochotnik do pomocy...

Blondas przykucnal kolo mnie.

-Odslanjaj tam - wskazalem mu dlonia. Kosci ramion i reszki butow

-Sufit zlamal mu kregoslup i podwinal nogi rownolegle do plecow - powiedzialem - mowiac obrazowo, gosc zlozyl sie jak scyzoryk, tylko w druga strone. - Zginal na miejscu, wiec przynajmniej nie cierpial...

Urwalem. Wprawne oko spostrzeglo w rumowisku kawałek zasniedzialego metalu.

-Zreszta, nalezalo sie sukinsynowi - podnioslem i pokazalem im mala, srebrna, trupia czaszke. - To jakis esesman - wyjasnilem.

-Mamy problem - powiedzial blondas. Spojrzalem.

-Wszyscy w tyl - wrzasnalem.

Hitlerowiec przygnieciony sufitem trzymal w zacisnietej dloni granat. Lyzka nadal opleciona kosmi palcow niebezpiecznie odskoczyla od korpusu. Na palcu drugiej reki, jak pierścionek, rdzawa barwa odznaczala sie wyrwana zawlecзка.

-W tyl - polecilem raz jeszcze.

Cofneli sie znowu kilka krokow. Wyjalem z kieszeni komorke i zadzwonilem do jednostki saperow.

-Godzina przerwy - zakomenderowalem. - Mozecie polazic sobie po miescie - a za to zostaniecie godzinie dluzej po robocie...- obdarzylem ich promiennym usmiechem.

Rozeszli sie, zostal tylko Indiana.

-Dlaczego nie wybuchlo wtedy? - zapytal.

-Wyrwal zawleczke i chcial cisnac granatem. W tym momencie solidny kawal muru

przydzwonil mu w czache, rozbijajac ja i uszkodzil mozg. Najwidoczniej palce w smiertelnym skurczu zacisnely sie wokol...Strop przygniotl go, a przy okazji reka zostala przywalona tak, ze lyzka nie mogla wystarczajaco odskoczyc. Nawet po kilku dniach, gdy ustapilo stezenie posmiertne - dodalem.

-Czesto znajduje sie takie rzeczy"? - zapytal.

-Nie, nie tak czesto - powiedzialem - ale tu moga sie trafic. To byly budynki zydzowskie, a w wojne jak wiesz...

Kiwnal glowa.

-Nie przejmuj sie, przywykniesz...A co od rzygania, kazdemu moze sie zdarzyc za pierwszym razem...

-Ciekawe, po co chcial rzucac granatem wewnatrz budynku - zauwazyl student.

-Moze planowal wrzucic go do piwnicy, aby pozabijac tych ktorzy sie w niej ukryli - zasugerowalem. - A moze chcial zburzyc szopki, gdzies w ogrodzie - wskazalem pusta czesc parceli. - Trudno powiedziec. Faktycznie dziwne znalezisko.

Saperzy przyjechali i zabrali granat. Studenci wrocili piec minut przed czasem.

-Kopiemy dalej - polecilem.

Odslonilem z Jonesem i blondasem caly szkielet. Zalozyliśmy siatke sznurkow ciagnietych co 50 centymetrow. Narysowalismy na papierze milimetrowym dokladny rysunek dokumentacyjny. Wreszcie zebralismy do pudla kosci, guziki od munduru, klamre od pasa i pozostale drobiazgi. Na lekko zasniedzialej blaszce identyfikacyjnej dalo sie jeszcze odczytac nazwisko esesmana.

-I co z tym dalej bedzie? - zapytal blondas, gdy schowalem pudelko do komorki.

-Skontaktuje sie z Czerwonym Krzyzem - wyjasnilem - podam jego nazwisko. Jesli zyje jeszcze jakas jego rodzina, to moze zechca zabrac sobie zwloki. Jesli nie, to trafi do instytutu osteologii i bedziecie sie na tym uczyli czesci szkieletu podczas zajec z antropologii. Swoja droga, to ja swoj grob odpowiednio zaminuje - mruknalem - zeby jacys zakichani archeolodzy za 200 lat sie nie dobrali...

-Kolejny - zawolal neandertalczyk ze swojego wykopu.

Faktycznie, spod gruzu wystawala reka szkieletu. Odslonilem jaz grubsza. Nie byla do niczego przyczepiona.

-Hmmm - mruknalem - widocznie wybuch oderwal ja od korpusu...Zwroccie uwage na to -

pokazalem peknieta kosc - to tak zwane zlamanie zastawne. Powstaje w przypadku, gdy ktos zaslania sie reka przed ciosem.

Wyciagnalem z tlumu jednego studenta i zademonstrowalem na nim, oczywiscie na tyle delikatnie, zeby byl w stanie dalej pracowac...

-Czyli jak dobrze rozumiem, najpierw ktos mu zlamal reke w walce, a potem wybuchlo i oderwalo ja na aut? - zapytal ktos ponuro.

-Wlasnie - potwierdzilem.

Do wieczora znalezlismy jeszcze dwie kosci puszczelowe, obie byly zlamane oraz polowke szczeki.

-Nie podoba mi sie to - mruknalem, pakujac fragmenty szkieletu do plastikowych torebek.

-Dlaczego? - zaciekawil sie neandertalczyk.

-Jesli ci ludzie zgineli na skutek wybuchu granatu albo podczas bombardowania, to rodzaj zlaman powinien byc inny - wyjasnilem. - Pekniecia rozszczepiajace kosci, szarpane przebicia od odlamkow, zmiazdzenia od uderzen w sciany...Tu tymczasem wyglada, jakby psychopata, uzbrojony w kij do bejsbola, lamal im kosci, a potem rozrzucal kawalki cial na wszystkie strony...Fajrant. Jutro na osma - przypomnialem.

Radosnie ruszyli w strone furtki

-Gdzie!? - huknalem za nimi - Narzedzia pozbierac! I do komorki!

Pozbierali i poukladali. A potem znikneli...

Jakub wysiadl z ostatniego pekaesu do Chelma. Rozejrzal sie ponuro, a potem ruszyl Lwowska pod gore. W miejscu domu cadyka spostrzegl plot.

-Kurde - mruknal - musi co roboty budowlane...Pomajstrowal przy klodce i po chwili wslizgnal sie do srodka.

-Wot te na - warknal, spogladajac na odkopana tego dnia czesc domu. - No i wszystko sie zgadza.

Ruszyl po blekitnych plytkach. Zamknal oczy. Esesmani wbiegaja do budynku. Kilku wpada do pomieszczen na prawo i lewo korytarza. Jacys biegną na pietro? Tak, chyba bylo pietro. A moze dwa?...Gdzie go spotkali? W ogrodzie?

Dotarl na obszar, ktory rano zostal splantowany. Warstewka wegli drzewnych ukladala sie w prostokat. W tym miejscu, w czasie wojny stala nieduza szopa. W niej...Ktorys esesman otworzyl kopniem drzwi. Skoczyl na nich...Dwiescie, moze dwiescie piecdziesiat

kilogramow masy. Sila byka, przy nieprawdopodobnej szybkości poruszania się. Palce twarde jak stal, bez trudu przebijające ludzka tkankę...

Egzorcysta rozglądał się wokół i wypatrzył komorke na narzędzia. Zawrócił i zajrzał do częściowo odgruzowanych piwnic.

-Jeszcze głęboko - mruknął - może się zniecheca? Zreszta nawet jeśli, nic z tego chyba nie może być...

Włoski na reku podniosły mu się.

-To tylko bezrozumna siła - mruknął - ale jeśli poskładają to do kupy, może być niebezpieczne...Ale pewnie nie będzie im się chciało. Budowlancy to leniwa, zapijaczona banda - pociągnął bimbru z bidonka. - Tylko dlaczego mnie to niepokoi?

Wyszedł na ulicę. Nieoczekiwanie poczuł na sobie swidrujące spojrzenie. Złożył palce w znak Naqet.

Mojsze stał w bramie. Spostrzegł palce Jakuba składające się charakterystycznie i zacisnął z całej siły powiekę. Mimo to, rozbłysk prawie go oslepił. Zatoczył się i oparł o ścianę.

Jakub podszedł do niego.

-Czego tu szukasz? - zapytał spokojnie. - To moja ziemia.

Obaj mieli włączoną telepatię, więc rozumieli, choć mówili różnymi językami.

-Tu jest coś ukryte - mruknął Mojsze, tracąc oczy. - Jesteś wiedzącym...Obdarzonym?

-Tak. Nazywam się Wedrowycz.

Mierzyli się wzrokiem. Chasyd w długim, czarnym płaszczu, szerokim kapeluszu i drucianych okularkach oraz troje w spodniach od ortalionowego dresu, czarnej esesmańskiej kurtce, zszarganej do nieprzyzwoitości i gumofilcach na nogach. Twarz ozdobiona czarna, długa broda i przepisowymi pejsami, i zakazana morda porośnięta pieciodniową szczecina. Czarne świetliste oczy płonące wewnętrznym blaskiem i głęboko osadzone błękitne jak porcelanowe kulki, zaropiałe, kaprawe ślepią. A mimo to, obaj natychmiast zorientowali się, że należą do tego samego gatunku ludzi wędrujących po ziemi, obdarzonych darem...

-Wiesz, co tu jest - zauważył Mojsze.

-Widziałem w działaniu...- pochwalili się egzorcysta. - Co robimy? Bo pewnie masz ten sam cel. Nie dopuścić, by znowu wyrwało się na wolność...

-Wole o tym mówić w rodzaju męskim...Sądzę, że trzeba czekać. Głęboko leży?

-Niemcy rzucili granaty. Zerwalo podlogi, zawalilo sciany. Dwa metry, moze gliej...

-Granaty...Wiec rozlecial sie na pyl...

-Tez tak mi sie wydawalo, ale dlaczego w takim razie czujemy odbicia mocy?

-Moze to, co sie zachowalo, wystarczy...

-Moze - westchnal Jakub. - Budowlancy wywoza to na halde albo gruz pojdzie na budowe drog...Nie zaszkodzi nam.

-To nie budowlancy tu kopia - Mojsze wskazal tabliczke. - To archeolodzy.

-Aha. Tacy, co grzebia w ziemi i garnki stare znajduja...Bo od dinozaurów to sa ci, palantolodzy? - Jakub popisal sie fachowym slownictwem.

-Wlasnie. Jesli znajda kawalki, to moze zechca poskladac go do kupy? Musimy byc czujni...- Zyd sklonil powaznie glowe.

Ulica przejechala spozniona ciezarowka. Niebawem - powiedzialy numery na ukrainskiej tablicy rejestracyjnej.

-Mysle, ze mozemy pracowac razem - na twarzy Wedrowycza wykwitl szeroki, szczery, slowianski usmiech.

Przybysz powaznie skinal glowa.

Ten kawalek muru byl naprawde spory. Musielismy podwazyc go dragami, aby mozna go bylo zlapac, oplatac pasami i wyciagnac z eksplorowanej piwnicy. Jak sie okazalo, po stronie przylegajacej do ziemi, zachowaly sie resztki tynku pokrytego blekitna farba. Od gory zdobil go zloty szlaczek odbijany walkiem. Ponizej namalowano tuszem kilka znakow. Sfotografowalem je.

-Niezly zestaw kolorow - blondas trzymal w rece inny kawalek, dla odmiany intensywnie czerwony.

-Zydzi lubili mocne zestawienia barw - wyjasnilem.

-Na halde - zakomenderowalem.

-To przeciez cenny zabytek - zaprotestowal ktos.

-To nie sa freski Brunona Schulza, on mieszkal w Drohobyczu - zazartowalem.

-A co? - zaciekawil sie ktos.

-Dwudziestowieczny tynk z resztką napisu - odpowiedziałem. - To zbyt świeże, by było dla nas cenne. Ale jeśli ktoś z was chce to przechować dalsze 500 lat, to nie widzę przeszkód, można sobie zabrać.

Wywlekli bryłę muru i wywiezli taczkami. Ogłosiłem przerwę śniadaniową. Studenci rozsiedli się na murach i powyciągali kanapki, a niektórzy puszkę z ukraińską chalcą. Uśmiechnąłem się lekko. Biedacy nie wiedzieli jeszcze, że jest to podroba zrobiona z nasion słonecznika...Indiana stanął koło leżących na haldzie kawałki ściany i kontemlował znaki.

-To mi nie wygląda na hebrajski - powiedział, wyjmując z torby książkę. - Daniken...

-Dwa punkty karne za wymówienie na wykopaliskach nazwiska największego wroga archeologii. I jeszcze trzy za przemyślenie na teren bazy naukowej dzieł tego popapranca.

Student zrobił się blady jak ściana.

-Dobra, tym razem ci daruję - mruknąłem. - To alfabet samarytański. Używa go ciągle kilka tysięcy mieszkańców Izraela...

-I co tu jest napisane? Przyjrzałem się literom.

-"I będziesz się strzegł istoty bez duszy" - odczytałem.

Jakub i Mojsze siedzieli na strychu budynku położonego opodal terenu wykopalisk. Jakub trzymał przy oczach solidną lornetkę, którą w czasie wojny zabrał hitlerowskiemu zwiadowcy. Zwiadowca nie zaprotestował, widły wbite w wątrobę utrudniały mu mówienie...

-Znaleźli? - zapytał cadyk. Egzorcysta pokręcił głową.

-Jak do tej pory nic - powiedział.

-Może ktoś to wykopał? - zastanawiał się jego towarzysz.

-To skąd by się brały te fluktuacje mocy? - parsknął egzorcysta. - Nawet jeśli ktoś zabrał część, to i tak zostało wystarczająco dużo.

Milczeli przez chwilę. Wreszcie egzorcysta sięgnął do torby i wydobyl walowkę.

-Na, zryj i niech ci dupa wylizie - podsunął schabowego towarzyszowi.

-Nie mogę. To wieprzowina...Religia mi zabrania. Egzorcysta spojrzał mu prosto w oczy. Jednak próba hipnozy nie powiodła się.

-Zabrania to zabrania - mruknął zniechęcony. - To ty z głodu nogi wyciągniesz...Może lyczek sliwownicy? - wyciągnął flaszkę metnego bimbrowca.

-Niekoszerne - skrzywil sie przybysz. - Ale sprobuj mojej - podal mu piersiowke.

Pejsachowka, 60% mocy, splynela w glab gardla egzorcysty i przyjemnie rozgrzala jego stare kosci.

-A koszerne jak sie robi? - Jakub z miejsca nabral ogromnego uznania dla zydzowskich wyrobow spirytusowych.

-Trzeba naczynia i produkty umyc siedem razy, nie wolno przygotowrywac zacieru ani pedzic podczas szabasu, przy produkcji nie moga brac udzialu kobiety. Wreszcie proces technologiczny musi nadzorowac przeszkolony odpowiednio rabin - wyjasnil cadyk.

-Sporo roboty - mruknal Jakub. - Ale chyba warto - pociagnal jeszcze jeden lyk i uniosl lornetke do oczu.

-Cos dziwnego szefie - blondas polozyl na stoliku brylke blekitnego koloru.

Ujalem ja w dlon.

-Faktycznie - mruknalem. - To chyba glinka kimberlitowa, wypalona na cegle...

Z jednej strony kawalek byl zagladzony.

-Nie mam pojecia, co to jest, poza jednym, to glina zawierajaca naturalna domieszke kobaltu...Tylko mamy problem, bo takie gliny wystepuja moze w dwu miejscach w Polsce...A i na swiecie jest ich niewiele...Glinki kimberlitowe to pozostalosci starych, zerodowanych stozkow wulkanicznych - wyjasnilem.

-W takich glinach w Kimberley w RPA szuka sie diamentow...- dodal Indiana, pojawiajac sie obok. - Mam jeszcze kawalek...

Trzymal na dloni palec utoczony z tego samego surowca i starannie wypalony.

Palec byl naturalnej wielkosci...

-Jakas rzezba - zawyrokowalem - ciekawe. Zwroccie na to uwage przy odgruzowywaniu, moze znajdzie sie wiecej fragmentow. Jak ktos znajdzie ponad dziesiec, anuluje mu jeden punkt karny.

Za szybko zaproponowalem. Do wieczora wszyscy mieli czyste konta. Odlamki blekitnej gliny wypelnily cale pudlo po telewizorze. W warstwie, nieco ponad poziomem piwnicy, znalezlismy jeszcze trzy szkielety. Resztki pasow, skorzane buty, pistolety w zacisnietych dloniach, blaszane pudelko po papierosach, wszystko to zdradzalo ich narodowosc.

-Dziwne - mruknalem, odmiatajac je starannie miotelka.

-Znowu ktos im polamal kosci? - zainteresowal sie blondas.

-Gorzej - wycedzilem, patrzac na zebra rozszczepione na dlugie ostre drzazgi - ci goscie zostali jak gdyby wgnieceni w ziemie...

-Sufit spadajacy z gory? - zaciekawil sie blondas.

-Trudno powiedziec, sadzac po zlamaniach kosci obreczy barkowej raczej cos ich gwaltownie scisnelo, a potem uderzylo w ziemie z taka sila, ze popekaly kosci udowe, a warto wam wiedziec, ze kazda z nich wytrzymuje nacisk pol tony.

-Moze jakis wyjatkowo krzepiasty Zyd rozprawial sie z tymi esesmanami po kolei - mruknal Indiana.

-Musialby miec sile kilku chlopa - mruknalem. Zrobilem fotografie szkieletow in situ.

-Najdziwniejsze jest co innego - powiedzialem - dlaczego ich kamraci nie wydobyli zwlok. Ich odkopanie nie powinno byc problemem... Tymczasem zostawili ich tu pod gruzami, jak gdyby czegos sie bali...

Opodal szkieletow znalezlismy jeszcze stope z niebieskiej gliny.

-Sadzisz, ze znalezli wszystkie detale? - zaciekawil sie cadyk.

Jakub opuscil lornetke.

-Nie, raczej za wczesnie, ale chyba polowe juz maja... Na dzis skonczyli. Pora wkraczac - podniosl sie z desek poddasza.

Skrzypnela furtka. Obaj wiedzacy weszli na teren wykopalisk. Kierownik siedzial na skladanym krzeselku kolo szopy. Na sporym, roboczym stole porozkladane mial kawalki dokladnie wypalanej, blekitnej gliny.

-Teren wykopalisk, nieupowaznionym wstep wzbroniony - warknal, nie podnoszac wzroku.

Jakub spojrzal na niego ponuro. Archeolog nie spodobal mu sie.

-Ja tam jestem upowazniony - mruknal.

-Niech pan przestanie - odezwal sie Mojsze po angielsku. - Pan nie wie, co pan robi.

Olszakowski podniosl glowe.

-A tak wlasciwie, to coscie za jedni? - zainteresowal sie.

-Mojsze Apfelbaum, cadyk, belszentow, cudotworca - przedstawil sie przybysz z Ameryki.

-Jakub Wedrowycz egzorcysta - warknal drugi z intruzow.

-Milo mi, a teraz won - kierownik wpasowal kolejny brakujacy element.

-Pan nie wie, co to jest - zauwazyl lagodnie Mojsze.

-Jak to nie wiem? - obrazil sie Olszakowski. - To golem. Ktos z tutejszych rabinow probowal go zbudowac. I wlasnie dlatego, to cholernie ciekawe znalezisko. Zadne muzeum zydzowskie na swiecie nie ma czegos podobnego w swoich zbiorach. Nawet jesli, to tylko XIX wieczna kopia. Choc sadze, ze jest starszy...

-Wypalono go w Lublinie w XVI wieku - powiedzial cicho Jakub. - Wowczas ozywiony, zostal nastepnie unieruchomiony. Moj przyjaciel cadyk Goldberg odszukal go tuz przed wojna i przywiozl tu. A potem ozywil.

-Usiadzcie - archeolog zaciekawiony wskazal im krzesla. - A wiec ta figura ma swoja historie...

-Ma - mruknal Wedrowycz - i najwyzszy czas ja zakonczyc. Znalazles trupy?

-Jakie trupy? - zdziwil sie Olszakowski. - Niemieckie trupy. Ciała esesmanow, ktorzy wdarli sie do tego domu i zostali rozerwani na strzepy przez gole - ma...- wyjasnil Mojsze.

-Ja sie nie zajmuje bajkami - mruknal archeolog. - Ja sie zajmuje historia...

-A jakze - Wedrowycz otarl usta wierzchem dloni. - A poodrywane reki i nogi w gruzie leza...Magister spojrzal na niego spod oka.

-A czego wy chcecie?

-Oczywiscie zniszczyc to, zanim dojdzie do nieszczescia - wyjasnil przybysz z Ameryki. - Golem nie czuje bolu, nie ma rozumu, dysponuje potworna sila, jest odporny na zranienia...Dzis jest piatek. Jesli ozyje, bedzie sie probowal wedrzec do najblizszej synagogi.

-A to sie zdziwi, bo w tej, ktora ocalala, urzadzili biblioteke - zazartowal Olszakowski.

Obaj intruzi milczeli powaznie.

-Niemieszkom udalo sie tylko dlatego, ze uzyli granatow - wyjasnil Jakub. - Rozprysl sie na kawalki, ale nie starto z niego napisow dajacych mu zycie...Jesli zlozysz to do kupy, znowu powstanie...A nad nim nie mozna zapanowac. A przynajmniej nikomu sie nie udalo.

-Zniszczyc bezcenny zabytek - prychnal kierownik - i to w imie starych, zydzowskich bajek...Jestescie naiwni albo szaleni...

Mojsze wyjal z kieszeni pistolet gazowy i spokojnie wystrzelil jeden ladunek.

-No to przeciwnik zneutralizowany - mruknal Jakub.

-Jak to kasujemy?

-Tradycyjnie - Zyd wyjal zza paska sztylet z brazu - scieramy formule i po problemie - a reszte niech sobie nawet skleja do kupy...

-Gowno - mruknal Jakub - moj kumpel, cadyk Goldberg mowil, ze formule mozna zetrzec tylko wtedy, gdy jest zywy. Inaczej nie zadziala.

-Pierdoly. Jesli usuniemy formule teraz, to w ogole nie ozyje...

Archeolog doszedl do siebie, ale zwiazany i zakneblowany, mogl tylko rzucac im spojrzenia pelne nienawisci...

-Wystarczy napis - powiedzial stanowczo cadyk Mojsze i zeszkrobal ciag blekitnych znakow.

-Zasrani niszczycciele zabytkow - warknal Olszakowski, ktoremu udalo sie wreszcie wypluc knebel. - Czekaajcie ja was urzadze - powiedzial - tylko sie stad wydostane, a dostaniecie takiego kopa...

-Pora na nas - Zyd podniosl sie z krzesla. - Milo bylo poznac - usmiechnal sie do lezacego na ziemi magistra.

Skierowal sie do furtki. Jakub wyjal z kieszeni zaiwaniony w supermarkecie nozyk introligatorski i rzucil na ziemie kolo rak zwiazanego.

-Moze to i fachowiec - gestem wskazal oddalajacego sie wspolnika - ale ja, na twoim miejscu, nie ruszalbym tego...

Obaj wyszli na ulice.

-Nadal sadze, ze sie mylisz - powiedzial powaznie Wedrowycz.

-Jestem cadykiem - zaprotestowal Mojsze. - Studiowalem kabale, matematyke sefiriotychna, talmud, zohar, ksiege sefer jcirach...I wiem, jak obchodzic sie z goleniami.

-Ta - egzorcysta otarl usta dlonia - i duzo ich zalatwiles?

-Kilka - sklamal przybysz.

-Zasrane swiry - powiedzial Olszakowski pod adresem nieobecnych juz intruzow. - Na szczescie uszkodzenia tylko powierzchniowe...Nakapal w szczeline kleju i wpasowal ostatni brakujacy element. Siodma wieczorem. Pora wracac na kwatere. Z walizki wyjal pudelko z

tuszem i pedzelkami. Na dłoni posagu widac bylo jeszcze slady niedokladnie zdrapanych liter.

-Poprawimy - mruknal - i nikt sie nie zorientuje...Zanurzyl pedzelek w kalamarzu. Z zadowoleniem stwierdzil, ze pamietaja jeszcze zajecia z hebrajskiego i sztuke kaligrafowania zydowskich liter. Po chwili bylo po wszystkim. Podmuchal na napis, aby tusz dobrze wysechl. Wstal i zaczal skladac narzedzia. Odniosl krzeslo do skladziku. Nieoczekiwanie uslyszal jek. Odwrocil sie na piecie. Stol byl pusty. Golem stal obok.

Mlody mezczyzna, o lekko semickich rysach, wygladal jak ulepiony z pyłu. Uniosl noge i postapil krok. Jego ciało stalo sie mokra glina. Potem przybralo cielista barwe. Miesnie zagraly pod opalona, sniada skora.

Olszakowski patrzyl, nie wierzac wlasnym oczom. Stwor mrugnal glinianymi powiekami. Gdy je otworzyl, jego oczy byly juz zywe. Wygladaly jak u normalnego czlowieka. Golem byl nagi. Podeszedl do magazynu i wyciagnawszy ze srodka drelichowy sort odziezowy, ubral sie spokojnymi, miarowymi ruchami. Po chwili wygladal jak zwyczajny robociarz, tylko lekka sztywnosc ruchow sprawiala, ze wygladal obco, niepokojuco. Zblizyl sie do skamienialego magistra.

-Dziekuje za odkopanie - powiedzial spokojnie po polsku. - Cholerni partacze - mruknal pod adresem nieobecnych egzorcystow. - Nieuki...

Spojrzal na niebo. Slonce powoli zapadalo w strone horyzontu. Zblizal sie czas szabasu. Odwrocil sie na piecie.

-Ty, zaczekaj! - huknal Olszakowski, lapiac oddalajacego sie za ramie.

Mial wrazenie, jakby gola reka usilowal zatrzymac odjezdzajacy pociag. Golem lagodnie, ale z nieprawdopodobna sila oderwal jego palce.

-Pora na mnie - powiedzial pogodnie. - I nie wchodz mi w droge - gestem wskazal cztery kartonowe pudelka z polamanymi koscmi esesmanow.

A potem wyszedl przez skrzypiaca furtke. Archeolog przez chwile patrzyl za nim.

-Kurde, jak ja to odnotuje w protokole wykopalisk? - jeknal.

Stara, zrujnowana synagoga drzemala w cieplym, letnim polmroku. Bibliotekarze skonczyli prace i poszli do domow. Jakub i Mojsze wylezli z kibla.

-I po jaka cholere mnie tu przywlokles? - warknal Zyd.

-Zebys kurde zobaczyl, do czego prowadzi nieuctwo - parsknal egzorcysta.

-Powiniennem o tej porze byc w synagodze - wyjasnil cadyk - zaczal sie juz szabas...

-Jestes w synagodze - Jakub zazartowal ponuro.

-Fakt - mruknal.

Stanal pomiedzy regalami i kolyszac sie na pietach, pograzyl w modlitwie. Jakub zdjal pokrywke z wiaderka. W powietrze buchнал zapach kwasu fluorokrzemowego. Ustawil go w kacie. Na wszelki wypadek.

Drzwi uderzone piescia golema popekaly na szczapy. Stwor stanal u wejscia do glownej sali. Wygladal jak czlowiek i tylko jego skora polyskiwala dziwnie. Jednak gdy ruszyl do przodu, podloga zatrzesla sie pod jego stopami. Cwierc tony, niesamowita szybkość, gibkosc tygrysa, sila slonia. Cadyk przerwal modlitwe i odrzucil tales. W jego dloni blysnela lufa rewolweru magnum. Egzorcysta z uznaniem spostrzegl, ze w oczach jego przyjaciela nie widac leku. Bez wahania zastapil droge zywemu posagowi i wystrzelil piec razy w gliniana piers. Kule przeszyly tkanke i wyszly z tylu, wyrrywajac wielkie kawaly miecha.

Olowiane czubki bez stalowego plaszcza - skonstatowal Wedrowycz.

Ochlapy padly na podloge, rozsypujac sie w gliniany pyl. Golem nawet tego nie poczul. Rany zabliznily sie momentalnie. Cadyk wystrzelil ostatni naboј w glowe monstrum. Kula oderwala kawalek policzka, lecz znowu ubytek natychmiast zarosl. Stwor odrzucil zagradzajacego mu droge czlowieka i ruszyl naprzod. Kopniakiem wyrzucil w powietrze regal. Ksiazki polecialy na wszystkie strony. Jakub ominal go bokiem i dopadl do przyjaciela.

-Zyjesz? - pochyлил sie na Zydem.

-Polamal mi zebra - wyjasnil Mojsze. - Walnal, jakby mial lape z kamienia...

Egzorcysta podal mu reke i pomogl wstac. Monstrum z gracja poruszalo sie pomiedzy regalami, niszczac te, ktore zagradzaly mu droge.

-Czego on u licha szuka? - zapytal Wedrowycz.

-Nie mam pojecia. Nasze legendy mowia tylko, ze bedzie probowal wdrzec sie do srodka...Ale dotad nie odnotowano...

-To moze warto poobserwowac? - zamyslil sie Jakub.

-Nie. Musimy go zniszczyc, zanim dojdzie do jakiegos nieszczescia...Tylko jak?

-Zniszczyc to zniszczyc - westchnal egzorcysta.

Pobiegl na koniec biblioteki i uniosl z ziemi wiaderko z kwasem. Ruszyl pomiedzy regalami

na spotkanie przeznaczenia. Golem nadciągał. Wyglądał na mocno wkurzonego.

-Stoj! - krzyknął do niego Jakub. - Ustap i gin!

Nawet nie zwolnił kroku. Egzorcysta chlusnął z wiadra i natychmiast odskoczył. Kolejny regał wyleciał w powietrze. Obaj współpracownicy starali się schodzić z drogi glinianej istocie. Było to trudne. Golem poruszał się bardzo szybko, a liczba wywroconych regałów rosła.

Nie zadziałało - powiedział cadyk. - Może gdyby walnąć go od tyłu czymś ciężkim... Cholera, gdybyśmy mieli granat...

-Mam - mruknął Jakub, ale nie rozwijał tematu.

Nieoczekiwanie potwór zwolnił. Powoli odwrócił się w ich stronę. Z wysiłkiem unosił kolano. Skóra pękła mu, odsłaniając głębsze warstwy ciała. Kolano złamało się z trzaskiem i po chwili runął jak długi. Na jego twarzy odmalował się ból, a z gardła wydarł krotki, ochryply krzyk. Jedno ramię ciągle miał sprawne. Walił nim z wysiłkiem w podłogę. Kawalki ceramicznych płytek bryzgały naokoło. Cementowa posadzka popekała promieniste. Na drugiej ręce, niczym siny tatuż, odznaczały się cztery, hebrajskie litery. Cadyk, ryzykując życie, dopadł jej i jednym pociągnięciem brzozy usunął pierwszą.

Na podłodze leżał gliniany posąg w podartym drelichu. Martwy.

-Jak tyś to zrobił? - Mojsze wbił swidrujące spojrzenie czarnych oczu w Jakuba.

-Kwas fluorokrzemowy, nie? To się używa w budownictwie do osuszania ścian. Wiąże wilgoc w murze i robi z niej krzemionkę. Skoro było żywe, to miało w sobie wodę. Jak polełem, przepaliło mu skóre i zaczęło scinać na kamień, dlatego przestał się ruszać...

-Sprytne...

Praktykanci przyszli piętnaście minut przed czasem.

-O, a gdzie posąg? - zdziwił się blondas. Uch, jak ja nie lubiłem wscibskich studentów.

-To tak cenne znalezisko, że zdecydowałem się natychmiast zabezpieczyć - wyjaśniłem - jeszcze wieczorem przyjechali od generalnego konserwatora zabytków i zabrali go do Warszawy - zelgalem.

Chyba uwierzyli. Zresztą, jak mogliby nie uwierzyć swojemu kierownikowi?

-Piwnica odgruzowana? No to zabierajcie się za następną - huknałem - szkoda czasu.

Pobiegli po łopaty. Minęło może pół godziny. Telefon milczał. Zaczynałem się już denerwować.

-Szefie, są żydowskie skarby - Indiana wyskoczył z wykopu z siedmioramiennym świecznikiem w ręce - drewniana beczka zgnieciona ceglami... Pełno w niej różności pozawijanych w gazety.

-Blondas, neandertalczyk, pedzle w garść, odczyszczyć warstwę - polecilem - a wy dziewczyny nie objajcie się.

-Ty ruda po aparat, a ty cielatko polecisz do redakcji Tygodnika Chelmskiego, niech dadzą natychmiast jednego dziennikarza...

Zadzwonił telefon komórkowy. Paweł. Nareszcie.

-Słuchaj Tomasz, uгаdałem już tego artystę. Rzeźba będzie gotowa na poniedziałek. Kimberlitu nie zdobyliśmy, ale mamy białą glinę, zabarwimy kobaltem.

-Kurde, dzięki stary, ratujesz mi życie...

-Od tego ma się kumpli. Aha jeszcze jedno. Prześlij mi e-mailem znaczki, co ma mieć wypisane na ręce...

Zamysliłem się na chwilę.

-Wiesz co, zrobicie bez znaczków. Jak będzie potrzeba, później sam je sobie domaluje...

Wylaczyłem telefon i schowałem do kieszeni.

Jakub i Mojsze stali nad gardzielią potężnej kruszarki mielącej margiel w Cementowni Chelm.

-Hy, rozetrze na proszek - ucieszył się Wedrowicz.

Po kolei rzucali na walce maszyny blekitne bryły.

Starzy, chelmscy budowlancy wspominają, że nigdy w życiu nie trafili na tak dobry materiał, jak ten lekko niebieskawy, portlandzki cement z partii W/821c. W kamiennym kregu

Wrzesniowe niebo było ciemne i zaciągnięte chmurami. W licznych wyrwach szpecących drogę do byłego pegeeru stały kaluze. Odbijały się w nich rachityczne choinki rosnące po obu stronach szosy oraz oliwianej barwy nieboskłon. Z jednej szczególnie głębokiej wyrwy, zajmującej ponad połowę szerokości, wystawał zardzewiały wrak wojskowej ciężarówki. Najwidoczniej wpadła kiedyś, do dziury i nie zdołano już jej wyciągnąć.

Szosa jechał piętnastoletni maluch na warszawskich numerach. Rdza odsadziła lakier w miejscu, gdzie karoseria łączy się z podwoziem, silnik rzeźił upiornie, ale pojazd niestrudzenie prul do przodu. Mężczyzna, siedzący za kierownicą, spokojnym spojrzeniem lustrował okolice. Umierający las, dziurawa droga, to wszystko nie robiło na nim

najmniejszego wrazenia. Wreszcie pojazd, wyjac silnikiem, wjechal na wzgorze. Roztaczal sie stad wspanialy widok. Na dnie rozleglej doliny lezaly byly PGR - kilkadziesiat barakow wymurowanych z pustakow, krytych eternitem. Wiekszosc budynkow byla opuszczona. Straszily wyrwanymi oknami. Na kolejnym wzgorzu stal spory budynek otoczony wysokim murem. On takze wygladal na opuszczony.

Pola wokolo wsi zarastaly perzu, gdzie pod lasem stal kompletnie zardzewialy kombajn. Wiekszosc czesci rozkradziono, przechylil sie na bok. Ile lat temu porzucono go, by szedel pod goly niebem? Na skraju wsi i na polu widac bylo kilkanascie dziwnych, okraglych jeziorok otoczonych niskim walem piachu.

Kierowca zatrzymal pojazd i wyciagnawszy ze schowka sztabowke, przez chwile porownywal ja z okolica. Zabudowania na wzgorzu byly prawdopodobnie opuszczonym palacykiem myslivskim hrabiego Zygfryda von Hosendufta. Tajemnicze jezioro zaznaczono na mapie. Czerwona linia, biegnaca jej krawedzia, wyznaczala granice dawnego, radzieckiego poligonu.

Mieczynna zlozyl male i zwolniwszy hamulec, powoli zjechal do wsi.

Idzie majster ciemna noca Ma w koszyczku pol litra W butelczkach tak chlupoce Az wyjrzaly ptaszki z gniazd Jak wyjrzaly zobaczyly, To nie chcialy wiecej spac. Kaprysily grymasily, Zeby im pol litra dac!

Wesola piesn masowo wyrzaskiwana przez czterdziestki gardel wprawiala w drzenie szyby w knajpie. Semen wybijal rytm, walac piescia w stol. Jakub w kacie saczyl drugie dopiero piwo. Nieoczekiwanie drzwi otworzily sie ze skrzypnieciem i wewnatrz knajpy pojawil sie obcy. Tlum zamarl i wrogo spojrzal na wysokiego jasnowlosego mezczyzne w garniturze. Ten przetoczyl po wnetrzu spokojnym wzrokiem. Ktorys krewki tubylec trzasnal flaszka o kant stolu, ale obcy tylko spojrzal na niego chlodno. Tubylec poczul bol i spojrzawszy na dol, ze zdumieniem spostrzegl, ze wbija sobie tulipana we wlasna noge.

Egzorcysta odstawil kufel. Odsunal krzeslo gestem zapraszajacym przybysza do zajecia miejsca. Ludzie milczeli ponuro, ale Wedrowycz cieszil sie opinia czlowieka, ktoremu lepiej nie podskakiwac. Skoro zapraszal tego przyblede, tak widac musialo byc. Gosc usiadl naprzeciwko Jakuba. Spojrzeli sobie w oczy. Mysli Wedrowyicza splataly sie lekko, ale zaraz mu przeszlo.

-Tancerz Umyslu - mruknal. Gosc powaznie skinal glowa.

-A ty jestes wiedzacym - powiedzial z szacunkiem. Mowil po angielsku, ale poniewaz obaj przelaczyli sie na telepatie, rozumieli sie bez trudu.

-Czego tu szukasz? To moja ziemia - warknal Jakub.

-Jade do Lwowa. A potem dalej na Wschod - wyjasnil przybysz - wpadlem, aby cie ostrzec.

-Cos sie dzieje? - mruknal Jakub ponuro - czuje to od kilku dni. Cos dziwnego. Nowe, a jednocześnie stare...

-Slyszales o instalacji?

-Zartujesz? - zdenerwowal sie.

-Znowu ja uruchamiaja. Wytlucze wszystkich obdarzonych w promieniu dwu, moze trzech tysiecy kilometrow.

-Kurde!

-To nie wszystko. Prawdopodobnie beda usilowali przywrocic Zygfyda von Hosendufta.

-Kurde - powtorzil Jakub. - Trzeba temu zapobiec!

-Ciekawe jak - parsknal gosc. - Wszyscy, ktorych zawiadomilem, uciekaja teraz jak zajace.

-Jesli sprowadza go na ziemie, to wczesniej czy pozniej, dorwie was wszystkich. Trzeba dzialac teraz.

-Jestesmy za slabi. To najpotezniejszy mag zakonu Thule. Ale spokojnie, jesli nawet go przywroca, to nie pociagnie dlugo. Pole smierci nie utrzyma go przy zyciu dluzej niz dwadziescia lat...Pamietasz, co bylo ostatnim razem.

-No to spierdalaj frajerze - warknal egzorcysta - Jesli jedyne, co umiesz zrobic, to zaszyc sie daleko, to wynos sie...

-A ty, co ty mozesz zrobic - parsknal rozezlony gosc.

-A ja bede walcyl...Barman, temu frajerowi flaszke na droge, a wy, chlopaki, wsadzcie go do pekaesu - dokonczyl.

Chlopaki wyciagneli noze, tasaki, lancuchy do krow...

-Dzieki - odwarknal Anglik - jestem samochodem.

Tlum powoli rozstapil sie, robiac waskie przejście. Jakub splunal w slad za odchodzacy. A potem wlal do kufila jeszcze jedna butelke piwa. Gdy zacisnal na nim dlon, spostrzegl, ze drza mu palce.

Od czasu, gdy w czasie wojny upitolil esesmanowi glowe sierpem, nie bal sie niczego. Az do teraz. Lek zlupal go stalowymi kleszczami za gardlo. Zygfyd...Jesli to prawda...Po raz pierwszy w zyciu przyszlo mu na mysl, ze ucieczka nie jest chyba takim glupim rozwiazaniem.

-Jakub, co z Toba? - Semen klepnal go po ramieniu.

-Wygladasz jakbys ducha zobaczył. A wlasciwie znacznie gorzej - dodal powazniejac.

-Mamy klopoty - powiedzial w zadumie egzorcysta. - I to powazne.

-Co sie stalo? - zaniepokoil sie kozak.

-Nie chce mi sie o tym gadac - westchnal Jakub.

-Jest impreza, wiec nie martwy sie, tylko bawmy. A problemom czola stawimy jutro.

Wicher wyl w kominie palacu. Z trzewi budowli rozlegl sie jek. Mark wstal z fotela. Z zalem oderwal wzrok od plomieni tanczacych w kominku. Niechetnie opuscil swoj pokoj. Ruszyl przez zimne, ponure korytarze. Kaplanka lezala, tak jak ja zostawil, w salonie.

Tu takze bylo zimno. Wprawdzie zamurowano okna, ale wicher odnajdywal jakos droge do wnetrza. Posrodku pomieszczenia spoczywal wielki blok granitu ozdobiony zatartymi nieco napisami. Wiek mijal od czasu, gdy magowie z Thule wydobyli go z jednej z okolicznych wydm.

Pochylil sie nad nieprzytomna, naga dziewczyna. Jej czolo pokrywaly kropelki krwi. Krwawy pot. Ostrzegala go, ze tak bedzie...Przyniosl z kuchni kawalek czystej szmatki i delikatnie przetarl jej twarz. Konczyl juz, gdy wyszla z transu. Spojrzala na niego zoltymi oczyma.

-Moc narasta - powiedziala chrapliwym, starczym glosem. - Za tydzien bedzie pelnia. Zygfyrd powstanie z krainy cieni. A twój kontrakt dobiegnie konca.

Skinal powaznie glowa. Dziewczyna usiadla. Nakryl ja obszernym szlafrokiem. Poki byla pograzona w transie, jej cialo nie tracilo ciepla. Teraz, przebudzona, bardzo zmarzla.

-Pamietasz punkt trzynasty? - zapytala.

-Pamietam wszystkie - uroczyscie skinal glowa.

-Przygotuj sie...Kto wie - mruknela. - Szczury opuszczaja tonacy statek. Fluktuacje mocy przerazily wszystkich, ktorzy byli w stanie je odbierac, ale nie wszyscy uciekli.

-On zostal? - zaniepokoil sie Mark.

-Gorzej. Chyba wybiera sie do nas z wizyta...

Wrocil do swojego pokoju i zapadl w fotel. Ze skorzanej teczki wyjal karte pergaminu opatrzona swoim podpisem. Kontrakt podpisany z zakonem Thule czynil go na piec lat ich niewolnikiem. W zamian mial otrzymac milion euro. Jesli tylko Unia Europejska przetrwa, bedzie bogaty...Gotycka czcionka byla trudna do przeczytania, ale znal cyrograf prawie na

pamięć. Punkt trzynasty obligował go do zabicia człowieka nazywającego się Jakub Wedrowycz, gdy tylko ten pojawi się w pobliżu...

Zdezorientowany fiacik zatrzymał się przed sklepem monopolowym pośrodku wsi. Tubylcy leżący malowniczo na schodach podnieśli głowy i przez chwilę obserwowali człowieka, który wysiadł.

-Hy, miastowy - rzucił jeden i wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem.

Nic tak dobrze nie rozpuszcza mózgu jak truskawkowa pryta na siarce. Na sklepie wisiała czerwona tabliczka oznaczająca, że wewnątrz można znaleźć soltysa wsi. Mężczyzna już miał nacisnąć klamkę, gdy drzwi gwałtownie się otworzyły i z wnętrza wyszła potężna, zwalista baba. Miała co najmniej dwa metry wzrostu i sto pięćdziesiąt kilo wagi. Znaczna część tej masy stanowiły mięśnie. Kobieta niosła jednego z pijaczków; trzymała go jak szczeniaka za pasek od spodni. Stanawszy na schodkach, wykonała energiczny wymach. Niesiony, zawirował w powietrzu i zaskowycząwszy, runął prosto w kałużę błota.

Koledzy, spoczywający przed sklepem, wybuchnęli śmiechem. W tej wiosce najwyraźniej niewymuszona wesołość była normalnym stanem ducha... Babsztyl otrzepał ręce i splunął w ślad za wyrzuconym.

Obrocila się na piecie i wtedy zobaczyła przybysza.

-A ty tu czego? - warknęła.

-Szukam soltysa - powiedział.

Kobieta obrzuciła go miazdzącym spojrzeniem.

-Ja jestem soltysem - powiedziała ponuro. - Jeśli przysłał cię syndyk, to lepiej spierdalać pokis cały...

Na dźwięk słowa "syndyk" tubylcy pośpiesznie dopili pryte i zaczęli kruszyć butelki na tulipany.

-Magister Paweł Kowalski - przedstawił się przybysz.

-Jestem nauczycielem biologii. Mam założyć tu filię szkoły podstawowej...

Baba odrobine złagodniała.

-Malgorzata Piacha - przedstawiła się - znaczy dzieciaczki chcesz uczyć... Kurde, było pismo coś dwa tygodnie temu - poskrobała się po głowie, aż posypał się lupież.

Pogrzebała w kieszeni i wydobyła zmiętą kopertę z urzędowym nadrukiem. Ze środka wyjęła wydruk komputerowy.

-M - i - n - i - s - t - e - r - s - t - w - o E - d - u - k - a - c - j - i - przesyłabizowała z trudem.
- Aha, tak myślałam, że to o tobie...Zapraszam do biura.

Weszli do sklepu. Spod lady wydobyła wytłuszczony zeszyt i otworzyła go gdzieś pod koniec.

-Dzieciaków w wieku szkolnym jest około dwudziestu, może dwudziestu pięciu - powiedziała, sylabizując zatarte zapiski - może trochę mniej lub więcej.

-Nie wiecie? - zdumiał się.

-A kto by to zliczył - wzruszyła ramionami. - Mnożą się jak wszy. We gminie pewnie mają dokładny wykaz, bo były rejestrowane, jak się rodziły, żeby zasiłki dostać - wyjaśniła - a tak to nawet rodzice pewnie się nie doliczą, ile tego się płaci. Zresztą, mamy ważniejsze sprawy - mruknęła. - Lokal na szkole chceta?

-Właśnie - przytaknął. - Gmina obiecała mi tu służbowe mieszkanie.

Baba popatrzyła na niego zaskoczona.

-A to się nawet i da załatwić - fuknęła. - Chodźta.

Wyjęła z kieszeni peki kluczy na drucie. Poszli między baraki. Otworzyła zasniedziały zamek jednego. Korytarz na przestrzał, pokoje po obu stronach. Budowniczo socjalizmu zaadaptowali twórczo zasady konstrukcji dworskich czworaków...

-A, o - otworzyła drzwi - Jest mieszkanie.

Ciasny pokój, podłoga z płyty wiorowej pomalowanej olejną farbą. Obluczona miska i wiszący nad nią kran. Poobijane drzwi z dykty prowadziły do małej kuchni. W kacie piecyk typu koza z rurą wychodzącą przez ścianę na zewnątrz. Łóżko z desek, stolik i dwa krzesła.

-Na, tu możecie mieszkać - powiedziała - a na szkole to będzie dobry magazyn chyba...

Na końcu budynku znajdowała się spora sala. Sufit pokrywały tu i owdzie zacieki, podłoga stanowiła betonowa wylewka. Okna wychodziły na główny plac przed sklepem. Były w nich nawet szyby. W kacie powiewało się kilka szkolnych ławek, a na ścianie wisiała tablica.

-Tu była kiedyś szkoła? - zdziwił się.

-A gdzie tam. Kursy dla analfabek...no dla niepiśmiennych robione, ale to jeszcze w pięćdziesiątych latach.

-Trzeba by tu uprzątnąć - mruknął, patrząc po katach. - A to za dwie flaszki pryty można kogoś nająć - doradziła.

Nauczyciel pociagnal nosem. W powietrzu unosiła się silna won myszy.

-Wesolo - mruknal.

Rozpakował się, wkrecił w drzwi nowy zamek - jakos nie dowierzał pani sołtys. Zasłal lozko kocem i spiworem. Teraz trzeba było zwiedzić osadę...

Wyszedł przed budynek i przybił koło drzwi tablicę z napisem "Szkoła". Kilko brudnych i obdartych dzieci obserwowało go ze zgrozą.

-No, skonczyły się wakacje - wycedził - wszyscy w naszym kraju mają obowiązek chodzić do szkoły...

Jakis dzieciak splunal i wszystkie zarechotały ponuro. No coż, będzie widac problem... Ruszył spokojnym krokiem przez wieś. Tubylcy odprowadzali go znudzonymi spojrzeniami. Wyszedł na ledwie widoczna ścieżkę prowadząca przez zarosnięte pola w stronę lasu. Wyjął sztabówkę i przez chwilę ją oglądał. Kilkanastę metrow w lewo, za niewielkim zagajnikiem, powinien znajdować się jeden z tajemniczych kraterów.

Przeciał łan zielska. Pomiedzy drzewami poniewierały się różne smieci. Wyszedł po drugiej stronie zagajnika. Z bliska okazało się, że krater ma, co najmniej, dwadzieścia metrow średnicy. Był lekko elipsoidalny.

-Meteoryt? - zdziwił się.

W pobliżu Poznania, w rezerwacie Morasko, widział krater meteoritowy. Były niezwykle podobne. Na okolicznych polach kolekcjonerzy i geolodzy parokrotnie znajdowali bryły kosmicznego żelaza...A gdyby tak...

-Cztery złote za gram - szepnął do siebie.

Czy to możliwe? Czy ta piaszczysta ziemia mogła kryć skarby? Ruszył brzegiem leja, uważnie patrzac pod nogi. Może trzeba pojechać do Warszawy pożyczyc od znajomych archeologów wykrywacz metali i przeczesac okolice...Gdyby tak znaleźć kilka kilogramów...Jak ci Niemcy, którzy pod Moraskiem natrafili na bryle wazaca prawie dwadzieścia kilo...

Kawalek rudego, zardzewiałego metalu tkwił w ścianie krateru, tuż nad wodą. Ryzykując stoczenie się w błoto, zszedł i wyrwał go z piachu.

-Cholera - mruknal rozczarowany.

Trzymał w ręce kawałek żelaza, odlamek oderwany wybuchem od korpusu pocisku rakietowego. Wdrapał się na wierzch wału. Jakis staruszek pedził ścieżką dwie dychawiczne kozy.

-Co, nauczyciel? - zagadnal - Historie okolicy badamy?

Kiwnal glowa na potwierdzenie.

-Co to za dziury? - zapytal.

-A to musi z siedemdziesiątego roku jak Ruski robili próby...Pamiętam jak dziś, nocka spokojna była, wyplata dwa dni wcześniej, tośmy jeszcze wszystkiego nie przepili. Siedzimy w stodole przy flaszkiach, a tu jak nie pizdnie. Pierdut. Belki na głowe leca, Osucha to na miejscu ubilo. A potem lup, lup, i tak dwanaście razy...Chalupy rozniosło, potem nam te baraki postawili. Elewator z ziarnem przewrocil sie, dyrektora wolge zgniotl na placek...A to Ruski walili raketami, tylko troche nie trafili...Hy. A jaki dyrektor miał problem w centrali, żeby sie wytłumaczyć, bo ten poligon to ściśle tajny był, to nawet nasi wojskowe nie bardzo wiedzieli, że oni tu siedzą...A myto milczec mieliśmy, papiery podpisałim...A tam do lasu pojedzie - zmienil temat - na uroczysko. Tam to historyczna pamiątka stoi. Złe miejsce, ale wy miastowi nie wierzycie...- machnal rekaw nieokreślonym kierunku i podreptal z kozami.

Paweł ruszył w stronę lasu. Po drodze minal jeszcze dwa kraterzy. W pobliżu jednego lezal wciąż jeszcze statecznik rakiety. Wiatr toczył po niebie ciężkie chmury. Była może szesnasta.

Drzewa rosły chaotycznie, ale dość szybko odkrył pomiędzy nimi wąską ścieżkę. Pomiedzy pniami znalazł prawdziwkę, ale nie miał siatki. Postanowil wrócić tu następnego dnia. Rozwinal raz jeszcze sztabówkę. Uroczysko było na niej zaznaczone. Przyspieszył kroku i po kilku minutach dotarł na polanę.

Krag ułożony z kilkunastotonowych głazów miał może czterdzieści metrów średnicy.

-A niech mnie - mrukнал.

Trzy, częściowo obrabione bloki stały posrodku, tworząc trylit - charakterystyczny dla konstrukcji megalitycznych.

Obok czerniały ślady ogniska. Obszedł krag wokolo. Przysiadł na jednym z głazów. Bolała go głowa, pewnie od świeżego powietrza. Przeciagnal sie. Był głodny. Wracając, nazbierał dobre trzy kilogramy grzybow. Ciekawe, dlaczego tubylcy nie interesowali się nimi.

-Mark - kapłanka stanęła w drzwiach jego pokoju. Podniósł się z fotela.

-Czym mogę służyć? - zapytal.

-Zbliża się czas - powiedziała. - Chyba pora wezwac naszych.

Sklonil z szacunkiem głowę.

-Na kiedy wyznaczyc im termin przybycia? - zapytal.

-Za tydzien. Bedziemy mieli dzieki temu jeszcze kilka dni na przygotowania.

Przeciagnela sie kuszaco.

-Dzis wieczorem zamierzam zazyc troche seksu - powiedziala - wpadnij po kolacji.

-Tak jest - ponownie sklonil glowe.

Punkt dwunasty kontraktu jasno precyzowal jego obowiazki takze w tej dziedzinie.

Jakub siedzial w swojej chalupie i kompletowal wyposazenie.

Moze pojade z toba - zaofiarowal sie Semen.

Egzorcysta zamyslil sie na chwile.

-Mozesz zginac - powiedzial wreszcie powaznie.

-E tam. Przezylem dwie wojny swiatowe, pomagalem ci z upiorami, to mialbym sie bac...no wlasnie, czego?

Egzorcysta milczal dluzsza chwile. Wreszcie jakby sie obudzil. Jego twarz stracila normalny glupkowaty wyraz. Oczy nie przypominaly juz porcelanowych kulek. Zgarbiona sylwetka wyprostowala sie. Niezwykle rzadko porzucal kamuflaz.

-Byla taka banda - powiedzial powoli - nazywali sie magami z Thule. I faktycznie zajmowali sie magia...Zygfryd byl ich przywodca...Mieszkal na Pomorzu, na tych ziemiach, gdzie przed wojna siedzieli Niemcy. Byl doradca cesarza Wilhelma i Adolfa...Jesli dobrze kapuje, to on popchnal ich do wojny...A zatem to przez tego - tu rzucil bardzo niecenzuralny wyraz - mielismy dwie wojny, o ktorych wspomniales.

-O karwia - zaklal Semen.

-To nie wszystko. Pamietasz, jak zaciagnalem sie do wojska?

Stary kozak kiwnal glowa. Czterdziesty czwarty rok...On tez chcial do armii, ale uznali go za niepewnego politycznie...Jakos ludowe wojsko polskie nie kochalo bialo - gwardyjskich oficerow. A potem jeszcze ganiali go ci frajerzy z NKWD...Jakuba tez wzieni tylko dlatego, ze zatail kilka faktow...No i dlugo z nim nie wytrzymali.

-A wiec poszedlem na Wal Pomorski - kontynuowal egzorcysta - tam walczyliśmy u boku Ruskich. Wiedzialem, gdzie jest majatek barona, wiec z moim oddzialem wpadlismy tam z wizyta. Wszystko bylo zniszczone, chlopaki z Armii Czerwonej byli tam pierwsi. Czarownika ubili, lezal w ogrodzie.

-Czyli problem rozwiązany - ucieszył się Semen. Jego przyjaciel pokręcił przecząco głową.

-Zygfryd zginął, ale jego ciało...Ruscy wyprzedzili nas o jakieś trzy dni. Przez ten czas leżał pod gołym niebem i się zmumifikował...Wrzuciliśmy go do grobowca i wysadziliśmy budynek w powietrze, żeby dobrze go zasypało...Ale jeśli ktoś wie jak, to może go ożywić...

-Ożywić mumie? - zdumiał się Semen.

-Łatwe to nie jest, ale da się. Ktoś przy tym majstruje, skoro wszyscy wieją...

-Jadę z tobą - powiedział twardo starzec. - Skoro Ruscy go ubili to i my jesteśmy w stanie. A tak swoją drogą, to dlaczego nie zlikwidowałeś tej mumii wtedy?

-Dusza czarownika uwieczona jest w jego ciele - powiedział niechętnie egzorcysta. - Nie ma ciała, dusza się uwalnia. A wtedy może być naprawdę źle...

-To znaczy?

-Może się wcielić - sprecyzował.

Wpuszczając w szew spodni nową linę hamulcową z pętlą. Posrebrzony bagnet od kalasznikowa wsunął do skorzanej pochwy. Ściągnął z nóg gumofilce i odkleił skarpetki od stop. Założył nowe, grubsze, z dobrej bawełny. Naciągnął wysokie, czarne oficerki zabrane kiedyś esesmanowi. Bagnet wpuścił w cholewy buta. Włożył koszulę i sweter, w którego splocie kryło się siedem, specjalnych węzłów. Na zakończenie powiesił sobie pod lewą pachą gliniarską kaburę z pistoletem. W jednej kieszeni kurtki umieścił manierkę z bimbrem, a w drugiej identyczna z wodą świeconą.

Przejrzał się w lustrze. Przygasił blask oczu.

-Umiesz prowadzić samochód? - zapytał Semena.

-Tak.

Przeszli do szopy. W kacie, od nie wiadomo jak dawna, leżała wielka kupa zetłalej słomy. Gliniarze parokrotnie grzebali w niej, szukając bimbrowa i instalacji, ale nigdy nie chcieli im się przeryć jej do dna. Obaj starcy złapali za widły i odwalili stos na bok. Ukazała się duża kłapa w podłodze. Unieśli ją lewarkiem. W suchym dole, pod spodem, stał samochód. Opancerzona "czajka", niegdyś własność wojewodzkiego sekretarza partii z Lublina.

-Fiu - gwizdnął Semen - niezły wózek.

-Silnik od ruskiego traktora, pancierz ze stalowej blachy - pochwalili się Jakub - kuloodporne szyby...Kola z lanej gumy. Maszyna nie do zderzenia. I nie do rozwalenia. Można w nią walić czołgiem i nic...

Otworzył tylne drzwi i wywalił kościotrupa w resztkach garnituru na podłogę szopy.

-Potem się zakopie - mruknął.

Kluczyki tkwiły w stacyjce. Semen usiadł za kierownicą i przekrecił je. Spod maski dobiegł głęboki bas dwunastocylindrowego silnika.

-Rozpedza się do jakichś siedemdziesięciu kilometrów na godzinę - powiedział Jakub - ale wtedy to już trzeba uważać, bo przy siedmiu tonach wagi można nie wyhamować w razie czego...

-Siedem ton? - mruknął Semen - przy tak mocnej konstrukcji i takiej szybkości to w razie czego w ogóle nie musimy hamować. Przecież takie uderzenie zwali z drogi każdy pojazd...Dokąd jedziemy?

-Na razie na Kolobrzeg - Jakub rzucił torbę z wyposażeniem na tylne siedzenie i usiadł koło kumpla.

Zapieli grube, parciane pasy. Kozak wcisnął pedał gazu i pojazd z rykiem silnika wyjechał z

nory. Cos zatrzeszczalo i egzorcysta pomyslal, ze chyba przejechali po kosciotrupie wojewodzkiego sekretarza. Ale nie przejal sie tym specjalnie. Pozamiata jak wroci. A jesli nie wroci, to i tak nie bedzie to mialo wiekszego znaczenia.

W sali lekcyjnej zebrali sie wszyscy rodzice. Kilku usilowalo stawic opor, ale pani soltys Piacha przemowila im do rozumu. Siedzieli teraz, masujac podbite oczy lub trzymajac sie za zlamane nosy. Krew kapala na beton znaczac go czerwonymi plamkami.

-Witam panstwa - odezwal sie Kowalski stojacy kolo tablicy.

Jeden z mezczyzn zarechotal ponuro. Piacha walnela go po lbie styliskiem od lopaty i zamilkl.

-Celem naszego zebrania jest sprawa uruchomienia we wsi szkoly podstawowej.

Ludzie popatrzili na niego bezmyslnie. Takie spojrzenie widywal u krow swojego dziadka. Odchrzaknal.

-Z tego co wiem, wiele dzieci z waszej wsi nie realizowalo obowiazku szkolnego.

Inny mezczyzna rozesmial sie glosno i tez oberwal kijem.

-Jak panstwu zapewne wiadomo, kazde dziecko, ktore ukonczy siodmy rok zycia, zobowiazane jest uczeszczac do szkoly.

-Jest pan pewien? - zdziwila sie jakas kobieta w dziurawym swetrze z akrylu. - My o tym nie slyszeli, no nie?

Rozejrzala sie po sali. Wszyscy w zadumie skrobali sie po glowach.

-No nie slyszeli - powiedzial facet w zjedzonej przez mole marynarce. - Tu szkoly nigdy ni bylo, tylko kursy obslugi traktora w pegeerze.

-Nie chodzili panstwo do szkoly? - zdumial sie.

-Ni - potwierdzila baba. - A komu ta szkola potrzebna? Czytac na kursach nas uczyli, a liczyc pieniomdze to kazdy umi.

-Hy, hy, hy, hy - rozesmialo sie kilku mezczyzn. Nauczyciel policzyl powoli do dziesieciu.

-No dobra - powiedzial - niewazne. Jutro zaczynam lekcje z waszymi dziecmi. Kazali mi uruchomic szkole, to szkola bedzie.

-A po co? - zdziwil sie ktos. Soltys pogrozila mu kijem.

-Ty sie Czarek w ogole nie odzywaj - warknela - szkola jest po to, zeby dzieciaki potem

robote na czarno w miescie zalapaly. I zeby wam podania do pomocy społecznej pisaly.

-A, to trzeba bylo tak od razu - ucieszyla sie baba w swetrze. - No to szkola, w takim razie, jest potrzebna. Nawet trudno, niech bedzie obowiazkowa...

-A te lekcje to w jakich godzinach? - zaciekawil sie spotkany wczoraj staruszek od koz.

-Od osmej rano do trzynastej - wyjasnil nauczyciel.

-Wstawac tak wczesnie? - zdziwil sie ktos. - To niezgodne z prawami czlowieka.

-Uch, ty durniu, nie ty, tylko twoje dzieciaki - syknela Piacha. - A ty lez w wyrku do poludnia...O, i pozytek bedzie, jak sie bedzie ta twoja szostka za lby wodzic, to nie w domu, a w szkole, to nawet cie nie obudza...

-Cholera - mruknal z uznaniem - to mnie sie podobuje! A kosztowac nie bedzie? - zapytal chytrze.

-Za szkole placi panstwo - wyjasnil Kowalski. - Uzywane podreczniki dala wam opieka społeczna. Musicie kupic dzieciom zeszyty i dlugopisy.

Ludzie popatrzyli po sobie zaskoczeni.

-A nie lepiej olowki? - zapytal ktos - Taniej bedzie.

-Ty sie Malinowski nie wtracaj - huknela pani soltys - nauczyciel powiedzial dlugopisy, to maja byc dlugopisy.

-Hy, hy, hy - rozesmial sie ktos, ale zdzielila go kijem przez plecy.

-Na tym chyba zakonczymy zebranie - powiedzial nauczyciel zmeczony.

Wszyscy wyszli. Zostala tylko Piacha.

-No, niezle poszlo - powiedziala. - A dzieciaki krotko trza bedzie trzymac. Jak sie który odezwie bez pytania, po lbie walic jak starych...

-Poradze sobie - mruknal. - W palacu nie ma zadnych dzieci? Nie widzialem nikogo stamtad.

Splunela na ziemie.

-Nie, tam nie ma - powiedziala - Tam tylko taka blondynka mieszka i jeden facet. Ale oni nie sa stad, cudzoziemce. Tylko co jakis czas do sklepu wpadaja. Krzywo im z oczu patrzy - dodala...

-Macie ładny krag w lesie - zmienil temat.

-Ze co? - zdziwila sie.

-Krag. Kamienie ustawione w kolo.

-A, to na uroczysku? Zle miejsce - mruknela ponuro - diabelskie. Czaszki tam znajdowali po wojnie. No, ludzkie - dodala dla wyjasnienia. - Pogany tam musi ludzi zarzynali. Lepiej tam nie lazic. A szafki oszklonej nie potrzeba?

Uniosl brwi ze zdziwieniem.

-Oszklone szafki? Na pewno by sie przydaly na pomoce naukowe, ksiazki - powiedzial. - Skad mozna wziac?

-A tam, za lasem, w ruskiej bazie byly - wyjasnila.

-Widzialam, jak Ruskie wyjechali, to smy lazili na miejsce, ale tam tez zle. Straszno tak. Sam pojdzie i zobaczy - zasugerowala.

-Moze to i dobry pomysl - usmiechnal sie. - Jak tam dojsc?

-A sciezka przez zasieki, a potem przez pole minowe. To jeszcze Ruskie wydeptali w latach osiemdziesiatych jak przychodzili po wino. Bo to oni pieniadze nasze mieli. A i dziouchy ze wsi troche zarobily, tylko jak sie takie dwa skosnookie urodzily to mezowie w studni potopili i sie skonczylo.

Wyszedl ze szkoly. Dzień byl pogodny, byly pegeer w pelnym blasku slonca wygladal o wiele mniej ponuro. Wprawdzie wszedzie straszily popekane betonowe plyty, kawalki zardzewialej siatki i bloto, ale walace sie baraki wydaly sie mu naraz prawie ladne. Zardzewialy traktor zaryty w ziemie mogl byc fajnym tematem do kolorowej fotografii.

Sciezka na poligon zaczynala sie zaraz za wsia.

-Nich uwaza - zawolala za nim kobieta - Krok w boki pierdut, tam wszedzie min ponakladali.

Po chwili wszedl pomiedzy drzewa. Jeszcze kilkadziesiat krokow i pojawil sie plot z rdzewiejacego drutu kolczastego. Co kilkadziesiat metrow wisialy na nim czerwone tablice ostrzegawcze.

-Wnimanije opasnaja zona - odcyfrowal luszczone literki.

Maszerowal rownym, spokojnym krokiem. Sciezka byla dobrze widoczna, nie grozilo mu, ze zboczy. Przeszedl przez dwie linie zasiekow.

-Musialo tu byc cos waznego - mruknal.

Zaglebil sie w sosnowy mlodnik. Drzewka siegaly mu do ramion, wyrosly zapewne juz po opuszczeniu bazy. Przechylona na bok wiezyczka straznicza z pociemnialych belek grozila zawaleniem. Jeszcze jedna linia zasiekow. Sadzac po izolatorach, plynal nimi kiedys prad.

Nauczyciel stanal na niewysokim pagorku i zdumiony patrzyl przed siebie. W dolinie lezalo nieduze miasteczko. Sadzac po czerwonych dachowkach pokrywajacych zapadajace sie dachy i po czerwonych ceglanych murach, zbudowali je Niemcy. Caly teren pociety byl zasiekami. W dawnych obejsiach trzymano najwyrazniej wiezniow. Na skraju wsi staly dwie wiezyczki straznicze. Rozwinal sztabowke, ale widac na niej bylo w tym miejscu wylacznie las. Zaklal cicho. Jasna sprawa. Tego, co naprawde tajne, nie umieszczano...Zszedl na dol, pomiedzy domy. Dedukujac z wielkosci samosiejek sosen, od co najmniej dziesieciu, moze pietnastu lat, to miejsce bylo opuszczone. Co dzialo sie tu przedtem? Jednostka byla radziecka, kogo trzymano w tym obozie? Moze trzeba zawiadomic IPN? Postanowil podpytac mieszkancow wsi. Na razie kroczył przed siebie, kierujac sie w strone nieco okazalszego budynku na koncu osady.

-Niezle pali to bydle - mruknal Semen, klepiac maske "czajki". Stali na stacji benzynowej. Jakub konczyl tankowac.

-No, troche pali - przyznal. - Ze czterdziesti litrow na sto kilometrow...Masz lepszy pomysl?

-Sprzedac do muzeum i kupic fiacika - zasugerowal kozak.

-Jasne - warknal Jakub. - A jak ci z muzeum zapytaja, skad to mam, to co im odpowiem? Ze aniolki z nieba przyniosly? Choc z drugiej strony moze sie juz przedawnilo? - zadumal sie.

-A, niewazne - westchnal Semen. - Siadaj, jedziemy dalej.

Zaplacili za paliwo i ruszyli. Mineli Warszawe i pedzili teraz szosa na polnoc. Egzorcysta pogwizdywal wesolo. Semen uruchomil wbudowane w tablice rozdzielcza stare, lampowe radio. Dzwiek byl jednak fatalny.

-Ech, dbali kiedys o estetyke wyrobow - Wedrowycz poklepal tapicerke. Byla czerwona i zdobily ja male sierpy i mloty haftowane zlota nicią. Dodali jeszcze gazu. Pojazdem lekko trzeslo.

Nieoczekiwanie, na poboczu drogi, wyrosł radiowoz. Obok niego stal gliniarz. Na widok zabytkowego pojazdu machnal lizakiem.

-O cholera - mruknal Semen.

Zatrzymali sie. Faktycznie, przy tej szybkości wyhamowanie nie bylo latwe.

-Dzien dobry - zasalutowal policjant. - Prawo jazdy, papiery wozu...

Semen lypnal rozpaczliwie na Jakuba. Ten spokojnie wyjal ze skrytki dowod rejestracyjny z 1949 roku i podal policjantowi.

-A prawo jazdy? - gliniarz rzucil podejrzliwie okiem w dokument.

Semen z westchnieniem wyjal z portfela prawo jazdy wydane jeszcze przed druga wojna swiatowa. Policjant wpatrywal sie w papiery nieco zaskoczony.

-Samochod panow nie ma aktualnych badan technicznych - powiedzial surowo.

-Ale panie wladzo - zaprotestowal kozak. - Mysmy go w ogole nie uzywali od czasu ostatniej kontroli.

-A pan nie wie, ze prawo jazdy trzeba bylo nostryfikowac? - huknal.

-Kiedy ja przez ostanie szescdziesiat lat nie siedzialem za kierownica...

Gliniarz gwizdnal przez zeby.

-No to bedzie mandacik...A tak swoja droga, to wasz samochod?

Obaj podroznicy popatrzyli po siebie.

-Kradziony - wyjasnil Jakub. - Ale to bylo tak dawno, ze juz sie przedawnilo.

Tymczasem drugi policjant otworzyl bagaznik.

-Tu jest kosciotrup - zameldowal

Cholera, zapomnialem wypakowac kierowce - pomyslal egzorcysta.

-To panski szkielet? - pierwszy policjant zwrocil sie do Semena.

-Nie, ja mam tylko jeden, ten w srodku - oswiadczyl z godnoscia staruszek, klepiac sie po piersi. Policjant wyciagnal radiotelefon...

Pawel Kowalski zatrzymal sie na skraju wsi. Odechcialo mu sie wycieczki, ale poczucie obowiazku pchalo go dalej...Budynek na skraju wsi wygladal ponuro. Wyrwane drzwi spoczywaly opodal. Wszedl do mrocznego korytarza. Sufit byl okopcony, jakby gdzies w glebi szalal pozar. Po obu stronach znajdowaly sie niewielkie pomieszczenia, najwyrazniej biurowe. Faktycznie, w kilku staly szafy typu bibliotecznego. Oprozniono je w szalenczym pospiechu, o czym swiadczily szeroko otwarte drzwi i wyciagniete na podloge szuflady. Wiekszosc mebli, stojac przez kilkanascie lat w nie ogrzewanym pomieszczeniu, zawilgla i spaczyla sie, ale lepsze takie niz zadne. W nieduzej sali, na koncu korytarza czernial wielki stos spalonych papierow. Ksiazki, skoroszyty, jakies maszynopisy, wszystko strawione ogniem...Wydobyl kawalek zweglonej okladki. Zdolal odcyfrowac dwie litery zapisane

gotykiem. A wiec niemiecka ksiazka? Ciekawe...

Wyszedl z budynku i wtedy na wzgorku, za miasteczkiem, dostrzegl kolejny krag kamieni. Prowadzila do niego popekana asfaltowka. Na ciezkich glazach ustawionych tu przed czterema tysiacami lat odkryl charakterystyczne slady po kulach. Ktos tu strzelal? Po co, do kogo? Pochylil sie i spomiedzy kep lichej trawy podniosl zasniezdziala, mosiezna blaszke. Gotyckie literki byly nadal czytelne.

-Ahenerbe - odczytal.

Cos mu to mowilo. Zrobil jeszcze kilka fotografii. Postal przez chwile, a potem ruszyl w droge powrotna.

Na skraju wsi spotkal Piache.

-I jak sie udala wycieczka? - zapytala.

-Tam jest radziecki oboz - powiedzial, wskazujac kierunek, z ktorego przyszedl. - Trzeba zawiadomic Instytut Pamieci Narodowej

Pokrecila przeczaco glowa.

-Dam wam dobra rade - powiedziala ostro. - Lepiej tego nie tykac. Byl tu juz taki jeden, co sie tym interesowal i ktos mu glowe upitolil...To paskudne sprawy i dzis jeszcze mozna za to oberwac. Zwlaszcza, ze rzadza nami ci, ktorzy kumple o tym wiedzieli - sciszyla glos.

-Ale co tam sie dzialo? - Nie pytaj.

Poszla. Pokrecil w zamysleniu glowa. Nie zamierzal jej sluchac.

-Kurde - powiedzial w zadumie Jakub.

-Milczec! - huknal wachman.

Egzorcysta i kozak szli ceglany korytarzem aresztu sledczego w Kolobrzegu. Prowadzil ich ponury straznik. Obaj starcy niesli sorty poscielowe.

-My tu w pierdlu zgnijemy, a tam pewnie mumia ozywa - zauwazyl Semen.

-Zamknij sie - ryknal konwojent.

Egzorcysta filozoficznie splunal pod nogi. Zatrzymali sie pod drzwiami celi. Straznik przekrecil klucz w drzwiach i wpuscil ich do srodka. Weszli. Trzej osadzeni dresiarze spojrzeli na nowo przybylych ponurym wzrokiem. Najbardziej zwalisty podniosl sie z miejsca.

-Wy***** - tu rzucił kilka bardzo niecenzuralnych słów - wyskakiwać**** z kasy i szlugów.

-Czego on chce? - nie rozumiał Semen.

-Zaprzagnął wejść w posiadanie naszych papierosów i pieniędzy - wyjaśnił mu Jakub.

-Cholera, co za brak szacunku dla starszych - zmartwił się kozak.

-Spierdalaj ty*** bo jak cie*** w*** to*****, a jak to nie pomoże, to*****! - powiedział egzorcysta do dresiarza.

-Kurcze - mruknął sam do siebie jego przyjaciel - osiemdziesiąt lat żyje w Polsce, a jeszcze takich wyrazów nie słyszałem.

Dresiarz zamachnął się potężnie. Jakub złapał go za nadlatującą pięść i ścisnął lekko. Viagra czyni cuda. Nawet wtarta w skórę...Krew i tkanka bryznęły aż na sufit. Wylał rękę o podłogę. Jego wrogiem wpatrywał się w dłoń, z której zostało coś w rodzaju kotleta mielonego, a potem zawył.

Dwaj pozostali dresiarze rzucili się na winowajcę. Wedrowicz wykonał unik i stuknął ich łysymi łbami. Coś chrupnęło.

-Cholera! Jakże to teraz czaszki słabe...- mruknął, patrząc na walające się u jego stóp zwłoki.

-Nieźle krzepa - zauważył Semen. - Musimy kiedyś spróbować się na ręce. Musiałeś ich zabijać?

-A komu tacy potrzebni? - wzruszył ramionami.

Dresiarz ze zmiądzoną ręką zemdlał. Egzorcysta zalomotał pięścią w drzwi.

-Czego? - burknął wachman z drugiej strony.

-Był wypadek...

Dwaj strażnicy otworzyli cele i przez chwilę patrzyli zdumieni na trzy ciała leżące na podłodze. A nie wyglądały one ładnie...

-Co tu się stało? - jęknął jeden z nich.

-Ci dwaj rzucili się na siebie i rozwalili sobie nawzajem głowy - wyjaśnił egzorcysta. - Ten trzeci próbował ich rozdzielić i chyba zmiądzził mu rękę.. Przepraszamy, ale nie mogliśmy temu zapobiec...Ja mam osiemdziesiąt lat, a mój przyjaciel ponad sto...Nie nam starcom wtracać się do zabaw młodzieży...

Straznik zwymiotował. Ciała oraz nieprzytomnego szybko uprzatnieto. Obaj starszowie siedli na zwolnionych pryczach.

-Trzeba stad zwiac - mruknal Jakub. - Masz jakis pomysl?

Semen poskrobal sie po glowie.

-Kraty w oknach solidne - powiedzial. - Moze wykopiemy podkop?

Na pierwszej lekcji, o dziwo, byl komplet. Dzieciaki byly w roznym wieku, najmlodsze powinny uczeszczac do pierwszej klasy, najstarsze do szostej. Siedzialy w lawkach sztywno, jakby polkneli kije. Ich oczy wodzily za nauczycielem spojrzeniem pozbawionym calkowicie inteligencji.

-Zanim zaczniemy poznawac historie naszego kraju, zastanowcie sie przez chwile nad dziejami najblizszej okolicy - powiedzial lagodnie.

-Co to sa dzieje? - zdziwila sie rudowlosa dziewczynka.

-Przeszlosc naszej wsi - powiedzial lagodnie. - Co tu sie dzialo dawniej.

-Dawniej tu byl raj na ziemi, czyli pegeer - powiedzial jeden chlopiec. - Dawali pieniadze.

-I ludzie nie musieli pracowac, a i tak byly wyplaty - dodal drugi. - Zjedzenie im dawali za darmo.

A pegeerem rzadzil dyrektor i on byl najwazniejszym facetem w okolicy - dodala inna dziewczynka, na oko dziesiecioletnia. - A jak mu ktos podpadl, to mu zabieral premie...

-I naokolo siali zboze na polach i kombajnem je zbierali - dodal jeszcze ktos. - A jak kto chcial zalozyc rodzine, to dostawal mieszkanie.

-Dobrze - kiwnal glowa. - A kto wie, co tu bylo jeszcze wczesniej?

Popatrzyli po sobie zaskoczeni.

-Wczesniej? - ktos sie zdziwil.

-A ja wiem - wyrwal sie jakis blondynek. - Wojna byla, w lesie resztki czolgu jeszcze stoja...Za uroczyskiem.

-A ty tam nie laz - upominal go ktorys - Wiesz, ze to zle miejsce...

-Dobrze - nauczyciel kiwnal glowa. - Byla wojna. A co bylo przed wojna?

Popatrzyli na niego zaskoczeni.

-Przed wojna bylo sredniowiecze - powiedzial wreszcie ktorys niepewnie. - W palacu byl hrabia i chlopi odrabiali panszczyzne...A potem przyszedl Lenin i hrabiego zabil.

-Glupis, Hitler przyszedl a nie Lenin - zawolala dziewczynka z warkoczykami. - I nie zabil, tylko wojne razem robili, a nasi dziadkowie wtedy to gdzie indziej mieszkali, bo tu wsi nie bylo...

-Dobrze - ucial dyskusje. - Uporzadkujmy sobie pewne fakty...Wiecie, co znajduje sie na uroczysku.

Pokiwali ponuro glowami, a jeden splunal na podloge.

-Poganska balwochwalnia - powiedziala ruda dziewczynka. - Ludzi tam zarzynali. A tam, gdzie ruska baza, to jeszcze jedna byla...Ale tam nie mozna chodzic, bo to zle miejsce.

-A trzecia byla za wioska, przed palacem - powiedzial chlopiec. - Tylko ja rozwalili, bo jak trojkat nie jest zamkniety, to nic nam nie grozi...

-A co mogloby wam grozic? - zdumial sie nauczyciel.

Popatrzyli po sobie, ale nikt sie nie odezwal. Zadzwonil budzik zastepujacy szkolny dzwonek.

-Dobra - wstal, - na dzisiaj koniec. Jutro na osma. Przyniescie ksiazki do matematyki.

Poderwali sie i po chwili klasa byla pusta.

-Trzeci kamienny krag - mruknal. - Ciekawe.

Do celi wszedl klawisz z tekturowym pudlem w rece.

-No, bandziory, jest dla was paczka.

-Od kogo? - zdziwil sie Jakub

-Co w niej jest? - zaciekawil sie kozak.

-Troche zarcia - wyjasnil klawisz.

Zostawil paczke i poszedl sobie. Egzorcysta odpakowal jaz papieru i zajrzal ciekawie do srodka.

-Ekstra! - krzyknal. - Chleb, sernik, flaszka czegos mocniejszego, sloik miodu i batoniki.

-E, to bedzie uczta...nie ma adresu nadawcy?

-Niestety - westchnal. - Nie wiemy, komu podziękować...Jakub porwał kawał sernika, a jego kumpel balonik czekoladowy. Obaj ugryzli jednocześnie.

-Cholera! - zaklął Wedrowycz. - Ktos tu wsadził pilnik! Malo zeba nie złamałem!

Jego współbiednik wypluł na podłogę odgryziony przed chwilą kawałek batonika.

-To jest zupełnie gorzkie w smaku i cuchnie jak gdyby kwasem. Muszę popić - Dodał wyciągając z paczki butelkę.

Odkorkował i powachał.

-Jakby olejem zajęzda - powiedział zaskoczony.

-Sadzę, że to nitrogliceryna - mruknął jego towarzysz. - A to gorzkie, to po prostu laska dynamitu w polewie czekoladowej.

-A to ciasto to plastik? - zapytał zgryźliwie kozak.

-Ciasto jest prawdziwe, ale jak już się zdążyłem przekonać, nackane pilnikami.

-To co będzie w chlebie?

-Drabinka sznurowa oczywiście. Ktos chce nam ułatwić ucieczkę...

Semen rozerwał chleb jednym ruchem i niedowierzająco popatrzył na drabinke z nylonowych sznurków, która opadła na ziemię.

-O choroba - powiedział cicho. - Sto lat żyje i dotąd sądziłem, że te opowieści o ucieczkach z więzienia to tylko tak dla jajec...

Jakub wzruszył ramionami i wyjął z paczki czekoladę. Na wewnętrznej stronie etykiety narysowany był dokładny plan budynku, w trzewiach którego byli uwięzieni.

-No to do dzieła.

Razno zabrali się za pilowanie krat. Robota szła im szybko. Do obiadu wypilowali połowę pretów. Po obiedzie przesłuchiowano ich, przez co stracili masę czasu. Nadrobili to wieczorkiem. Około trzeciej nad ranem krata została przepilowana. Przyczepili drabinke linową i za jej pomocą spuścili się na ziemię. Znaleźli się pomiędzy budynkiem, a murem, na wąskiej ścieżce, która chodziły warty.

-Ostatnia przeszkoda przed nami - powiedział egzorcysta, patrząc na mur

Jego kompan zabrał się za obdlubywanie czekolady z dynamitu. Oddlubane kawałki pakował sobie do ust. Lubił słodczyce. Syknał lont i po chwili aresztem śledczym wstrzasnęła

eksplozja. W murze powstała dziura. Nie była specjalnie okazała, ale przeskoczyli przez nią zrecznie. Na uliczce stał samochód, zdezelowany duży fiat. Wskoczyli na tylne siedzenie i pojazd ruszył. Za nimi pozostało wiezienie ze swoimi wyjacymi syrenami, reflektorami i bandami klawiszy biegającymi jak mowki, którym ktoś wdepnął w mrowisko.

-Dziękujemy za uwolnienie - Jakub zwrócił się do człowieka w arabskim burnusie siedzącego za kierownicą.

-Nie dziękujcie, nie jesteście wolni - mrok skrył twarz kierowcy, ale akcent wskazywał, że pochodzi z Arabii Saudyjskiej. Obaj przyjaciele spojrzeli po sobie zaskoczeni.

-Banda neandertalczyków - mruknął zrezygnowany Paweł.

Po raz pierwszy, od czasu gdy został nauczycielem, poczuł tak cholerne zniechecenie. Dzieciaki były po prostu nieprawdopodobnie tepe.

-A zatem ziemia krąży dookoła słońca - podjął wykład. Ruda dziewczynka podniosła rękę.

-Panie nauczycielu, a jakie to ma znaczenie, czy kręcimy się dookoła słońca czy dookoła księżycy? - zapytała. - Przecież i tak nic się nie zmienia...

Zatkło go. Uświadomił sobie z przerażeniem, że nie potrafi tego wyjaśnić. No bo i faktycznie, wiedza dookoła czego krąży nasz glob w tej pegeerowskiej wsi była tylko zbędnym balastem dla umysłów...

-Kupa ludzi, na przykład Giordano Bruno, została spalona na stosach tylko dlatego, że usiłowali udowodnić te teorie...Rozumiecie, cwoki, ludzie poświęcali swoje życie, żebyście mogli się uczyć prawdy o ruchach planet. A wam to zwisa - zakończył z bólem w głosie.

-Hy, hy, hy, a to frajerzy - powiedział jeden z chłopców. Cała klasa ryknęła śmiechem. Już wcześniej zauważył, że cudze nieszczęścia sprawiają tym ludziom kupe radości.

-Koniec na dzisiaj - powiedział. - Wóń do domów.

Dzieciarnia wybiegła, radosnie tupiąc na korytarzu. Paweł poskladał swoje szpargaly i też wyszedł przed budynek. Dzień był ładny, nie chciało mu się siedzieć w dusznym baraku, więc ruszył się przejść. Nogi jakby same zniosły go ścieżką przez pola, na uroczysko. Nieoczekiwanie zatrzymał się między drzewami. W kamiennym kregu ktoś był. Ich spojrzenia spotkały się.

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem. Przybysz ubrany był w szarą kurtkę, w dłoni trzymał sondę geologiczną.

-Mam pewnie przyjemność z miejscowym nauczycielem - zagadnął pierwszy.

-Owszem. Pawel Kowalski.

-Tomasz Olszakowski, archeolog - przedstawił się nieznajomy.

-Jak pan poznał, że jestem nauczycielem? - zaciekawil sie.

-Po okularach - wyjasnil naukowiec. - Tu w okolicy sie ich nie nosi...tubylcy uwazaja noszenie szkieł za hanbe, chyba wieksza niz umiejetnosc czytania i pisania - usmiechnal sie z przekasem.

-Widze, że zaciekawil pana ten zabytek.

-Wlasnie - mruknal Olszakowski. - Cholernie ciekawa rzecz. Nie sadzilem, że w naszym kraju mozna natknac sie na tak ladne zabytki megalityczne...

-Mamy przeciez kamienne kregi - zdziwil sie Kowalski - W Wesiorach, Odrach i Grzybowcu...

-A - machnal lekcewazaco dlonia - Smiechu warte. Tamte postawili Goci na poczatku naszej ery. Na dziesiatki sie tego w Skandynawii liczy. A to jest konkret. Leza tu, co najmniej piec tysiecy lat...

-Wie pan, że jest jeszcze jeden?

-Tak, na ruskim poligonie - archeolog wyciagnal z torby fotografie lotnicza. Polozył ja na plaskim szczycie jednego z glazow trylitu. - Trzeci mial byc podobno za palacem.

-A owszem, dzieciaki wspominaly - przypominal sobie Kowalski.

-Jesli polaczymy je liniami - przyložyl linijke i pociagnal dlugopisem kreski - to, jak pan widzi, powstanie trojkat rownoboczny. I to wykreslony z dokladnoscia do kilkunastu metrow.

-Faktycznie - zdumial sie nauczyciel.

-Niestety, ci z palacu nikogo nie chca puscic za brame - warknal archeolog. - Ale napisalem donos do wojewodzkiego konserwatora zabytkow, w ktorym domagam sie wykonania inspekcji. Nie chcieli po dobroci wpuscic, bedzie trzeba wejsc sila...

-Wie pan cos na temat tego ruskiego obozu? - zaciekawil sie.

Aha. Tyle, co nic, na dobra sprawe. Wies wysiedlono jeszcze w 38 roku. Przejal ja instytut Ahenerbe.

-Co to bylo? - zdziwil sie Kowalski, jednoczesnie wyjmujac z kieszeni znaleziona blaszke. - Lezala w tym wiekszym kregu - wyjasnil.

Archeolog obejrzał ją zainteresowaniem i oddał właścicielowi.

-Ahenerbe to był instytut Himlera. Zajmowali się ezoteryką, wywoływaniem duchów, szukali śladów kosmitów, gromadzili relacje z procesów o czary i w ogóle robili nieziemskie szopki. A kreślił tym facet z tego palacu, graf Zygfryd von Hosenduft, osobisty astrolog i jasnowidz Hitlera.

-O choroba - gwizdnął przez zęby nauczyciel.

-Dupa wołowa, a nie jasnowidz - uśmiechnął się doktor Olszakowski - W każdym razie doradzał wodzowi i widac, jakie efekty to doradzanie przyniosło...Rusczyli tam jednostkę rakietową i chyba kompanie karna, sadząc po tych zasiekach między domkami. A może trzymali jakichś swoich naukowców pod drutami, żeby im nie zwiali. Cholera wie. Tak czy siak asfaltowka, która dociągnęła do kamiennego kregu, jest ich...Może urządzali tam pikniki ruskiej generalicji? Taki megalityczny zabytek można wykorzystywać na wiele sposobów...

Uśmiechnęli się obaj.

-Będzie tu na dniach robił wykop sondazowy - powiedział archeolog. - Tak się chce trochę wgryźć w głęb ziemi. Proszę zachodzić, zawsze miło pogadać z kims inteligentnym...

Samochód pedził wąską szosą. Reflektory łowiły dziurawy asfalt i rosnące na poboczach drzewa.

-Dokąd jedziemy? - zaciekawiał się Jakub,

-Bez komentarza - powiedział kierowca. - Niedługo będziemy na miejscu, tam wam wszystko wyjaśnia.

Faktycznie, niebawem pojazd wjechał pomiędzy baraki niedużej popegeerowskiej wsi. Wyszli z pojazdu. I rozejrzeli się ciekawie. Po prawdzie, w ciemnościach nie było wiele widac. Gdzieś daleko słychać było porykiwanie krow.

-Witamy w Chlewiskach - powiedział głos w ciemności. - Panie Jakubie, jesteśmy zaszczytni, że udało nam się pana porwać...Zapraszamy na małą imprezę z okazji pńskiego przybycia...Oczywiście pński towarzysz - postać skłoniła się przed Semenem - także jest mile widziany.

Po skrzypiących, drewnianych schodkach weszli do jednego z baraków. Spora sala zastawiona była stolami. Pomieszczenie oświetlało kilkanaście lamp naftowych. Na stołach piętrzyły się stosy pieczonej wołowiny, pomiędzy nimi stały flaszki z białym denaturatem. Egzorcysta nie lubił tego akurat trunku, no ale głupio było odmawiać...Zasiedli na honorowych miejscach u szczytu stołu i zaczęła się uczta.

Mark odłożył kilof i przez dłuższą chwilę wybierał pokruszone cegły z otworu. Odkładał je na

bok. - I jak to wygląda? Kaplanka stanęła na pryzmie ziemi.

-Chyba faktycznie to to miejsce - powiedział w zadumie. - Spory ten pagorek, teraz trafiłem na resztki sklepienia...

-Na pewno ten - wyjęła z kieszeni złożony kilka razy plan posiadłości. - Mały budynek to kaplica grobowa von Hosenduftów.

Otarł pot z czoła i ponownie zaczął kuc. Cegły ustąpiły, jego oczom ukazał się niewielki, czarny otwór. Kaplanka podała mu latarkę. Zaszwielił do środka.

-Krypta wypełniona częściowo gruzem - zameldował.

-Świetnie. Poszerz dziurę, zeskoczysz na dół i będziesz mi podawał cegły - zadysponowała.

-Zniszczy sobie pani ręce - zaprotestował.

-Weźmę rękawice - ruszyła w stronę palacu.

Po niebie sunęły ciężkie, jesienne chmury. Nieliczne drzewa, pozostałe z wyciętego dawno pałacowego parku, gubiły liście. Wymarzony dzień na nielegalne poszukiwania archeologiczne...Mark ujął łopate i odrzucił dalej pryzmę wydobytej z dziury ziemi. Odsłonił równą płaszczyznę muru. Ściana zawałona wybuchem, może płaski strop. Kując kilofem, wylamywał kolejne cegły. Z otworu wiało wilgocią. Dziewczyna wróciła.

-Mokro tam - powiedział. - Nie wiem, czy mumia mogła się zachować...

-O to się nie boj. To nie jest zwykła mumia - uśmiechnęła się do swoich myśli.

Jakub Wedrowycz obudził się na kacu gigancie...Leb bolał go, jakby ktoś wbił w niego gwoździ. Obok na pryczy spał Semen. On także wyglądał na nieco wykonczonego nocna impreza...

-Gdzie my, kurde, jesteśmy? - zastanowił się egzorcysta.

A potem podszedł do okna. Kilka baraków, obory, wokół pola obsiane lucerna i ściana lasu. Stary kozak też się obudził. Zniósł balangę lepiej niż egzorcysta.

-Cholera - powiedział. - Nie trza było tyle pic.

W tym momencie drzwi otworzyły się i stanął w nich, wysoki na co najmniej dwa metry, brodaty mężczyzna. Miał może szesćdziesiąt lat. Jego twarz wydawała się im znajoma. Jakby z telewizji albo z gazet...

-Osama bin Laden - przedstawił się.

Jakub zamknął oczy i policzył powolotku do dziesięciu. Gdy je otworzył, Arab nadal stał w tym samym miejscu, więc chyba nie było to delirium.

-Ten bin Laden? - zainteresował się. Ostatecznie niejednemu psu burek.

-Oczywiście - gość dobrze mówił po polsku. - Miło mi powitać panów w Chlewiskach.

Jakub dzwignął się z łózka. Kac powoli mijal.

-To pan nas wyciągnął z pudła? - zaciekawił się...

-Nie da się ukryć - gospodarz uśmiechnął się lekko. - Jest mi pan potrzebny, panie Jakubie.

-A do czego tak konkretnie?

-Wprawdzie alkohol to wynalazek szatana, ale potrzebujemy go do naszych prac i na wynagrodzenie dla robotników. Chciałbym, aby uruchomił pan tu gorzelnie. Na razie potrzebujemy około stu litrów dziennie. Do odkazania - dodał tytułem wyjaśnienia. - Śniadanie zaraz zostanie podane.

Wyszedł.

-Kurde - powiedział stary kozak - A tośmy się wkopali.

-W życiu bym nie przypuszczał, że się facet u nas ukrywa - mruknął Jakub.

-No coż - westchnął Semen - skoro nie złapali go w Afganistanie, to gdzieś musi być. Więc dlaczego nie tutaj?

Za oknem widac było Arabów w burnusach i gablijach. Snuli się po terenie, niektórzy mieli kalasze. Pomiedzy barakami dreptali także byli kolchoznicy w drelichach i kufajkach. Na dachu jednego z magazynów umieszczono polksiezyc.

-Tam pewnie mają meczet - wydedukował Jakub.

-Kurcze, Lepper mówił, że w Polsce jest robiony węglik w jakiejś wiosce...Zdaje się powiedział Klewiska...

-A my jesteśmy w Chlewiskach - przypomniał Wedrowycz - To znaczy, że dobrze mówił, tylko pomylił nazwę, albo ktoś wcześniej się pomylił i przez to nie znaleźli...Gorzej, że zbliża się pełnia księżycy, a my utknaliśmy na dobre...Bo nie sadzę, żeby nas łatwo wypuscili...

Krypta była stosunkowo niska, a za to bardzo długa. Gruz wypełniał ją do połowy wysokości. Kaplanka, posuwając się na czworaka, dotarła pod scianę. Reflektor w jej rece dobrze oświetlał wnętrze lochu.

-Gdzies tutaj - mruknela.

-Robota na lata - pokrecil glowa Mark. - Tu jest ze trzydziesti metrow szesciennych gruzu. Przypuszczam, ze sarkofagi stoja rzadem wzdluz tej sciany - wskazal - Ale aby odnalezc ten wlasciwy...

Prychnela z pogarda.

-Nie zapominaj, kim jestem - powiedziala z wyzszoscia. W jej dloni zablysl0 mosiezne wahadelko, ruszyla na kolanach, trzymajac je w wyciagnietej rece. Sluga swiecil reflektorkiem.

-Tutaj - wskazala miejsce.

Zlocisty stozek wirowal na sznurku jak zaczarowany.

-A zatem do dzieła - westchnal, ujmujac w dlon saperke. Godzine pozniej odczyscil solidne, granitowe wieko kamiennego sarkofagu.

-Wazy kilkaset kilo - ocenil fachowym spojrzeniem - jak podniesiemy?

-Lewarkiem, kretynie - prychnela kaplanka.

Sala byla nabita po brzegi. Kilkunastu bylych pegeerowcow z kobietami i dziecmi. Kilku talibow w gablijach...Jakub stanal za stolem. Ktos postawil mu karafke i szklanke. Odchrzaknal.

-Rozpoczynam niniejszym pierwszy kurs pedzenia bimbru w Chlewiskach. Uczestnicy otrzymaja certyfikaty honorowane przez miedzynarodowy cech bimbrownikow na terenie krajow UE i NAFTA.

Zebrani niesmialo zaklaskali.

-Na poczatek troche historii. Alkohol, dla jednych "woda zycia", dla innych "zbiorowe samobojstwo narodow", towarzyszy ludzkosci od milionow lat. Prawdopodobnie juz australopiteki obserwowaly jak slonie racza sie sfermentowanymi dyniami, a potem podochocone ruszaja demolowac puszcze. Po sfermentowane owoce siegaja takze malpy...

Ludziska popatrzyli po sobie zdumieni. Tyle lat pili alkohol, a nie wiedzieli, ze to tradycja siegajaca milionow lat wstecz...

-Alkohol w nieduzych dawkach dziala odprezajace, poprawia krazenie, uspokaja i rozwesela. W duzych dawkach wywoluje niechec do pracy, spadek sil fizycznych, uposledza prace mozgu, wreszcie prowadzi do degradacji osobowosci i smierci. Jego

stosowanie, jak każda rozrywka, wymaga odrobiny zdrowego rozsądku - powiedział surowo Jakub.

-Hy, to kiedy to się zaczęło tak nie owocami, tylko w płynie? - zainteresował się któryś.

-W starożytnym Egipcie i Sumerze produkowano jęczmienne piwo. Prawdopodobnie warzono je już około trzytysięcznego roku przed naszą erą...

-O kuzwa - zaklął ktoś z uznaniem. Uciszyli go syknięciami.

-Ze sfermentowanych winogron wyciskano pierwsze wina. Potem nauczono się zaprawiać soki drożdżami. W IX wieku naszej ery Arabowie opanowali technikę destylacji, czyli uzyskiwania alkoholu w wysokich stężeniach.

Talibowie, usłyszawszy, że o nich mówi, uśmiechnęli się szeroko. Białe żeby błysnęły w ogorzałych twarzach.

-Za odkrywcę destylacji, a zarazem spirytusu, uchodzi alchemik Gerber żyjący na terenie Polwyspu Arabskiego. Chciał uzyskać złoto, a tymczasem odkrył coś znacznie cenniejszego - Jakub uśmiechnął się do swoich myśli.

-A u nas? Znaczący, kiedy zaczęli się Polacy zaprawiać? - zaintrygował się któryś z mężczyzn.

Jego nos miał piękny, fioletowy kolor...

-Kiedy wódka dotarła do Polski - dokładnie nie wiadomo. Jak się przypuszcza, nasi dziadkowie w czasach, powiedzmy, Mieszka Pierwszego znali już alkohol w wysokich stężeniach. Alkohol jest bardzo odporny na zamarzanie. Należy zatem wystawić zacier na kilka godzin na mroź, następnie powstałą, lodową kaskę wycisnąć starannie i operację powtórzyć. Woda zamarza w temperaturze 0°C, alkohol pozostaje płynny znacznie dłużej... Wiadomo, strat się nie uniknie, ale po trzech, czterech operacjach uzyskać można bardzo mocną gorzałkę. Będzie to oczywiście wyjątkowo zanieczyszczony, podły w smaku bimber. W dodatku może on mieć paskudny kolor i zapach. Jeśli jednak zrobimy zacier z miodu, uzyskamy w ten sposób sycony miód pitny - tak popularny niegdyś w naszych karczmach.

Przerwał na chwilę wykład. Wszyscy pilnie notowali jego słowa. Na twarzach ludzi malowało się uniesienie. Nigdy nie podejrzewali, że chłanie wody sięga początków naszej państwowości...

-Destylacja dotarła do nas wraz z zakonnikami, którzy przeszczepili na nasze ziemie szlachetną sztukę produkcji leczniczych wodek ziołowych. Szybko okazało się, że w zasadzie zioła są zbędnym dodatkiem...

Sala ryknęła śmiechem. Talibowie nie zrozumieli, ale też wyszczerzyli żeby.

-Prawo propinacji alkoholu otrzymała, jako jeden z przywilejów, polska szlachta. Dzierżyła je godnie przez co najmniej pół tysiąca lat...Niestety, w 1863 roku, po przegranej powstaniu, zaborcy zdecydowali się przeprowadzić bezprecedensowy zamach na wolność gospodarczą naszych przodków. Wprowadzono państwowy monopol spirytusowy. Po kolejnych odzyskiwaniach niepodległości w latach 1918, 1944 i 1989 żaden rząd nie zdecydował się oddać narodowi jego praw...Warto tu dodać, że zysk "władzy" (akcyza + vat) na każdej butelce, wynosi ponad 70% jej ceny detalicznej.

Ludziska jęknęli ze zgrozy.

-To dlatego woda jest taka droga! - wrzasnął któryś.

-Podle zdzierstwo - krzyknął drugi. - Nasz kumpel Osama zrobi z tym porządek...

-Nie chce was martwić, ale on chyba jest przeciwnikiem picia alkoholu - mruknął Semen. - Religia mu zabrania.

Ludzie popatrzyli po sobie zaskoczeni. Naraz któryś palnął się w głowę.

-I co z tego? Niech nie pije, jak nie chce. Nie będziemy go zmuszali. Dla nas więcej zostanie...

Sala uspokoiła się powoli. Egzorcysta bimbrownik mógł podjąć wykład.

-Jak powszechnie wiadomo, technika produkcji bimbrowa jest banalnie prosta. Należy zgromadzić ziarno, słód, melasę, wyciski z buraków, kartofle, stare powidła, zleżałe owoce, landrynki lub temu podobne słodkości. W ostateczności można użyć też cukru. To wszystko rozmacza - my w wodzie, robiąc jakby kompot. Do tego wrzucamy drożdże...Po kilku dniach zjedza cukier, wydalą alkohol i same od niego polegają, gdy stężenie roztworu przekroczy 10%...W razie rewizji można tłumaczyć, że wyprodukowało się wino. A ze z cukru? Dlaczego by nie? 10% w zasadzie wystarczy, żeby się tym zdrowo narabac. Zrobienie wyższego stężenia jest już trudniejsze...

-Zaraz - ocknął się ktoś - Mówiłeś, że to szlachta mogła robić wodę.. To chłopom nie wolno było?

-Ano nie - powiedział Jakub. - Ale na szczęście sejm 1918 roku zniósł tytuły szlacheckie, więc z tego wnioskuje, że gdyby nie państwo, to każdy by teraz mógł...Prawo picia bimbrowa jest prawem człowieka.

Rozległy się burzliwe oklaski.

-A zatem przejdźmy do pokazu praktycznego.

Na znak Jakuba dwaj asystenci wtoczyli do sali kocioł, wnieśli kuchenkę elektryczną i

chłodnice. Egzorcysta zrecznie polaczył to wszystko gumowymi rurkami i przystąpił do prezentacji. Osama osobiscie w dwu wiadrach przyniósł daktyłowy zacier...

-A więc, drogie dzieci, Adam Mickiewicz był wielkim polskim poetą.

Dzieci popatrzyły na nauczyciela zainteresowane.

-Co to jest poeta? - zapytał chłopiec, na oko szadzac, dziesięcioletni.

-Taki facet, który pisze wiersze - wyjaśnił cierpliwie nauczyciel. Jego najważniejszym dziełem była epopeja pod tytułem "Pan Tadeusz". - Trzydziestu paru oczu patrzyło z obojętnością na porcelanowe kule. - "Pan Tadeusz" to najważniejsze dzieło w historii polskiej literatury.

Teraz dobrze trafił. Na kilku twarzach pojawiło się słodkie zainteresowanie.

-Przeczytam początek..."Litwo ojczyzna moja..."

-Zaraz, zaraz - zdenerwował się trzynastoletni dryblas. - Co pan przed chwilą mówił, że on był Polakiem, a teraz pisze "Litwo ojczyzna moja"?

-Co to jest ojczyzna? - zapytał jakiś siedmiolatek.

-To kraj, który musimy oczyszczać z Żydów - powiedział jego starszy kolega. - To znaczy ta okolica, w której mieszkamy. Ojczyzna to takie miejsce, gdzie się nie wpuszcza obcych, zwłaszcza kolorowych - błysnął erudycja. Kuzyn mi powiedział. On jest skinheadem. To taki legion ludzi, którzy walczą w obronie swojego kraju. A najniebezpieczniejsi są tacy właśnie, co udają Polaków, a potem wypisują, że ich ojczyzna jest Litwa. Napisze do kuzyna, to pomoca tego Mickiewicza bejsbolem.

Kowalski poczuł przyływ zwątpienia. W kuratorium kazali mu przygotować te dzieciaki do egzaminów kończących podstawówkę. Teraz zrozumiał, że podjął się pracy kompletnie syzyfowej...

-Na dzisiaj starczy - powiedział zniechęcony. - Wron do domów.

Zamknął szkołę i powędrował na uroczysko. Była dopiero dziesiąta rano, ale nie miał siły pracować.

-Rzuce w diabły to zajęcie, niech się ktoś inny uzera - powiedział sam do siebie.

Olszakowski już pracował w kregu. Wbił cztery paliki, naciągnął sznurek i teraz usuwał darn saperka.

-A, witam pana nauczyciela - powiedział.

-Dzien dobry. I jak poszukiwania?

-W tym miejscu cos piszczy, co chwila - wskazal gestem wykrywacz metali lezacy opodal. - Sadze, ze cos tu sie znajdzie. Poza tym moze beda wegale drzewne - to sie wezmie do analizy...

Mial naszykowanych kilka specjalnych, wyjalowionych sloiczkow. Pawel uklakl nad odslonietym kawalkiem.

-Moze pomoze? Archeolog podal mu gracke.

-Zacznij delikatnie odczyszczac - zademonstrowal - Uwazaj na kazdy smiec...

Zaczeli skrobac piach. Po chwili pojawily sie pierwsze rdzawe plamki. Guziki od mundurów ozdobione hitlerowskim orlem.

-Choroba - mruknal archeolog.

Pare minut pozniej trafili na rozgieta klamre od pasa ozdobiona napisem "Gott mit uns". Obok duzych guzikow z orlem, coraz liczniej pojawialy sie mniejsze, blaszane, z trzema dziurkami.

-A to od czego? - zdziwil sie nauczyciel.

-Od kalesonow. Kurcze, co tu sie dzialo?

-Moze zwalili sorty mundurów na kupe, material szlag trafil, a guziki w ziemi zostaly? - zasugerowal.

Doktor badal klamre.

-Jest rozgieta - powiedzial. - Sadze raczej, ze ci tutaj po prostu zdzierali z siebie ubrania, az guziki lecialy na wszystkie strony. Innymi slowy hitlerowcy robili sobie tu jakas impreze...Zapewne orgie, skoro sie rozbierali...Trzeba bedzie pogrzebac w drugim kregu. Ciekawe, czytam tez natrafimy na podobne ciekawostki...

-Ahenerbe - mruknal nauczyciel. - Moze odtwarzali jakies rytualy tych megalitowcow?

-To bardzo prawdopodobne...

Pod piachem zarysowaly sie odlamki szkla. Bylo ich coraz wiecej. Na kawalku butelki widac bylo jeszcze slady etykiety.

-A wiec zaprawiali sie gdanska woda, a potem zdzierali z siebie ubrania...To chyba nie byl bezpieczny seks...- zauwazyl filozoficznie archeolog, podnoszac z ziemi wystrzelona luske z parabelki.

Jakub stal na skraju poteznej jamy wyrytej w ziemi przez koparke. W dole lezaly zdechle krowy.

-Ciekawe - mruknal sam do siebie. Sciezka nadszedl Osama.

-Witaj - powiedzial. - Jak tam poszly wykłady?

-Dziekuje, dobrze - mruknal egzorcysta. - A tak swoja droga, to co wy tu kombinujecie?

-Probujemy skrzyzowac chorobe szalonych krow z waglikiem. Chodzi nam o to, by uzyskac bojowy srodek biologiczny o nowych, fantastycznych wlasciwosciach. A potem naladujemy nim samolot i gdzieś walniemy.

-To bardzo interesujace - przyznal Wedrowycz. - Ale na nas juz pora. I tak zabalaganilismy u was mase czasu.

Talib pokrecil glowa.

-Nie wypuscimy was - powiedzial.

-Nie to nie - Jakub nie widzial sensu w sprzeczce z fanatykiem.

Odwrocil sie i popatrzył na krowie scierwa. Bin Laden odszedl w strone obor.

Nieoczekiwanie w chlodnym, wieczornym powietrzu rozlegl sie ponury rechot. Na pewno nie pochodził z ludzkiego gardla. Chwile potem huknal pojedynczy wystrzal karabinowy i smiech umilkl.

-A wiec jednak w Polsce mamy juz chorobe szalonych krow - westchnal ze smutkiem egzorcysta.

Ruszył pomiedzy baraki. Semen siedzial na lawce i wpatrywal sie ponuro w widoczna za lakami sciane lasu.

-Nie chce nas puscic - poinformowal go kumpel. - Trzeba wiac.

-Ba, tylko jak? - zamyslil sie stary kozak. - Lazi ich tu cala kupa. I maja karabiny. Nie damy rady przebiec tej laki, ustrzela nas...A ja juz kiedys w Mandzurii bieglem pod ostrzalem i teraz mam uraz psychiczny...

-Trzeba bedzie odwrocic ich uwage - mruknal egzorcysta.

-Ale jak?

-Cos sie wymysli...- gdyby Osama zobaczyl wyraz jego twarzy, pewnie natychmiast by ich uwolnil.

W oczach Jakuba zabłysło coś tak strasznego, że Semen poczuł ssanie w żołądku. Zmierzchało. Jakub stanął na brzegu jamy. Krowa leżała wewnątrz, co najmniej kilkadziesiąt.

-Mergele, nefey, koxa, alut - szeptał zaklecia.

Przez ciało jednej z krow przebiegł dreszcz. Martwe oczy otworzyły się powoli. Spłoszone muchy mięsne uciekły. Krowa powoli stanęła na dwóch nogach. Uśmiechnęła się martwym pyskiem i zachichotała. Jakub też się do niej uśmiechnął. Kolejne powoli podnosiły się z grobu. Ruszył w stronę szopy, w której pracowała pierwsza, prowizoryczna na razie, instalacja bimbrownicza. Pegeerowcy, jak widać, podpieli się do końca linii technologicznej, bowiem podłoga pomieszczenia zasłana była pochrapującymi ciałami. Egzorcysta wrócił do baraku. Semen siedział i studiował Koran.

-Zbierajmy się pomalutku - powiedział Wedrowycz.

-A Talibowie?

-Zaraz beda mieli inne kłopoty - uśmiechnął się złośliwie.

W zapadającym zmroku rozległ się upiorny śmiech zdechłej krowy, a po chwili kolejny i jeszcze następny. Martwe zwierzęta wylazły z jamy i teraz maszerowały na zadnich nogach, śmiejąc się obrzydliwie.

-Cos ty zrobil? - zdumiał się Semen.

-Krowolaki. No, bydło - zombie - wyjaśnił egzorcysta. Jedna z krow kopniakiem wywalila drzwi do baraku, w którym siedzieli Talibowie. Patrolujący teren porzucili posterunki i teraz nadbiegali z bronią gotowa do strzału. Cisze wieczoru rozdarły pojedyncze wystrzały. Fanatycy błyskawicznie otrzasnęli się z zaskoczenia.

Osama też wyszedł z szopy. Niosł potężną, spalinową, drwalską pilę. Krowy maszerowały lawą, niszcząc wszystko na swojej drodze. Śmiech zagłuszał nawet huk wystrzałów.

-Ale impreza - westchnął Jakub, wyrrywając kumpla z poznawczego transu. - Ale na nas czas.

-Zaraz, zabiorę tylko parę przydatnych drobiazgów...Semen wybił łokciem szybę od dużego fiata. Wsiadł.

Odpalił silnik i omijając jedną z krow, wyrwał na szosę. Koran włożył do skrytki.

-Po co ci te szpargaly? - wzruszył ramionami Jakub., - Dostałem dedykacje od bin Ladena. Kiedyś może być cholernie dużo warta...

Po namyśle przyjaciel przyznał mu rację. Samochód pedził przez uspijony kraj, zbliżając się

powoli do celu podróży.

-Ciekawe, swoja droga, czy obecność Talibów w Polsce jest przypadkowa - mruknął egzorcysta.

-A sędzisz, że tak?

-Właśnie. Zygrfyd von Hosenduft powraca z martwych, a jednocześnie, jak na zawołanie, pod reka pojawia się człowiek, przez którego może dojść do trzeciej wojny światowej...Zaskakująca zbieżność.

-Może i nie byłoby głupio wywołać jakąś małą wojenkę - zastanowił się Semen. - Może by wreszcie cholera wzięła tych debili, którzy nami rządzą.

Jakub westchnął.

-Z tego, co pamiętam, największe katastrofy zawsze były wywołane tym, że ktoś chciał spowodować niewielką wojenkę.

-Wiesz, co jest najważniejsze w zawodzie archeologa? - zagadnął Olszakowski Kowalskiego.

-Nie mam pojęcia - nauczyciel pokręcił głową. - Ale pewnie przydaje się umiejętność machania łopata i odrobina zdrowego pomysłunku...

-Nie, w zawodzie archeologa najważniejsze są zdrowa wątroba i mocny łeb - wyjaśnił Olszakowski wyciągając z torby flachę zębówki.

-Jak się dobrze zagryzie, to i łeb nie musi być taki mocny - Paweł wyciągnął litr czeskiego rumu i peto kielbasy. - Zobaczmy, czy się nadaje na archeologa...

-Aha, ciekawie będzie - doktor wydobyl dwa obtłuczone kubki. - A i miejsce niezłe na balangę. Zawsze powtarzałem studentom, że cholernie ważne jest, aby zabytki funkcjonowały w świadomości społeczeństwa jako coś swojskiego. Na praktykach zawsze wybieraliśmy fajne miejsca, żeby się zbelić. Kurhany, średniowieczne krypty z kościotrupami, grodziska...Czemu nie kamienne kregi?

-To może rozpalmy ognisko jak ci esesmani - zaproponował Kowalski - To i kielbase sobie podpieczemy. Rozbierać się nie ma co, bo, cholera, kobitek nie mamy...A i zimno by było.

-O, i to jest właściwie podejście do zagadnienia...Chcesz, nauczę cię jednej archeologicznej piosenki biesiadnej...

Było już dobrze po północy, gdy Mark otworzył wreszcie sarkofag. Hrabia, a raczej to, co z niego zostało, leżał na dnie skrzyni. Sługa obejrzał mumie, przyswiecając sobie latarką.

-Nie wyglada mi to najlepiej - powiedzial.

Cialo wyschlo na wior, miesnie zwinely sie w postronki, skora ciasno opinala szkielet. Posrodku czola zmarlego widac bylo wielka dziure. Na jego twarzy nadal malowal sie wyraz zaskoczenia.

Kaplanka klepnela nosze.

-Ano, nie ma sie co zasiadywac - powiedziala. - Dawaj go tu i niesiemy do palacu.

Wyciagnal mumie z sarkofagu i polozyl ja na noszach.

-Ozywic to cos? - mruknal z powatpiewaniem. Kaplanka wyplula gume do zucia i wepchnela ja palcem do dziury w czaszce hrabiego.

-Nie takich rzeczy dokonywali magowie z Thule - powiedziala.

Osama bin Laden odlozyl kalasznikowa. Stos krowolakow oblanych benzyna plonal pomiedzy zabudowaniami Chlewisk.

-Co to bylo? - zapytal po polsku.

-To na pewno sprawka tego Wedrowycza - powiedzial stojacy obok niego tubylec. - Ostatecznie jest egzorcysta...

-To on umie robic takie rzeczy, a wy dopiero teraz mowicie? - syknal Arab. - To wy takiego fachowca meczylicie, zeby wam powiedzial jak sie robi bimber, zamiast go przeciagnac na nasza strone? W kazda z tych krow wpakowalismy po 300 - 400 pociskow, zanim udalo sie je unicestwic...A gdyby tak armia zombie? Ozywic wszystkich zmarlych na amerykanskich cmentarzach...USA przestaloby istniec.

-To skad bedziemy brali dolary? - zdziwil sie tubylec.

-Milcz. Musimy natychmiast zorganizowac poscig za tym calym Wedrowyczem! Jest nam potrzebny.

-Nie mamy czym go scigac. Zabrali jedyny samochod, a ciezarowka do przewozu krow jest zbyt powolna...- wyjasnil jeden z Talibow.

-Motocykl - zazadal szef. - Sam ich dogonie.

Chwile potem pedzil juz szosa na ciezkiej sportowej Hondzie. Nie ujechal daleko. Tuz przy zakrecie na glowna szose stal policyjny patrol z radarem. Widzac gliniarza machajacego lizakiem, skonsternowany terrorysta zatrzymal swoj pojazd. Funkcjonariusz podszedl do niego i zasalutowal.

-Dzien dobry, dokumenty i karta pojazdu - powiedzial.

-Co ty durniu telewizji nie ogladasz? - huknal na niego jezdziec. - Jestem Osama bin Laden.

-Jasne, doktorku, i moze jeszcze masz w kieszeni fiolke z waglikiem? - parsknal gliniarz.

-Mam - terrorysta wyciagnal probowke.

Drugi policjant podszedl od tyłu i walnal go porazaczem elektrycznym.

-Dzieki - mruknal pierwszy. - Kurde, coraz wiecej tych swirow...

-Niezle sie upodobnil do oryginalu - jego towarzysz wybieral na telefonie numer zakladu psychiatrycznego. - Zobacz, jaka brode wyhodowal...A pamietasz tego Napoleona, cosmy go ostatnio zlapali? Nawet po francusku gadal...

"Ten caly Wedrowycz" wraz ze swoim druhem znajdowali sie juz blisko piecdziesiat kilometrow od znanego terrorysty i jego kumpli.

-Tak swoja droga, to co nas czeka u celu? - zapytal Semen. - Wspomniales cos o instalacji.

Jakub otarl usta dlonia.

Tak - mruknal. - widzisz, jak Atlantyda zatonela, to sie z niej wyroila cala masa roznych popaprancow. Rozlezi sie po swiecie, no i oczywiscie kombinowali, jakby tu ich wyspe z powrotem wynurzyc. Wiec poustawiali tu i owdzie stacje mocy, znaczy zeby ladowac energie, a potem podciagac ludy w gore...No i cos takiego jest na Pomorzu. Trzy kamienne kregi postawione w trojkat i oltarz w srodku trojkata. To sie laduje energia przez cale stulecie. A jak sie naladuje, to mozna to rozladowac w jednym impulsie.

-I co sie wtedy stanie? - zaciekawil sie Semen.

-A cholera wie - egzorcysta wzruszyl ramionami. - Co tylko do lba strzeli. Miasto mozna zdmuchnac albo na przyklad wulkan zrobic...Jak poprzednio rozladowali, to byla druga wojna swiatowa.

-Sadzisz, ze jest naladowany?

-Owszem - kiwnal glowa. - Ale nie do konca. Jeden krag tosmy z chlopakami czolgiem rozwlekli, a oltarz wywiezismy do lasu i zakopalismy.

-To znaczy, ze nic im z tego nie wyjdzie?

-Przekonamy sie jutro.

Egzorcysta zamilkł. Im bardziej sie zblizali, tym mocniej czul przeplyw mocy. A wiec juz

niedlugo.

Kapłanka położyła mumie hrabiego na ołtarzu. - A teraz patrz, niedowiarku - warknęła na Marka.

Nacięła sobie nadgarstek i spuściła krople krwi na czoło mumii.

-Z krwi zrodzony, krwią się żywisz, przez krew powróć do świata żywych - szepnęła.

Mumia drgnęła. Ciało w ciągu kilku minut odzyskało pełnię życia. Zygryd von Hosenduft powrócił. Przeciągnął się, aż strzeliły mu stawy.

-Fiuuu - zagwizdał Mark.

Nic więcej nie zdołał powiedzieć, bo przebudzenie skoczyło na niego i złamałszy mu kark, wbił zęby w jego szyję. Po kilku minutach odrzucił bezwładny, wysuszony zwłok.

-Jestem kapłanka - powiedziała dziewczyna. - Reprezentuje zakon Thule.

-Bardzo mi miło - uściskał jej dłoń - Hrabia Zygryd von Hosenduft. Zechce mi pani towarzyszyć?

-Oczywiście, - uśmiechnęła się. - A gdy będzie po wszystkim, może zjemy trochę seksu?

-Z przyjemnością - uśmiechnął się.

Po sześćdziesięciu latach bycia mumia był nieco wyposzczony.

-Jak wygląda instalacja Atlantydy? - zagadnął. Spuściła głowę.

-Upłynęło wiele czasu - powiedziała pośpiesznie.

-Mamy koniec XX wieku. Krag koło pałacu wysadzono w powietrze. Zostało tylko kilka glazów.

-Krag akumuluje moc, jeśli jest ich 24 - mruknął.

-Sprawdziłam, są zupełnie martwe. Ten koło miasteczka naładował się ładnie.

-A najważniejszy, na uroczysku, w lesie? - zaciekawił się.

-Też działa. I jest naładowany jak diabeł - powiedziała z uśmiechem.

-Dobra. No to zrobimy sobie mały Armageddon

-usmiechnal sie. - Ale najpierw musze podladowac sie moca kregu, jesli chce troche pozyc...

-Kuzwa - zaklal Jakub.

-Cholera - zawtorowal mu Semen. - Ze tez wlasnie w tej chwili musialo skonczyc sie paliwo...

Kopnal ze zloscia bok ukradzionego Talibom duzego fiata.

-Daleko jestesmy? - zapytal stary kozak. Egzorcysta przymknal oczy.

-Czuje fluktuacje mocy - powiedzial. - Zygrfyd juz powrocil. Nie mozemy byc daleko. Najwyzej dwa, moze trzy kilometry. Przez las pojdziemy skrotem.

Obaj przyjaciele wkroczyli w gesty zagajnik. Juz po chwili okazalo sie, ze pomiedzy drzewami absolutnie nic nie widac. Zlapali sie za rece i trzymajac razem, ruszyli naprzod. Po dalszych kilkudziesieciu krokach Semen jeknal.

-Jakub, moze zawrocimy...Szosa przynajmniej nie zabladzimy.

Odwrocili sie, ale krawedzi puszczy juz nie bylo widac.

-Czekaj - mruknal egzorcysta. - Zamkne oczy i pozwole, by kierowaly mna moj e wizje.

Tak tez zrobili. Po mniej wiecej dwudziestu minutach wyszli wprost na kamienny krag. Nauczyciel z archeologiem ucztowali sobie w najlepsze.

-Te twoje wizje nakierowaly cie na flaszke, a nie na miejsce ozywiania hrabiego - syknal Semen.

Jakub rozejrzal sie wokolo.

-No, faktycznie - przyznal - Ale nie zapominaj, ze hrabia, zeby uzyc mocy, musi przyjsc do kregu. No to poczekamy tu na niego...I imprezka jest.

Olszakowski od dluzszej chwili wpatrywal sie ze zdumieniem w niespodziewanych gosci.

-To spotkanie prywatne - powiedzial. - Tylko dla kumpli...

-Sami i tak nie wychlamy tego wszystkiego - zमितygowal go nauczyciel.

-Ale my sie znamy - usmiechnal sie Jakub - to ty wygrzebales w Chelmie tego golenia.

-A niech mnie. To ty jestes tym starym pierdzielem, ktory mi zabytek rozpieprzyl na kawalki - ucieszyl sie archeolog. - Faktycznie, w takim razie siadajcie...

-Nie przyszliśmy z pustymi rękami - uspokoił go kozak.

Z torby wyjął dwie butelki talibanskiego bimbrowa z daktyli i kawał szalonej wołowiny. Impreza można było kontynuować.

-Wiecie, co jest najważniejsze w zawodzie egzorcysty? - zapytał Jakub, po któregoś z kolei kolejce.

-No, pewnie trzeba mieć dużo krzepy, żeby te osikowe kolki wbijać? - domyślił się nauczyciel.

-To też, ale najważniejsze są mocna głowa i zdrowa wątroba - Wedrowicz wychylił kubek jednym haustem.

Minęła północ. Cała czwórka miała już zdrowo w czubie.

-No to wchodzi do Jakuba na podwórko - ciągnął opowieść Semen - A on coś opieka na ognisku. Na różnie znaczy się...Ja go pytam: "Jakub, gdzie upolowałeś taką złotą wiewiórkę?", a on mi na to: "Powiedziało, że nazywa się Pikaczu"...

Ryknęli zdrowym i wesołym śmiechem.

-Kurde, tubylcy mówią, że to złe miejsce - powiedział nauczyciel - a ja na to leje. Jakże to może być złe miejsce, skoro jest tu woda, bimberek i nawet zagrycha na grillu...

Semen odciapał kolejny plaster szalonej krowy i nadziawszy na patyk, zatknął przy ogniu.

-Z nami nie zginiesz, mordeczko - zarechotał - wprowadźcie mam cztery lata więcej co ty, hyp...znaczy cztery lata więcej...ale, kurde, mam doświadczenie życiowe, a ono mi mówi, że dobra zagrycha, to podstawa...

-To jest złe miejsce - wyjaśnił nieco bełkotliwym głosem Jakub. - Ale żeby kuzwa było tak naprawdę złe, to by trzeba było wyzwolic moc energii Atlantydwów...

Kamienie, naładowane mocą, trochę świeciły. Nikomu to nie przeszkadzało.

-Atlantyda to bajka - powiedział archeolog z przekonaniem. - Kupa bredni do oglupiania frajerów. To zbudowali ludzie z kultury pucharów lejkowatych.

-A komu potrzebne puchary lejkowate? - zdziwił się Jakub, unosząc blaszany kubek z bimbrem. - Bimbrowa, bimbrowa, bimbrowa dajcie, a jak nie to spier...- zaintonował.

Zaklaskali, a ponieważ woleli zostać, dolali mu okowity.

-Jakub, a co zrobisz, jak tu przyjdzie ten Hosenduft? - zaintrygował się Semen.

Egzorcysta beknał.

-Gówno tam, wcale się go nie boje...

-Co się stało z Adolfem? - zainteresował się Hrabia.

Załóżł na siebie kurtkę i jeansy Marka, bo lachy, w których spędził 60 lat w sarkofagu, wyglądały nieco nie wyjściowo.

-Popelnił samobójstwo. Ruscy zabezpieczyli jego zwłoki i potem spalili. Zachowali tylko fragmenty szczęki. Myśle, że daloby się zdobyć kawalek.

Poskrobał się po głowie.

-Odtworzenie ciała z tak niewielkiego kawałka, w sytuacji, gdy nie dysponujemy pełną mocą kregów, będzie skrajnie trudne - powiedział.

-Nie potrzeba mocy - uśmiechnęła się. - Wystarczy go skłonić. Nauka poszła w międzyczasie trochę do przodu. Zresztą, chrzanmy Hitlera. Nie nadawał się do naszych planów. Na dłuższą metę był nieprzewidywalny. I tylko zaszkodził zakonowi Thule.

-A kto się nadaje? - zaniepokoił się.

Wyjęła opasy skoroszyt wycinków prasowych.

-Tu znajdziemy odpowiedniego kandydata - powiedziała. - A na razie chyba pora trochę namieszać...jedziemy do kregu?

-Zgoda - ruszył do wyjścia.

-A więc mówię tym debilom, studentom - Olszakowski snuł swoją opowieść - U nas obowiązuje zasada "jeden obiekt - jeden litr". Kto tego nie zrozumie, nigdy nie będzie prawdziwym archeologiem.

-Hy, hy, hy, hy, hy - zaśmiał się Kowalski.

-Wchodzę do tego McDonalda - Jakub tymczasem mówił o czymś zupełnie innym - i mówię do faceta za ladą: "Poproszę dwa dogburgery". A tamten zdziwił się, a potem, widząc, że ja jestem wtajemniczony, podaje dwa takie jak dla innych klientów. Podobno wolowina, ale gdzie tam. Ja rotweilera rozpoznam z zawiązanymi oczyma...Polejcie jeszcze.

Kowalski, który usłyszał koniec opowieści, odszedł na bok. Paw złożony z bimbrowa i wolowiny chlupnął pomiędzy glazy.

-Kurde - mruknął zawiedziony archeolog, patrząc na opróżnioną flaszkę. - Woda wyszła...

-A to nie problem - usmiechnal sie egzorcysta. - Ty w Atlantyde nie wierzysz? He, he. To zaraz niedowiarku zobaczysz. Woda to H₂OH?

-Nie, nie - zaprotestowal Olszakowski. - C₂H₅OH. To jest wzor etanolu.

-Czyli w powietrzu sa wszystkie skladniki? - upewnil sie egzorcysta.

-Jasne. A co?

-W tych kamulcach jest dosc mocy, by zrobic tysiac litrow wody. Wystarczy wyladowac i ukierunkowac moc...

-Nie pierdol - obrazil sie Tomasz. - Pal diabli, moze nawet istnieje magia. Czemu nie. Moze laza tu duchy megalitycznych szamanow, ale nie bredz, ze mozna tego uzyc do doraznych konkretnych celow.

-Mozna - syknal Jakub.

Stanal posrodku kregu, skrzyzowal dlonie na piersi i wyrzucil z siebie kilka tajemniczych wyrazow. Nad jego glowa pojawila sie banka. Wyszedel spod niej.

-Gotowe - powiedzial - piecset litrow etanolu. Semen wyciagnal z kieszeni rewolwer i wycelowal w powierzchnie balonu.

-Zeby sie napic, to trzeba dziurke zrobic - powiedzial i wystrzelil, zanim kumpel zdazyl go powstrzymac.

Kula rozprysla sie, na glowy lunela im chlodna fala spirytusu.

-Chodu - wrzasnal archeolog, podrywajac sie od ognia.

W ostatniej chwili odskoczyli. Napoj spadl na ziemie wodospadem. Fala runela w strone ogniska...Stali za glazami, podziwiajac dwudziestometrowy slup blekitnego ognia.

-Zwracam honor - powiedzial Olszakowski - Faktycznie, magia dziala...Tylko nastepnym razem zamow w butelkach...

Jakub popatrzył na zegarek.

-Trzecia nad ranem - powiedzial - Ty, Pawel, zdaje sie jestes tu nauczycielem.

-Aha.

-A w szkole mozna by sie przenocowac?

-Jasne, zapraszam...

-To może i ja skorzystam - mruknął Olszakowski,...bo jechac do miasteczka to trochę nie jestem w stanie.

Czterej kumple, obejmując się, ruszyli przez lany perzu w stronę wsi.

Zygfyrd von Hosenduft z kapłanka u ramienia weszli pomiędzy glazy kregu.

-A co tu się stało? - dziewczyna zaskoczona oświetliła ziemię pokrytą warstwą spalonej trawy.

-Pewnie przebiecie mocy zwegliło roślinność - powiedział.

-To bez znaczenia. Naturalny objaw, można powiedzieć...

Stanął pośrodku i wyciągnął dłonie do góry.

-Dziwne - powiedział - Zupełnie nie czuje mocy, a przecież jeszcze godzinę temu...

Kapłanka drepcząc wokół znalazła pękniętą flaszkę po wódce, a po chwili jeszcze jedną.

-Święty krąg został sprofanowany - jęknęła.

-Użyjemy drugiego - rozkazał.

Ruszyli lasem, omijając luką wiesz. Niebawem drogę zagroził im płot z drutu kolczastego. Dziewczyna wyjęła z kieszeni nożyce do blachy i utorowała drogę. Nieoczekiwanie zatrzymała się jak wryta.

-Co się stało? - zapytał hrabia.

-Miejscowi gadali, że gdzieś tu jest pole minowe

-mruknęła.

-Bajdy. Po tylu latach od wojny z pewnością wszystkie niewypały dawno są niegroźne - odparł i podjął marsz.

Malgorzata Piacha, licząca w swoim sklepie wieczorny utarg, usłyszała huk eksplozji, a po chwili drugi.

-Hy! - powiedziała. - Sarna musi na mine wlaźła. Jutro poszukamy...

Jakub obudził się pod szkolną ławką. Przez chwilę z przerażeniem zastanawiał się, czy przypadkiem nie powróciły czasy, gdy musiał uczeszczać do takich przybytków wiedzy, ale zaraz się uspokoił.

Co to było wczoraj? - poskrobał się po głowie.

Głowa bardzo go bolała. Wnętrznosci też. Nie należało mieszać daktylowego bimbrowa z zębami...

-Ty, wstawaj - powiedział do niego Semen siedzący na biurku. - Pochłaliśmy się w cztery dupy wczoraj, a przecież miałeś załatwić tego von Smrod - po - gaciach.

-Co? - Jakub na kacu wolno kojarzył.

-No Hosendufta - przypomniał kozak. - Gadales o mocy, potem spadł z nieba alkohol.

-A, faktycznie - pamięć wróciła.

Przymknął oczy. Nie wiedział, czy zielony ocean przed jego powiekami to efekt kaca, czy wszedł w trans. Nie miało to większego znaczenia.

-Hrabiego tu nie ma - powiedział. - Mocy też nie...

-Jak to? - zdziwił się Semen. - Wczoraj mówiłeś, że będzie trzecia wojna światowa, a teraz wykrecaś się sianem?...

-Wczoraj było wczoraj, a dzisiaj jest dzisiaj - Jakub zrezygnował z wyjaśnień - Widac się pomyliłem.

Przyłożył dłonie do skroni.

-A swoją drogą nie sądziłem, że ta moc Atlantydwów taka słaba - mruknął. - Szybko się zużyła...Ale fajnie, że zdaliśmy test i możemy być archeologami. Wracajmy do domu - zaproponował.

-O, i to jest głos rozsądku - ucieszył się jego przyjaciel.

Lekarz ciekawie zajrzał przez okienko w drzwiach separatu. Na pryczy siedział zgaszony, przygarbiony mężczyzna.

-A więc to wasz ptaszek?

-Owszem - uśmiechnął się ordynator. - Kompletny wariat. Twierdził, proszę sobie wyobrazić, że jest Osama bin Ladenem...Bardzo ciężki przypadek. Nie dość, że nauczył się arabskiego, to jeszcze wyhodował sobie brode i nawet się obrzezał.

-Cos podobnego - zdumiał się wizytator. - I co zrobiliście?

-Do terrorysty upodobniała go przede wszystkim broda. Zgoliłiśmy mu ją. I powiesiliśmy w celi lustro, żeby mógł się przyzwyczajać do swojego prawdziwego wyglądu.

Zastosowalismy silne srodki psychotropowe i elektrowstrzasy. Uzyskalismy znaczaca poprawe. Przestal twierdzic, ze jest Talibem, choc na razie nie przypomniał sobie jeszcze, kim jest.

-Ciekawe...

-A wygadywal kompletne brednie. Twierdzil, ze polska komorka Al-Quaidy produkowala w Chlewiskach waglik...

-Przez te cholerna telewizje tylko ludzie wariuja - mruknal wizytator. - W Kobierzynie, w Tworkach, wszedzie maja swirow, ktorzy twierdza, ze robili waglik...Jakie rokowania?

-Terapia bedzie kontynuowana. Chcemy na nim wyprobowac nowe, silniejsze psychotropy najnowszej generacji...Wprawdzie kosztuja nieziemsko i kasa chorych bedzie sarkala, ale my naprawde dbamy o pacjentow i staramy sie im pomoc. Ostateczna polisa na zycie

W Srodku Wojslawic sterczala w niebo malowniczo odrapana, pietrowa rudera. Rudera od strony ulicy posiadala sciane z pociemnialych desek, pozostale sciany zbudowane byly z cegiel. Deski wypaczyly sie, a tynk popekal. Dach leciutko sie zapadl, ale wygladal jeszcze calkiem solidnie. Drzwi i okna zabito na glucho. Wokolo ruiny ciagnely sie chaszczce lebiody, ostow i lopianu. Budynek ozdabial miasteczko jak grzyb sciane. A przeciez mialo byc zupelnie inaczej...

W zamierzchlej przeszlosci, gdy Wojslawice byly jeszcze miastem, radni miejscy wpadli na ambitny pomysl wzniesienia posrodku osady okazalego ratusza z wieza, ktory pomiescilby przy okazji cyrkul i inne przydatne instytucje. Roboty wykonczeniowe i przebudowy ciagnely sie dosc dlugo, ale wreszcie, akurat na powstanie styczniowe, prace ukonczono, dzieki czemu powstancy mieli gdzie zanocowac, a wojska rosyjskie mialy co spalic w ramach represji. Zaraz po powstaniu odbudowano ratusz, tyle tylko, ze miasto zaraz po tym stracilo prawa miejskie.

Radni wykazali sie wyjatkowa genialnoscia i na dobre sto trzydziesti lat przed nadejsciem epoki prywatyzacji sprywatyzowali ratusz, sprzedajac go miejscowemu zydowskiemu "biznesmenowi" za psie pieniadze zreszta. Budynek przechodzil rozne koleje losu, stajac sie po kolei: domem mieszkalnym, sklepem, masarnia i wedzarnia, siedziba wladz odrodzonego kraju, az wreszcie tuz przed druga wojna swiatowa stal sie knajpa. Tej szlachetnej funkcji nie pelnil dlugo, bowiem wlasciciel podpisal folksliste i wywiesil sobie na frontonie budynku wielka, piekna niemiecka flage z ogromna swastyka. Pech chcial, ze gdzies w czterdziestym trzecim, w okolice miasteczka zapuscil sie niewielki oddzial ukraińskiej partyzantki, ktory, widzac tak oznakowany budynek, wysadzil go w nocy w powietrze, biorac go za koszary SS. Po wybuchu, z ratusza ocalalo jedno skrzydlo. Budynek sluzyl znowu jako knajpa, az w koncu ulegl calkowitej dewastacji i zostal ostatecznie porzucony.

Pawel Skorlinski zatrzymal polciezarowke i wysiadl, mruzac oczy w ostrych promieniach

wrzesniowego slonca.

-Hy hy - powiedzial do siebie.

Wyjal z kieszeni akt wlasnosci i porownal zawarte w nim dane z tabliczka ozdabiajaca fronton budynku.

-Cholera - powiedzial pod adresem swojego, nieobecnego wspolnika.

Zatrzasnal drzwi samochodu i podszedl do obiektu. Klepnal jadowicie rozowa sciane. Sciana odpowiedziala gluchym odglosem. Tynk widocznie oszedl od muru.

-Jasna cholera - powtorzyl wolno i z namyslem biznesmen.

Wylowil z kieszeni peczek kluczy i wybrawszy jeden z nich, wsadzil go do dziurki pod klamka. Zamek chodzil gladko, ktos musial go ostatnio przeczyscic. Przekrecil klucz i pociagnal drzwi do siebie. Otworzyly sie ze zgrzytem. Ten, kto przeczyscil zamek, najwyrazniej zapomnial o naoliwieniu zawiasow. Wewnatrz bylo ciemnawo. Na - macal na scianie kontakt i przekrecil go. Znajdowal sie w sporej sali. Tu zapewne koncentrowalo sie zycie miejscowosci w czasach, gdy ratusz byl knajpa.

Pod sciana nadal krolowala potezna murowana lada, dalej widac bylo drzwi prowadzace gdzieś w trzewia budynku. Pawel podszedl do lady i zajrzal za nia. Za lada cos lezalo. W pierwszej chwili biznesmen pomyslal, ze to nieboszczyk, ale owo cos wyraznie pochrapywalo. Podniosl z podlogi pogrzebacz i walczac z obrzydzeniem, odrzucil na bok jakis lachman bedacy zapewne w zamierzchlej przeszlosci derka do nakrywania koni. Na starym, brudnym, pasiastym materacu drzemal jakis malowniczo obdarty typ.

-Halo! - Zagadnal Pawel - Prosze sie obudzic!

Typ otworzyl jedno oko i zlustrowal nim otoczenie. Poderwal sie niespodziewanie z ziemi i wbil lufe odrapanego rewolweru w brzuch nowego wlasciciela. Stali tak naprzeciw siebie przez chwile. Reka Pawla nieznacznie wedrowala w strone kieszeni, gdzie ukryty mial wlasny rewolwer. Niespodziewanie staruszek czknal wonia czosnkowej kielbasy i przetrawionego, wysokooktanowego alkoholu.

-Hy - powiedzial - Pawel Skorlinski, biznesmen. - Kope lat.

Pawel zdumial sie, ale niespodziewanie przypomnial sobie ta twarz.

-Jakub Wedrowycz? - domyslil sie.

Egzorcysta wyskoczyl zza lady i usiadl na niej. Wyciagnal z kieszeni kapciuch z tytoniem, dwa kawalki gazety i z niebywala wprawa skrecil z tego dwa papierosy grubosci kubanskich cygar. Podsunal jeden z nich Skorlinskiemu. Ten wzial i wsadzil do ust. Jakub

wyjal z kieszeni zapalniczke Zippo i podal mu ogien. Sobie tez podal. Zaciagneli sie gleboko. Biznesmen zakrztusil sie i przez chwile rozpaczliwie walczył o odzyskanie oddechu.

-Za mocne? - zaniepokoil sie Wedrowycz. - To tyton pierwszego gatunku. Na skupie nie chcieli, powiedzieli, ze za duzo nikotyny. Szesc razy norma, cos takiego. Na - podal znajomemu manierke odczepiona od paska.

Pawel zgasil skreta o lade, po czym odkreciwszy korek, pociagnal lyk. Czymkolwiek bylo to, co pociagnal, zwalil sie na ziemie i znowu nie mogl zlapac oddechu. Jakub podal mu wylowiona zza lady butelke piwa i pomogl usiasc z powrotem.

-Wy miastowi jestescie slabi - powiedzial, puszczejac kolka smoliscie czarnego dymu. - Byle napoj i juz z nog zwala.

Zarechotal ucieszony. Nastepnie lyknal nieco bimbrow z manierki. Z kieszeni wyciagnal kawalek gazety. Odwinal z niego peto kaszanki i odgryzl kawal, a reszte podal biznesmenowi. Ten odmowil, krecac glowa. Wolal nie ryzykowac trzeciego takiego wstrzasu.

-Also gut - powiedzial Jakub nieoczekiwanie po niemiecku. - Co potrzeba? Znowu duchy wylaza z dywanu, czy moze trzeba wygnac egzorcystow?

Pawel pokrecil glowa.

-Nie, nie tym razem - powiedzial. - Mieszkasz tu? - Gestem pokazal, ze chodzi mu o budynek.

-Nie, tak tylko sobie przysnalem, wracajac z knajpy, zeby nie lezc smerfom na oczy. A co?

-To teraz moje.

Jakub zaczal sie smiac, ze malo sie nie zwalil na podloge.

-No, co ty? Kupiles to?

-Tak jakby. Moj wspolnik kupil.

-A to go w jajo zrobili - Jakub byl pelen uznania dla przedstawicieli gminy. - Nie mial glupszego pomyslu?

-Widac co, nie.

-A tak wlasciwie, to po co wam, biznesmenom, ta szopa? - Zaciekawil sie Jakub.

-Mam zamiar otworzyc tu hurtownie - wyjasnil Skorlinski. - W Horodle otworzyli granice. Tedy bedzie jechal jeden samochod pelen Ruskich na godzine.

Jakub natychmiast stracił poze wioskowego przyglupa.

-To wygląda wcale nieglupio - powiedział - Czym chcecie obracać?

-Tekstylami - wyjaśnił biznesmen - Kurtki, spodnie, inne takie. Może garnitury.

-Ja widziałem, jak tak czasem jeżdża, że oni głównie to woza kapuste i pralki.

-Kapuste?

-Aha. Widac u nich jest drozsza niz u nas. Albo zupełnie jej nie ma. Ale ciuchy też pewnie woza, tylko w bagażnikach i nie widac.

Wyjął Skorlinskiemu z dłoni butelkę z piwem, wypił resztę. Zgasił niedopalek o łade.

-Nu, czas na mnie - powiedział. - Wpadne na dniach...

-Czekaj - zatrzymał go Paweł. - Będzie potrzebował ekipy, żeby tu chociaż trochę odmalować. Nie znasz tu jakichś fachowców?

-Czemu nie - powiedział Jakub. - To nawet ja sam odmaluję. Tylko pietro jest schrzanione. Te belki - pokazał palcem na sufit. - Ja bym tam na wszelki wypadek nie wlaził.

-Może wymienić?

-Stropowe? To by sporo kosztowało, ale chyba nieglupi pomysł. Dobra. Wymienimy.

-Dwadziesiąt tysięcy starczy?

-I, za dwadziesiąt tysięcy to ja bym pięć takich chalup kupił. Daj pięć, resztę oddam najwyżej.

Paweł odliczył pięćdziesiąt banknotów i wsiadł do samochodu.

-Na przyszły tydzień będzie zrobione - zapewnił go Jakub.

-Zdązysz?

-Pewnie. Zagonię do roboty kilku takich nierobów.

Biznesmenowi nie spodobał się jego uśmiech, ale nie zastanawiał się nad tym. Wcisnął pedał gazu i samochód, drąc kołami lany lebiody i ostu, odjechał.

-No, to do dzieła - powiedział Jakub i zarechotał obłędnie. Z kieszeni wyjął butelkę z ciemnego szkła. W butelce znajdowało się kilka gramów dziwnego zielonego paskudztwa w postaci jakby pokruszonych oplatków. Jakub zmrużył oczy, odczytując napis na etykiecie:

Oglupiacz Made in KGB

Szykowała się zabawa.

Ostatnio nic się jakos nie działo. Gliniarze przychodzili na posterunek, odsiedzieli swoje osiem godzin i szli do domu. Głęboka jesienna melancholia. Człowiek rozrabiający tacy jak Wedrowicz, Paczenko, Korczaszko czy Bardak siedzieli dziwnie cicho. Nawet donosy były nudne. Posterunkowy Birski rozmyślał w swoim gabinecie, opierając nogi o politurowany blat biurka.

-Chyba zaczyna się martwy sezon - powiedział w zadumie.

Pociągnął ostrożnie łyk świeżo zaparzonej kawy. Jego wyczulone na niebezpieczeństwa policyjne podniebienie wyczuliło ślad jakiegoś obcego posmaku.

-Rowicki! - Wrzasnął.

Rowicki wszedł do gabinetu i zaszalutował.

-Obywatel kapitan mnie wzywał?

-Tak. Co to za kawa?

-Chodziła taka dziewczynka i rozdawała z koszyczką. Powiedziała, że to promocja.

-Promocja - wycedził kapitan. - A może ona chciała nas otruci?

-Co pan. Przecież ja piłem już rano i nic.

-Czyms to zajadła. Jakby ziołami.

-Możemy sprawdzić...

Rowicki przyniósł paczkę i wysypał jej zawartość na blat przed kapitanem. W brązowym pyłku poniewierały się pokruszone kawałki jakiegoś zielska.

-Widzisz?

-Przepraszam kapitanie.

-Z pudełka odciski palców tej dziewczyny. Portret pamięciowy wykonać. Zielsko do laboratorium.

-Tak jest - wrzasnął Rowicki ucieszony z takiego obrotu sprawy. Wreszcie coś do roboty.

W tym momencie trzasnęły drzwi wejściowe. W progu stanął Jakub Wedrowicz. Dziwnie

sie jakos usmiechal. Birski popatrzył na niego uważnie i nagle uswiadomil sobie, ze to na pewno on zatrul kawe.

-Czego sobie...? - Zagadnal, nadajac swojemu glosowi wyjatkowo paskudne brzmienie.

Jakub popatrzył mu prosto w oczy. Posterunkowym wstrzasnelo cos na ksztalt uderzenia pradem.

-Pan - podpowiedzial Jakub.

Birski poczul dziwny zamet w glowie. To pewnie ta kawa - pomyslal. A potem poslusznie powtorzyl:

-Czego pan sobie zyczyl

Natychmiast stwierdzil, ze jego pytanie nadal jest ordynarne i nie licuje z powaga goscia. Usmiechnal sie z przymusem.

-Czym mozemy sluzyc? - Zapytal.

Glos Jakuba wyjasnil wszystkie zaszlosci.

-Zdejmijcie mundury, zeby sie nie pobrudzily - rzucil im pod nogi dwa komplety ubran roboczych. - I goncie do ratusza.

Gliniarze przebierali sie jak roboty. Jakub usmiechnal sie. Wychodzac z gabinetu posterunkowego natknal sie na sekretarke.

-Odbieraj telefony i zapisuj, kto czego chcial - powiedzial. - Jak sie pojawi zmiana, to przyslij ich do ratusza. Tylko nie zapomnij nalac im termosu kawy na droge. Dzień taki chlodny...

Pokiwala glowa. Po poludniu na budowe dotarly posilki w postaci trzech funkcjonariuszy. Dwaj byli odurzeni spreparowana kawa, trzeci niestety nie. Tego Jakub nie przewidzial.

-Zmieniac mundury na drelichy i do roboty - zakomenderowal. - Widzicie przeciez, ze kumple ledwo laza.

Dwaj nie kazali sobie tego dwa razy powtarzac i poslusznie zaczeli sie przebierac. Trzeci patrzyl na to zdumiony.

-Co wam sie stalo? - Zapytal.

Jakub zaszedl go od tylu i puknal cegla w glowe. Nieprzytomnemu wlal nieco mikstury do gardla i ocucil wiadrem wody. Gdy gliniarz ocknal sie, stwierdzil, ze ma na sobie robocze ubranie.

-Co sie dzieje? - Zapytal.

-Wstawaj bumelancie - powiedzial Jakub wesolo. - Kumple haruja, a ty sie wylegujesz. Idz mieszac zaprawe.

Gliniarz pomyslal, ze faktycznie trzeba pomoc i poslusznie zabral sie do pracy. Jakub popatrzył jeszcze przez chwile, jak im to sprawnie idzie, po czym wsiadl w radiowoz i pojechal na posterunek. Wyminal panienke, wszedl do gabinetu posterunkowego. Przebral sie w mundur i wrocil do sali ogolnej.

-Byly telefony? - Zapytal.

-Tak. Dzwonili z Kolonii Partyzantow, jakas rozroba.

-Dawno?

-Dopiero co.

-Prosze zaparzyc termos kawy. Gdzie sa kajdanki?

-W sejfie.

Jakub stanal przed stalowa skrzynia i zamyslil sie na chwile. Przylozyl do drzwi ucho i pokrecil przez chwile pokretlami. Dawno nie obrabial bankow, ale jeszcze umial. Otworzył drzwi, zabral szesc par, wsiadl w samochod i pojechal. Rozroba byla na calego. Szesciu mlodziencow pijanych w sztok okladalo sie piesciami przy wtorce wyjatkowo niecenzuralnych wrzaskow. Jakub nie patyczkowal sie. Rzucil miedzy nich granat z gazem obezwladniajacym, skul kajdankami i zawiozl na komende. Zwalil ich na stos w glownej sali. Kawa wlasnie sie zaparzyla.

-Macie tu lejek? - Zagadnal dziewczynie.

-Tak. W kuchni na suszarce - wyjasnila ochoczo. Wlal kazdemu w gardlo tak po pol szklanki.

-I co, szmaciarze? - Zagadnal. - Popracujecie tydzien, to wam durne pomysly z pustych lbow wyparuja.

W czasie, gdy gliniarze odsypiali, zuliki pracowali az miło. Do srody budynek zostal calkowicie wyremontowany. Nowe tynki lsnily biela. Belki i deski podlogi na pietrze zostaly wymienione. Piece przemurowano. Jakub ustawil swoich robotnikow rzedem.

-To sie nigdy nie wydarzylo - powiedzial z naciskiem. - A teraz spieprzac.

Pawel Skorlinski siedzial sobie wygodnie na ladzie. Stos spodni jeansowych, pospinanych drutem w paczki po sto sztuk, pietrzył sie pod sciana. Probki towaru lezaly obok niego.

Skorlinski popijal sobie Cole z glinianego kubka i rozmyslal.

-Przejscia graniczne to filary kapitalizmu - powiedzial wreszcie z namaszczeniem.

Przez drzwi wszedl Jakub Wedrowycz.

-Jak leci? - Zagadnal.

-Niezle. Calkiem niezle - powiedzial biznesmen. - A co u ciebie?

-Wpadlem na taki maly pomysl - powiedzial Jakub.

-Nie sadzisz, ze powinienes sie ubezpieczyc?

-Zostales agentem ubezpieczeniowym? - Zaciekawil sie Skorlinski.

Widzial w zyciu tyle dziwnych rzeczy, ze nawet w cos takiego byl w stanie uwierzyc.

-Tak jakby - usmiechnal sie Jakub.

-Chyba troche zle trafiles. Jestem juz ubezpieczony. W Warcie i PZU.

Wargi Jakuba wykrzywily sie z pogarda.

-A co oni moga?

-A ty, kogo reprezentujesz? - Zaciekawil sie biznesmen. Jakub przysiadl sie kolo niego i wyciagnal z kieszeni zlozona starannie kartke papieru.

-A o! - podal ja kumplowi.

-Ostateczna polisa na zycie - przeczytal Skorlinski.

-Co to takiego?

-A to ja rysowalem - powiedzial Jakub. - Ladne?

-Sliczne. Dobra, ile chcesz za to ubezpieczenie?

-Daj mi pare portek i styknie - Jakub usmiechnal sie promiennie.

Skorlinski tez sie usmiechnal i podal mu granatowe jeansy. Jakub przylozyl je i sprawdzil czy nogawki maja odpowiednia dlugosc.

-Fajne - powiedzial. - Sluchaj, musze juz leciec. Schowaj polise. I uwazaj na siebie. Jak sie robi interesy z Rusami, to czasami moze sie noga podwinac.

-Spokojna marchewka - usmiechnal sie biznesmen.

Siegnal reka za lade i wyciagnal ze stojacego tam akwarium metrowego pytonka.

-To jest Ciapus - powiedzial.

-Fajne - ucieszyl sie Jakub. - To sie je?

-Nie, chociaz podobno smaczne. To zamiast pieska.

-A rozumiem.

Zeskoczyl z lady. Zwinal spodnie w rulon i umiescil troskliwie pod pacha. Po chwili zniknal.

-Chyba sobie poszli - pomyslal Skorlinski.

Lezal za lada i czekal z rewolwerem w dloni. Sciane nad jego glowa ozdabial rzad dziur po kulach. Trzej ukrajscy mafioso z kalasznikowami musieli juz zwiac. Jak sie robi strzelanine w srodku miasta, to trzeba sie szybko ulatniac. Poprawil uchwyt palcow na kolbie. Zdziwilo go nieco, ze az tak sie poci. Ostatecznie bywal juz w gorszych opalach.

-Poszli - zdecydowal.

Ostroznie wychylil glowe zza lady. Oczy zdazyly uchwycic widok faceta z kalasznikowem. Poczul uderzenie w czolo. Jego uszy przekazaly jeszcze paskudny odglos, gdy pocisk przebijal mu czaszke.

-A wiec tak to wyglada - zdazyl pomyslec. A potem wszystko ogarnela ciemnosc.

Prowizoryczna kostnica urzadzona byla w piwnicy gminnego osrodka zdrowia w Wojslawicach. Zbigniew Podpalko podniosl sie znad stolu. Byl bardzo blady.

-Tak, to moj wspolnik - powiedzial wreszcie. - Kto go?

-Jeszcze nie wiemy, ale pracujemy nad tym - powiedzial Birski. - Chyba moze pan zabrac cialo. Jesli kogos znajdziemy, to powiadomimy pana.

-Dobrze, zajme sie pogrzebem - powiedzial biznesmen. - Chyba w Warszawie na Powazkach.

-Chce go pan wiezc taki kawal samochodem?

-Byl moim przyjacielem. Jestem mu to winny.

-Mamy na posterunku trumne - powiedzial Rowicki. - Zabralismy kiedys na zabawie w remizie. Skocze po nia?

Birski machnal rekaw przyzwoleniu. Pol godziny pozniej Podpalko jechal juz samochodem w strone Warszawy. Gdzies na wysokosci Starego Majdanu droge zabiegl mu malowniczo obdarty typ w nowiutkich spodniach. Zamachal rekami jak wiatrak. Biznesmen zatrzymal samochod. Potrzebowal towarzystwa. Cholernie potrzebowal.

-Dokad podrzucic dziadku? - zagadnal, otwierajac drzwi.

-Na Stary Majdan - wyjasnil domniemany autostopowicz.

-Gdzie to jest?

-Tam - dlon machnela w zupełnie nieoczekiwanym kierunku.

-Troche mi nie po drodze, ale podruce - powiedzial Podpalko.

Zawsze mial miekkie serce.

-Ty nie rozumiesz - powiedzial Jakub. - Wiem, kim jestes. Po samochodzie poznałem. Wiem, co masz tam z tyłu.

Siegnal za pazuche i wydobyl Ciapusia.

-Bylismy kumplami, a zreszta on ma polise na zycie.

Biznesmen nic nie zrozumial z tej przemowy, ale pomogl gosciowi wsiasc. Pojechali na Stary Majdan. Walace sie budynki gospodarcze sprawialy przygnebiajace wrazenie. Po niebie przesuwal sie wal ciemnych, burzowych chmur. Jakub wysiadl z szoferki i pociagnal boczne drzwi. Drzwi odjechaly na bok. Wedrowycz szarpnal trumne i wywlokl ja z wozu. Odwalil kopem wieko. Zbigniew usilowal zaprotestowac, ale jeden rzut oka na szalona twarz egzorcysty amatora zniechecil go do jakichkolwiek komentarzy.

Plastikowy worek ustapil od jednego pociagniecia nozem. Zbigniew zamknal oczy. Jego wspolnik wygladal tragicznie. Dziura wlotowa w czole byla jeszcze w sumie mala. Dziura wylotowa na potylicy...

-Pomoz - warknal Wedrowycz.

Przeniesli wspolnym wysilkiem zwloki do walacej sie szopy. Blyselo, a po chwili dobiegl ich grzmot.

Pawel Skorlinski otworzil oczy. W pierwszej chwili nie wiedzial, gdzie sie znajduje, w nastepnych chwilach tez sie tego nie dowiedzial. Lezal na stole, pod wybrzuszonymi nieco deskami jakiegos sufitu. Przechylil glowe w prawo i zobaczyl szafe wypelniona dziesiatkami butelek. We flaszkach leniwie fermentowaly jakies dziwnie substancje. Ciagnely sie od nich szklane rurki. Wygladalo to tak, jak gdyby ktos zrobil sobie laboratorium z wygrzebanych ze

smietnika surowcow i tak tez bylo w rzeczywistosci. Obrócił głowę w drugą stronę i zobaczył siedzącego na zwichrowanym krześle Jakuba Wedrowycza.

-No i jak? - Zagadnął egzorcysta.

-W porządku - wychrypiał biznesmen.

Nagle przypomniał sobie strzelaninę. Odruchowo dotknął dłoń czola. Nie było w nim dziury, ale też nie wszystko z nim było w porządku. Pod palcami wyczuł coś dziwnego. Usiadł i powiodł wzrokiem po pomieszczeniu. W ciemnym kącie stała trumna. Wyglądała na świeżo wykopana, jej wieko oklejały jeszcze drobiny gliny. Obok leżała wiertarka z zamontowaną, niewielką piłą tarczową. Pila była umazana czymś czerwonym, może nawet krwią. Jakub podał mu spore lustro.

Lustro było zmatowiałe, ale biznesmen spostrzegł, że ma pośrodku czola wszyta late ze skóry odrobine innej karnacji. Szwy wyglądały paskudnie, zupełnie jak te, którymi Wedrowycz pocerował swoją koszulę. Jakub nie umiał szyc.

-Warunki zawarte w polisie zostały z mojej strony wypełnione - zagadnął Jakub. - Jeśli chcesz przedłużyć ubezpieczenie, to musisz załatwić mi skorzaną kurtkę.

Zdziwił się. Koło drzwi siedział jego wspólnik od hurtowni - Zbigniew Podpalko był blady jak ściana i miał zasikane spodnie.

-Co się stało? - Zagadnął go Skorlinski.

Zbigniew zawył i wyczołgał się gdzieś na zewnątrz.

-Co z nim? - Zapytał Paweł Jakuba.

-Chyba będziesz musiał poszukać sobie nowego wspólnika - powiedział Jakub beztrosko. - Ten wyglądał całkiem niezłe, ale nerwy miał za słabe.

-Nowego wspólnika?

Jakub uderzył się kciukiem w dumnie wypiętą do przodu pierś.

-Ach tak...

Skorlinski zeskoczył ze stołu. Jego bosa stopa nadepnęła na coś dziwnego.

-Nie deptaj podrecznika! - Wrzasnął na niego Wedrowycz.

Skorlinski popatrzył odruchowo. Stał na leżącej, grzbietem do góry, otwartej książce. Spod bosa stopy wystawał kawałek tytułu:

"...enstein"

Ach, to pewnie o fizykach - pomyslał. Park jurasicki

Znany reżyser rozłożył bezradnie ręce.

-Panie Skorlinski. Niech się pan postawi w mojej sytuacji. Rozumiem, że chce pan film z dinozaurami. Akceptuje pomysł scenariusza, ale musi pan pojąć, że aby umieścić w filmie dinozaury, można to zrobić tylko na dwa sposoby. Albo wynajac Amerykanów od efektów specjalnych, którzy je zmontują na komputerze, albo zbudować atrapy naturalnej wielkości, poruszane za pomocą silników i hydrauliki. Na to wszystko potrzeba wielkich pieniędzy.

Stali na wzgórzu. W dolinie poniżej husaria ścigała pierzchające watahy Mongołów, a może Kozaków. Jakub Wedrowycz siedział na składanym krzeselku z napisem "Reżyser" i chłonał widowisko. Krecenie filmu podobało mu się. Kilka razy zdarzyło mu się być w kinie, ale przy filmowaniu jeszcze nigdy.

-Moje środki, choć poważne, nie są nieskończone - powiedział biznesmen. - Z pewnością budowa atrap dinozaurów pochłonie z milion dolarów...

-Raczej koło pieciu. Minęły czasy, gdy Godzilla grał facet ubrany w gumowy kombinezon, przewracający tekturowe bloki mieszkalne. Obecnie kino stało się widowiskiem...Kosztownym widowiskiem.

Jakub zaciągnął się wonnym skretem z własnego tytoniu. Szary papier pakowy wegulił się powoli, wzbogacając aromat. Na dole coś pokrzykiwali. Husaria wrocila na miejsce. Ujęcie beda powtarzac. Po raz szesty tego dnia. Egzorcysta ziewnał. Mimowolnie zwrócił ucho w stronę rozmawiających.

-Cholera - powiedział Skorlinski. - Duzo bym dal za niewielki rezerwat, z ktorego można by wylapywać dinozaury do filmów.

Brwi Jakuba uniosły się lekko do góry, a na twarz wypełził mu dziwny, oblesny, klusowniczy uśmiech. Rezerwat...Znal to słowo.

-Spielberg też pewnie sporo by dal - uśmiechnął się reżyser. - Na razie wybaczy pan, ale muszę trochę popracować.

Biznesmen skinal dlonia na Jakuba. Staruszek podniósł się z krzeselka i ruszył w ślad za nim.

-Jakies problemy? - zagadnął, sadowiac się na tylnym siedzeniu opla.

-Ech. Chce nakrecić film z dinozaurami, a tu fachowcy od efektów specjalnych za dużo chcą ze mnie zedrzeć.

-A co to takiego te dinozaury? - zainteresował się Jakub.

-Wielkie gady z zamierzchłej przeszłości - cierpliwie wyjaśnił Skorlinski. - Dawno temu wymarły.

-Jak duże były? - zaintrygował się egzorcysta.

-Takie mniejsze, wielkości kota. Ale te największe przekraczały wzrostem słonia.

Pasazer pokiwał w zadumie głową.

-To ja chyba widziałem - mruknął.

-Gdzie? - uśmiechnął się reżyser.

-A u syna na video. "Park jurasicki". Przyleciał taki i zezarł faceta w wygodce...I ile chcą ci od grafiki komputerowej? - zaintrygował się.

-Kilka milionów dolarów.

Egzorcysta wyjął z kieszeni odrapany kalkulator z pękniętym wyświetlaczem i przez chwilę coś przeliczał.

-Zrobi się - powiedział. - Za dziesięć tysięcy.

-Skąd wezmiesz tak tanich grafików komputerowych? - zdumiał się biznesmen.

Jakub uśmiechnął się lekko.

-Po co nam rysunkowe dinozaury? Albo kukłowe?

-Masz lepszy pomysł?

-Żywe są najlepsze.

-Żywe wymarły przed stu pięćdziesięciu milionami lat. A może się mylę?

-Chodzi ci o gada z długimi zębami wielkości ciężarówki? - zdenerwował się.

-Tak.

-To będziesz ich miał do wyczerpania. Po dziesięć tysięcy dolarów za sztukę.

-Nie wierzę ci - powiedział biznesmen. - Najpierw chcę zobaczyć towar.

-Mi nie wierzysz?

-Zaplace, jak zobacze.

-No to stowa z gory. Za tydzien spotkamy sie w piwiarni kolo pawilonu.

Biznesmen usmiechnal sie i wreczyl Jakubowi zielony banknot z dwoma zerami.

-Trzymam cie za slowo.

W zamierzchlej przeszlosci w Wojslawicach cos budowano. Po budowlancach pozostal zdezelowany barakowoz. Dluzszy czas stal na rynku, kolo przekształconego w hurtownie Ratusza. Pozniej sciagnal go na swoje podworko miejscowy kombinator. Obil starannie wnetrze plyta gipsowo-kartonowa, wstawil bar z nieheblowanych desek i podwedzona w parku lawke. Zarowke pod sufitem ustroil w girlandy z krepiny, a sam stanal za barem i zaczal obslugiwac wielbicieli niedrogich, a wysokooktanowych trunkow.

Pawel Skorlinski - biznesmen, wszedl po trzech nadgnilych schodkach i pochyliwszy glowe, bo drzwi byly niskie, wkroczyl do wnetrza speluny. W progu potknal sie o jakiegos typa lezacego malowniczo na podlodze. Typ otworzyl oko i popatrzył na niego zlowrogo, choc niezbyt przytomnie.

-Jeszcze raz to samo - wybelkotal i zasnal.

Jakub siedzial przy stoliku i silowal sie na reke z barmanem. Na stoliku po obu stronach lezaly denka butelek przekształcone w tulipany. Reka barmana wolno, ale nieublaganie, zblizala sie do ostrych szklanych drzazg.

-Litosci - jeknal.

-Cztery kufle Perly - Jakub bezlitosnie wyznaczyl cene. Barman kiwnieciem glowy wyrazil zgode. Egzorcysta puscil go i dlonia wskazal biznesmenowi kawalek wolnej lawki. Dosiadl sie do niego i po chwili stukali sie wygranym piwem.

-No i gdzie masz tego dinozaura? - zagadnal Pawel.

-No przeciez nie trzymam go w krzakach, na zapleczu. Wkrotce powinien tu byc lowiec - wyjasnil Jakub.

-Lowca dinozaurow?!

Wypili jeszcze po jednym. Zapadal zmrok, gdy przed knajpe podjechal wreszcie zdezelowany, trzydziestoletni mercedes na ukrajskich numerach. Drzwiczki trzasnely i odpadly, po czym ze srodka wygramolil sie niewysoki typek w okularach przeciwslonecznych, ubrany w skorzane spodnie i takaz kurtke, zalozone na gole cialo. Typek, jak przystalo na ukrajskiego biznesmena, obwieszony byl zlotem. Zeby oczywiscie tez mial zlote. Wtarabanil sie do wnetrza. Jakub na jego widok wstal z namaszczaniem.

-Josif Kleszczak - przedstawił się przybysz Skorlinskiemu, po czym zwrócił się do Jakuba. - Czegoś mnie kumplu wezwał, ha?

-Ty znasz, co to dinozaury? - zapytał egzorcysta. Gość kiwnął głową. Biznesmen zauważył, że brakuje mu jednego ucha.

-Takie duże jaszczurki - powiedział. - No, jak autobus. A co? Jest jakiś interes?

-Ten tu mój przyjaciel, biznesmen, chciałby kupić kilka takich.

Ukraińiec nie okazał zdumienia.

-Ile sztuk?

-Ze dwadzieścia - pośpiesznie powiedział Jakub. - Potrzeba nam do filmu...Tylko żeby były jak w encyklopedii. Identyczne.

Kleszczak ze smutkiem pokręcił głową.

-Ciekawa sprawa - powiedział.

Wyjął z kieszeni plik kolorowych fotografii

-Nada się? - podsunął je Skorlinskiemu.

Na pierwszym zdjęciu obrzydliwy, pokryty jakimś glutami potwór czochrał się o brzoze. Był znacznie większy niż autobus. Skóre pokrywały mu kolorowe plamy.

-Co to jest? - zdumiał się biznesmen.

-Dinozaur. No prawie dinozaur - wyjaśnił ochoczo przybysz. - Nie widac? Są jeszcze dwa z tego gatunku. Albo takie - podsunął następną fotkę.

Widac było na niej olbrzymiego zółwia na pięciu nogach. Pancierz porastało mu coś w rodzaju pierza.

-Co to jest u diabła? - zdziwił się biznesmen.

-Czarnobylskie mutasy - wyjaśnił Jakub. - A co, nie nadają się?

-Wyglądają pokrętnie - westchnął Skorlinski.

-Pokrętnie? - zdenerwował się przybysz, wyciągając z kieszeni granat.

-Spokoj Kleszczak! - warknął Jakub rozkazująco. - Nie trzymają kształtu. Niewymiarowe.

-To ja z bratem latamy pol roku po strefie, zeby je sfotografowac, a wy nie chcecie?

-Masz - Wedrowycz wcisnal mu zielony banknot. - Na film do aparatu. Nie zrozum nas zle, ale potrzebujemy paskudztw identycznych jak te, ktore kiedys zyly. No i oczywiscie, zeby jak nasraja, nie trzeba bylo odchodow pakowac do olowianych pojemnikow i zakopywac na glebokosci kilometra.

-Przeciez na filmie nie widac, ze one popromienne - mruknal Kleszczak. - Ano trudno. Nie chcecie to ide.

Jakub wreczyl mu flaszke truskawkowej pryty "na droge" i przemytnik zmyl sie.

-Dobra - mruknal egzorcysta. - Zalawimy to inaczej. Skorlinski odetchnal z ulga. Ukrainski "kolega po fachu" wyraznie nie przypadl mu do gustu.

-Jak zamierzasz sie za to zabrac? - zapytal. - Poruszane hydraulicznie czy mechanicznie?

-Zaufaj mi - twarz Wedrowycza rozciagnela sie w szerokim, szczerym, slowianskim uśmiechu.

Uśmiech Jakuba nie wzbudzal w biznesmenie szczegolnego zaufania.

-Gdzie jestesmy? - zapytal Skorlinski.

Nie mial dotad pojecia, ze pod jego hurtownia znajduja sie takie kazamaty.

-Spokojnie, jeszcze kawalek - mruknal Jakub..

W swietle latarek widac bylo, ze niektore cegly, tworzace sklepienie niskiego i wilgotnego lochu ledwo sie trzymaja.

-To przejście z Ratusza do kosciola - powiedzial wreszcie niechetnie. - Dawno tu nie bylem - oswietlil odnoge korytarza, w ktorej lezalo kilka szkieletow.

-Co to za jedni? - wyszczekal zebami Skorlinski.

-Nic sie nie boj, oni nie zyja.

-Wlasnie dlatego sie boje - mruknal. - Nie wstana?

-Przykolkowani - egzorcysta oswietlil szkielety. Koscista dlon jednego z nich zaciskala sie na solidnym osikowym kolku wbitym pomiedzy zebra.

-Ten chyba probowal wyrwac - jeknal biznesmen.

-Spoko. Dorosly czlowiek, a boi sie jak jakas baba - ofuknal go Jakub.

Ruszyli naprzód i niebawem droge zagroził im ceglany mur.

-Narzedzia - polecil egzorcysta.

Biznesmen podal mu lom. Jakub zrecznie wyskrobal czesc zaprawy i po chwili zaczai podawac mu cegly

Pawel odkladal je na ziemie. Z otworu wionelo suchym, cieplym powietrzem. Po chwili weszli do srodka. W swietle latarek ukazala sie ponura, polkoliscie sklepiona krypta. Wypelnialy ja potezne kamienne sarkofagi. Jakub starl kurz z pierwszego z brzegu. Zablysnal wykuty w kamieniu i oblozony listkami zlota herb Trzy wdar.

-Jan, Mikolaj, Franciszek, Alojzy, Aureli, Leopold, Tytus - odliczal sarkofagi - znaczy ten.

-Wydaje mi sie, ze nasze dzialania sa nieco niezgodne z prawem - zauwazyl Skorlinski.

-A kupowanie czarnobylskich mutasow od ukraińskiego przemytnika niby bylo zgodne z prawem? - zdenerwowal sie egzorcysta.

-Przeciez nie kupilem.

-No wlasnie.

Rozpial kufajke i zdjal z glowy papache.

-Czemu tu jest cieplo?

-Bo kotlownia pracuje za sciana. Trzeba przeciez ogrzewac kosciol.

Czapka omiotl sarkofag z kurzu. Na wieku pojawila sie wyryta postac rycerza.

-Z jakiego to okresu? - zdziwil sie Pawel.

-Zmarlo mu sie, na szczescie dla okolicy, w poczatkach ubieglego wieku, ale to nie ma znaczenia. Zawsze mial szmergla na punkcie starozytnosci swojego rodu. Ano zobaczymy...

Pod wieko sarkofagu wbil samochodowy lewarek i powoli, z wyczuciem zakrecil korbka. Z upiornym zgrzytem zaczelo sie unosic. Po chwili egzorcysta przesunal je z wysilkiem na bok. W sarkofagu lezala trumna z czarnego debu. Mosiezne okucia pozielenialy lekko, a drewno pokrylo sie szarym nalotem. Jakub z cholewki buta wyjal bagnet od kalasznikowa i ostrym czubkiem zaczal wykrecac co nie badz zardzewiale sruby.

-Szczерze mowiac, nie widze zwiazku pomiedzy moim filmem z dinozaurami, a nasza tu dzialalnoscia - zauwazyl Skorlinski.

-Gotowe - Wedrowycz wykrecil ostatnia srubke. - Pomoz.

We dwu podnieśli wieko trumny i wyjęli je z sarkofagu. Egzorcysta poświęcił ciekawie do wnętrza skrzyni. Hrabia Tytus leżał na spłowiałym atlasie, ubrany w piękną zbroję rycerską i czerwony niegdyś płaszcz. Spod zardzewiałej przyłbicy błyszczły złote zęby.

-Co dalej? - zapytał Skorlinski.

-Trzymaj - rozpiął sparciałe nieco skórzane paski i podał biznesmenowi przednią część pancerza. Po chwili wyciągnął spod nieboszczyka drugą część.

-To chyba odrobine nieetyczne - zauważył Paweł, patrząc jak Jakub wytrząsa z helmu czaszkę hrabiego. - Bezczeszczenie grobow...

-Później oddamy - mruknął jego towarzysz, wydłubując z rękawic kości palców.

Popatrzył krytycznie na blaszane buty z ostrogami i machnął ręką.

-Pakuj to do worka i spływamy.

Biznesmen posłusznie zaczął wrzucać rynsztunek do parzianego worka, a egzorcysta wstawił na miejsce wierzch od trumny i zasunął płytę sarkofagu.

-Po co nam to wszystko? - Paweł aż ugiął się pod ciężarem worka.

-Potrzebne - uciął. Wyszli przez korytarz.

Nie opodal Starego Miasta w Lublinie stał, bielejąc w słońcu, nieduży, ładny pałacyk. No dobra. Nie biał w słońcu, bo o czwartej rano było jeszcze zupełnie ciemno. Dwa cienie bezszelestnie przeslizgnęły się przez krzaki.

-Gdzie jesteśmy? - zapytał Skorlinski.

-To pałacyk wojewody Adama Tarły - wyjaśnił egzorcysta szeptem.

-Cholera, to na prowincji wojewodowie tak dobrze zarabiają? - zdziwił się Skorlinski. - Ta buda musiała kosztować...

-Uch, ty durny! Tarła zabił brat Stanisława Augusta Poniatowskiego przed przeszło dwustu laty. Teraz w pałacu jest dom kultury.

Z podeszwy buta wyjął żydowski włos.

-Podsadz mnie.

-Dlaczego mamy się włamać do domu kultury? - zaniepokoił się biznesmen. - To zupełnie...

-Chciales mieć dinozaury, to nie medrkuj, tylko mnie podsadz.

-Sa w srodku?

Po chwili Jakub wgrzyl sie w krate. Nie minal kwadrans, a wypilowal w niej dziure na tyle duza, ze mogli przez nia przelezc. Okno na szczescie bylo uchylone. Obaj wlamywacze wyladowali wewnatrz na solidnej, kamiennej posadzce.

-Nie ma alarmu? - zapytal Pawel.

-A po co? Tu nie ma nic cennego. No moze gdzies tam jest biblioteka i magnetowid. Zaraz, i chyba projektor filmowy. Tam pewnie jest alarm. Ale tu nie ma nic ciekawego.

-To po co sie wlamalismy? - Skorlinski wyraznie nie nadazal.

-Zaraz zobaczysz.

Jakub sforsowal wytrychem drzwi i weszli do niewielkiej sali, ozdobionej postaciami rycerzy wymalowanymi na scianach.

-Tu ma treningi Bractwo Miecza i Kuszy - oswiadczył z duma Jakub.

Duma brala sie stad, ze potwierdzily sie jego informacje.

-Aha. Udaja rycerzy. Ale nadal nie rozumiem, po co tu sie wlamalismy?

Egzorcysta otworzyl wytrychem spora skrzynie. Wyjal z niej podluzny ksztalt zawiniety w nawoskowane plotno. Odwinal je ostroznie. W swietle latarki zablysla klinga wykonana z resoru od Stara. Miecz mial co najmniej poltora metra dlugosci. Jakub zrecznie wywinal nim kilka mlynkow w powietrzu.

-Hy - powiedzial. - Niezly. Tylko trzeba naostrzyc.

-Po co ci to zelastwo?

-Nie mnie, tylko tobie. Przyda sie do...tego filmu.

-Do filmu moge zamowic w warsztatach. Zrobia na zamowienie. Nie musimy krasc rekwizytow...

-To czegos wczesniej nie powiedzial? Ano trudno. I tak nie ma czasu czekac az zrobia.

-Zostawie moze troche pieniedzy - biznesmen wyjal portfel.

-Nie trza. I tak za kilka dni oddamy.

W domu Jakuba cuchnelo. Biznesmen polerowal zbroje nasaczonymi w nafcie szmatkami. Semen siedzial pod oknem i wycinal ze starej obitej skora walizki nowe paski do polaczenia

wszystkich czesci rynsztunku.

-Sadzisz, ze mu sie uda? - zagadnal.

-Uda, uda - Jakub uruchomil szlifierke i ostrzyl potezny miecz. - Hy, jak brzytew bedzie.

-Ale po co to wszystko? - zdenerwowal sie Skorlinski.

-Dla dobra sprawy, bedziesz musial jakis czas rznac rycerza - powiedzial Jakub.

-Nikogo nie bede zarzynal!

-Rznac czyli udawac - wyjasnil mu Semen, przewlekajac rzemien przez dziurke w pancerzu.

- Moglbys sie nauczyc mowic po naszemu.

-Mam wlozyc na siebie zbroje zdarta z nieboszczyka?! Nigdy w zyciu.

-Ty, zobacz, jaki sie nagle wybredny zrobil - zdenerwowal sie egzorcysta. - Co ci za roznica skad wzieta? A ty myslisz, ze po co marnowalem piec litrow samogonu? Zeby ja odkazic! Ciesz sie, ze to twoj rozmiar.

-Ale po co to wszystko? - jeknal biznesmen.

-Zebys mial swoje dinozaury do filmu! - wrzasnal Jakub, tym razem naprawde zly.

Znowu noc... Tym razem dwu wlamywaczy otaczala mila dla oka zabudowa Chelma.

-Co my tu robimy? - jeknal Skorlinski.

-Nie medrkuj, tylko pomoz - warknal Jakub, mocujac sie z zardzewialym wlamem do kanalu.

Po chwili wahania Pawel naparl na lom. Klapa ze szczeknieciem uniosla sie. Z otworu powialo dziwnym fetorem.

-Na dol - polecil egzorcysta.

Zlezi po zardzewialych klamrach. Jakub rozwinal plan kanalizacji i wyjal kompas.

-Naprzod - zakomenderowal - Zakrecamy w trzeci chodnik po lewej.

-Ja juz nie chce dinozaurow - wymamrotal Skorlinski. - Nakrece film o czyms innym.

-Jeszcze mi potem bedziesz dziekowal - Wedrowycz popchnal go.

Ruszyli betonowa rura. Spod nog w pewnej chwili wyskoczyl im szczur. Jakub nie scigal go. Wreszcie zatrzymali sie w miejscu oznaczonym na planie krzyzykiem.

-Gdzie jesteście? - zaniepokojony się biznesmen.

-Pod muzeum. - oświetlił szybko prowadzący do góry. - Wychodzi na ich podwórko.

-Tego już za wiele! Obrabiamy trupy, kradniemy dzieciom zabawki, a teraz pewnie włamiemy się do muzeum?

-Jak zgadłeś? No właz.

Po chwili znaleźli się na dziedzińcu.

-Jeśli mnie pamięć nie myli, pilnuje tego interesu jeden wartownik - mruknął egzorzysta. - Trzeba go będzie wyeliminować.

Z nogawki spodni wyjął kij bejsbolowy.

-Chcesz go zabić?

-No co ty. Po co? Chińska narkoza mu dam i tyle.

-Skąd masz taki ładny kij?

-Leżał na podwórku, pomyślałem, że niepotrzebnie się marnuje.

-Tak po prostu leżał?

-Ni. Obok leżał dres.

-Dres?

-Adidasa. W dresie był człowiek.

-A co on robił na twoim podwórku?

-Nie wiem. Zapomniałem zapytać, zanim wystrzeliłem - zeznał metnie. - W każdym razie teraz się przyda.

Ciecia znaleźli w stróżówce. Drzemał, a obok niego stały dwie opróżnione butelki po prycie.

-Sam się wyeliminował - Jakub zabrał mu pechek kluczy. - Rozsądny pacjent. No to do dzieła.

-Wyjątkowo nieetyczne - mruknął biznesmen i ruszył za nim.

Po chwili sforsowali drzwi od magazynu. Na solidnych drewnianych regałach stały dziesiątki kartonowych pudełek. Jakub mijał je obojętnie. Zatrzymał się dopiero na końcu

pomieszczenia, gdzie wstawione w stelaz stały obrazy. Spomiedzy nich wyjal niewielka plyte z brazu. Jej srodkowa czesc pokryto srebrem i wypolerowano.

-Mamy to - na obliczu egzorcysty zaplonal usmiech.

-Lustro secesyjne, udajace magiczne zwierciadlo mistrza Twardowskiego - Pawel odczytal przywieszke z opisem katalogowym.

-Ponies - Jakub obarczyl go plyta, a sam zabral sie za zamykanie zamkow.

Po chwili podrzucili klucze cieciowi i przez kanal opuscili goscinnie progi muzeum.

-Ale po co to wszystko? - jeknal biznesmen przygiety do ziemi ciezarem plyty.

-Przeciez chcesz miec dinozaury?

Ziemianka, w ktorej Jakub zainstalowal swoja bimbrownie, wygladala nieco dziwnie. Dziwnosc owa polegala na tym, ze na jednej ze scian zawieszono ciezka plyta z brazu. Czesc pokryta srebrem wypolerowali starannie radzieckim proszkiem diamentowym, aby lsnila jak lustro. Egzorcysta zapalil dwanascie swiec.

Skorlinski ubrany w zbroje wygladal co nie badz cudacznie. Pod przylbice wsadzil stara dwudziestozlotowke z Nowotkiem, bo bez przerwy spadala mu na oczy. Dyskretny zapach nafty i swiezo wypastowanej skory niosl sie wokolo. Pieronsko ciezki miecz zarzucil na ramie. Jakub Wedrowycz ubrany w garnitur z jakiegos syntetycznego tworzywa, rodem z lat piecdziesiatych, takze wygladal nieco dziwnie.

-Uhr hakau seczech - wymamrotal. - Ommne idi soten...Rozmyte sylwetki na blasze...Odbicia plomykow swiec stawaly sie coraz bledsze, az zapadla ciemnosc. Nagle biznesmen poczul sie nieco lzejszy. Jakub zapalil zapalke.

-Dobra - powiedzial. - Udalo sie. Gdzies tu powinny byc drzwi.

-Jakie drzwi? - zdziwil sie Skorlinski. - Przeciez weszliśmy wlażem przez sufit?

Jakub zapalil kolejna zapalke i w slabym swietle ukazaly sie sciany zbudowane z glazow.

-Gdzie my u diabla jesteśmy? - zdziwil sie biznesmen.

-W swiecie rownoległym. Tak twierdzi Semen, a on jest uczonym człowiekiem, studiował jeszcze za cara na uniwersytecie. Gdzies tu sa drzwi. O sa!

Otworzył cieżkie, drewniane odrzwia. Wyszli na niewielki taras zbudowanego z glazow zamku. Wokolo ciagnely sie fantastycznie poszarpane, skalne turnie. Powietrze bylo czyste i chlodne.

-O zez k...- jeknal zakuty w zbroje. - To...

-Idziemy - Jakub ujal go pod ramie.

Przeszli przez dlugi korytarz i znalezi sie przed kolejnymi poteznymi wrotami. Jakub zastukal w nie kolatka z brazu.

Otworzyli im dwaj straznicy ubrani w kolczugi. Na widok obcego rycerza uklonili sie. Skorlinski dyskretnie kopniety przez towarzysza takze sie uklonil.

-Prowadzcie nas do krola - zazadal egzorcysta.

-Macie zaproszenie na audiencje? - zapytal jeden z wartownikow.

-Po co te formalnosc? Powiedzcie krolowi, ze Jakub Wedrowycz ze Starego Majdanu przywiozl wodke.

Jeden z wartownikow zniknal za zakretem korytarza, a po chwili wrocil i wykonal zachecajacy gest.

-Krol oczekuje, szlachetni panowie - uklonil sie w pas. Jakub usmiechnal sie.

-Stary nalogowiec. Siedz cicho, dopoki nie zapytaja - rozkazal biznesmenowi. - Zebys czego nie palnal.

-To jest swiat alternatywny, gdzie meteoryt nie uderzyl? - zapytal Pawel.

-Jaki znowu meteoryt? - Jakub, gdy czegos nie rozumial, latwo sie irytowal.

-No ten, od ktorego wyginely dinozaury. Znaczy tu jeszcze nie wyginely?

-Pozniej pogadamy!

Poprzedzani przez drugiego z wartownikow weszli do sali tronowej. Krol siedzial na tronie wykladanym zlota blacha i koscia sloniowa. Na glowie mial zlota korone, w rece dzierzyl stalowe berlo, a w drugiej zlote jablko. Ubrany byl w kolorowa szate z polyskliwego jedwabiu, a na nogach mial gumofilce.

Widocznie Jakub bywa tu od czasu do czasu - przemknelo przez glowe Skorlinskiemu.

Sluzba zaraz przyniosla dwa krzesla dla czcigodnych gosci.

-Witaj kumplu - powiedział krol, odkladajac berlo.

-Z czym przybywasz?

Jakub z torby wyjal litrowa flaszke ukraińskiej paprykowki.

-No przeciez nie przyjde do krola w odwiedziny z pustymi rekami.

Krol skinal na dworke i po chwili przed tronem stanal stolik ze szklankami i miska kiszonych ogorkow.

-Zdrowie waszej wysokosci - powiedział Jakub, wznoszac pierwszy toast.

-Zdrowie wielkiego czarnoksiężnika Jakuba - krol wzniosl drugi toast.

-Niech zyje fizyka fald czterowymiarowej, zakrzywionej przestrzeni nieeuklidesowej - przepil Skorlinski.

-O czym mowisz czcigodny rycerzu? - zdziwil sie wladca.

-Pije za czary, ktore nas tu sprowadzily - wyjasnil Jakub. - A wiec jest taki problem. W naszym swiecie smoki zostaly niemal calkowicie wytepiene, a tradycja nakazuje, zeby kazdy pasowany na rycerza, czym predzej, stoczyl walke z taka bestia. Ten tu moj czcigodny towarzysz, sir Pawel, juz od dziesieciu lat przeczesuje lasy, gory i bagna naszego swiata w poszukiwaniu bestii. I caly czas bezskutecznie,

-Smokow ci u nas dostatek - usmiechnal sie krol, dolewajac do szklanek. - Z radoscia odstapimy jednego z nich, abys drogi gosciu mogl wypelnic wasza tradycje...

-Dziekuje - powiedział wzruszony Skorlinski, ktoremu po czwartej szklance zaczelo wydawac sie, ze faktycznie jest rycerzem.

-Problem jest bardziej zlozony - wtracil sie Jakub. - Moj przyjaciel nie jest jedynym, ktorego neka ten problem.

-Potrzeba wam wiecej smokow - zafrasowal sie krol. - To moze zagrozic ich populacji w naszym ekosystemie...

-Planowalismy schwytac kilka malych i przeniesc je do nas - sprecyzowal zadania Jakub. - Tam moglyby sie rozmnozyc i za kilka lat, gdy odtworzymy nasze stada potworow, tradycja znowu bedzie mogla rozkwitnac.

-Zamierzenia wasze sa bardzo szlachetne - powiedział krol. - Jednak sami musicie zrozumiec, ze smoki sa zwierzyna niezwykla i kazdy walczacy z nimi musi wniesc do skarbcza krolewskiego stosowna oplata...

Jakub usmiechem dal do zrozumienia, ze docenia dbalosc o finanse wladcy.

-Nie dysponujemy miejscowa waluta - powiedzial.

-Ale sadze, ze sie dogadamy.

Z torby wyjal nieco sfatygowany dres i pare adidasow. Krol w zadumie zbadal fakture ubioru. Fakt, ze tkanina rozciaga sie i kurczy, wzbudzil jego zainteresowanie.

-Dziurawy troche - zauwazyl.

-Nalezal do bardzo meznego wojownika - wyjasnil egzorcysta. - Stoczylem z nim dluga i wyczerpujaca walke.

Krol w zadumie przelozyl palec przez jedna z licznych dziur po kulach znajdujacych sie na plecach dresu.

-Zaszedles go od tylu? - zdziwil sie.

-Ni, gdy zostal smiertelnie raniony, na plecach zaczely wyrastac mu kolce - zelgal blyskawicznie egzorcysta.

-Do tego dolozymy jeszcze magiczny ogien - pstryknal zapalniczka.

Krol usmiechnal sie i dolal wodka do szklanek.

-Mysle, ze dojdziemy do porozumienia - powiedzial.

-Ile malych smokow bedzie wam potrzeba?

-Dwanascie. Zazwyczaj jest tuzin w miocie?

Krol powaznie kiwnal glowa, potwierdzajac wiadomosci Jakuba.

-No, to umowa stoi - egzorcysta wyciagnal dlon. Uscisneli sie.

Nastepnego dnia switem, na goscincu prowadzacych ku gorom, pojawilo sie dwu jezdcow na koniach. Pierwszy jezdziec ubrany byl w blyszczaca zbroje, a przez plecy przerzucony mial dlugi i paskudnie ostry miecz, wykuty z resoru od Stara. Obok na koniu jechal staruszek w samych slipkach (garnitur z syntetyku przegral poprzedniego wieczora, grajac z krolem w karty). Na szczescie bylo cieplo. Przy siodle dyndala mu torba "z wyposazeniem". Za jezdcami snul sie w krystalicznie czystym powietrzu smrod nafty i przetrawionego alkoholu.

-Nadal nie wiem, czy to byl najlepszy pomysl - powiedzial Skorlinski w zadumie, lustrujac wzrokiem posepne szczyty.

-Bedziesz miał dwanaście dinozaurów praktycznie za darmo - powiedział Jakub. - Jeśli wolisz wywalić w błoto miliony dolarów to proszę bardzo, możemy zawrócić.

-To nie to, ale nie pomyślałeś czasem, że małe dinozaurzaki mogą mieć mamusie?

-E, to nie są stadne zwierzęta. Zresztą, będziemy się martwić, jak dojedziemy. O ile dojedziemy...- mruknął, widząc trzech oprychów uzbrojonych w maczugi. Tarasowali dalszą drogę.

-I co dalej? - jęknął biznesmen.

-Jak to co? Poucinaj im głowy mieczem.

-Jestem pacyfista!

-No to nas zaraz spacyfikują - westchnął Jakub. - E, wy tam, zejście nam z drogi, jesteśmy potężnymi czarownikami - krzyknął.

Oprychy rozesmieli się ponuro.

-Daj pistolet - powiedział do Skorlinskiego.

-Zostawiłem w marynarce - poklepał się po pancerzu. Zabrzmiało to bardzo ponuro, a nawet trochę pogrzebowo. Egzorcysta westchnął i z torby wyciągnął rakiety.

-Zejdźcie nam z drogi, bo rzucę w was kulą ognia - zagroził.

-Czary to tylko zabobon. Czarownicy są hochsztaplerami, podtrzymują w nas strach przed siłami lewej strony mocy, żebyśmy się ich bali i płacili podatki - oświadczył z godnością najwyższy z bandytów, zapewne będący przywódcą.

-Ateisci - mruknął Jakub.

-Co to jest lewa strona mocy? - zdziwił się Paweł.

-Taki lokalny zabobon.

Jakub wystrzelił rakiety, a potem razem ze Skorlinskim obserwowali, jak trzech napastników wspinają się bez żadnych zabezpieczeń po prawie pionowej skale. Wyglądało na to, że bardzo im się spieszy.

-Miejscowi czarownicy powinni nam przynajmniej podziękować - powiedział egzorcysta. - Właśnie trzech agnostyków ponownie uwierzyli w czary.

-Agnostycy to nie...

-W drodze - Jakub popędził swojego wierzchowca. Przed wieczorem dotarli do niewielkiej karczmy na przełęcz. Jakub za długopis kupił sobie skorzany kaftan i samodziałowe portki. Za następny długopis zjedli suta wieczerze.

-Świat nie jest taki zły - powiedział Skorlinski, ściągając z siebie zbroję.

Pokoik był niewielki, gustownie urządzony. Dwie prycze zbite z desek, kulawy stolik, okno przeszklone gomulkami, świeca w lichtarzu...Jakub przyssał się do dzbana z miodem.

-Nie odkryli tu jeszcze destylacji - wyjaśnił. - A krolisko lubi, oj lubi wypić.

-Naucz ich - zaproponował Skorlinski. - Niezła kasa zarobisz.

-E, po co rece brudzić. Jeszcze się zalkoholizują jak ludzie z Wojsławic.

-Słuchaj, czegoś tu nie rozumiem - powiedział Paweł - Jak niesliśmy tą zbroję korytarzem, to była pieronko cieźka, a teraz jest znacznie lżejsza. Ja też czuję się lżejszy. Od czego tak?

-Semen twierdził, że tu jest mniejsza planeta i grawitacja słabsza. A powietrze dla odmiany gęściejsze...

-Byłeś tu z Semenem?

-A, owszem. Pare razy laziłem po tej krainie. Wakacje sobie zrobiliśmy. Tu taniocza. Trzeba tylko zabrać długopisów, breloczki z hologramem, świecących papierków i gotowi za to złotem płacić. A pisemka z gołymi kobitkami...aż im oczy wypadają. Tylko potem te mety z Muzeum zaiwanili mi lustro i kicha. Na razie pora spać...

-Słuchaj, jeszcze jedno pytanie. Dlaczego tu wszyscy mówią po polsku?

-Przecież jakby mówili inaczej, to byśmy się z nimi nie dogadali! - ofuknął go Jakub.

Ponure wycie niosło się pośród gór. Drzwi pokoju otworzyły się z rozmachem. Jakub i Skorlinski obudzili się od razu. Obok nich przebiegł karczmarz i zatrzasnął okiennice.

-Co się stało? - zaniepokoił się biznesmen.

-Ida - powiedział karczmarz i pobiegł zatrząskiwac pozostałe okiennice.

-Co idzie? - zapytał bezradnie Jakuba.

-Elati - wyjaśnił Wedrowycz.

Skorlinski poskrobał się po głowie, a potem założył na wszelki wypadek zbroję.

-Co to sa elati?

-Trudno jednoznacznie okreslic - mruknal egzorcysta. - Chyba ogniwo posrednie miedzy Ghulami i Zombie.

-Zombie!

Wyszedl do glownej sali, a Skorlinski bezwiednie podazyl za nim. Przestraszeni goscie siedzieli zbici w kupke. Z zewnatrz slychac bylo ponury rechot przypominajacy chichot hien.

-Duzo ich? - zapytal Jakub.

-Ze dwadziescia sztuk - powiedzial ponuro karczmarz. - Ale moze wiecej.

Na widok zakutego w zbroje Skorlinskiego jego twarz rozjasnila sie w usmiechu.

-Pan jest rycerzem. Chwala bogini Nefet!

-Co z tego, ze jestem rycerzem? - zdziwil sie biznesmen. Ludzie popatrzyli na niego z nadzieja i oczekiwaniem.

-Idz i wyszlachtuj to talatajstwo - wyjasnil mu Wedrowycz. - Smialo, zbroi nie przegryza.

Skorlinski popatrzyl na ludzi i w ich oczach wyczytal wyrok.

-Pojde i zobacze, co da sie zrobic - powiedzial. Ktos usluznie podniosl belke zabezpieczajaca drzwi.

Pawel ostroznie wyszedl przed karczme. W ciemnosci niewiele bylo widac. A potem, pomiedzy drzewami, zapalila sie jedna para czerwonych oczu, a po chwili nastepna i jeszcze jedna. Zanim doliczyl do dwudziestu, bylo ich zdecydowanie zbyt wiele. Ruszyl wzdluz sciany i poslugujac sie wechem, odnalazl wychodek. Popatrzyl z niepokojem na liche drzwi. Moze dozyje do rana, jesli sie zabarykaduje w srodku...

Upiorny chichot ponownie rozdarl ciemnosc. Nieoczekiwanie obok pojawil sie Jakub Wedrowycz.

-Jak ci idzie? - zapytal. - Zaszlachtowales juz jakiegos?

-Jeszcze nie - wyszczekal zebami rycerz. - Moze same sobie pojda?

-Ech, dupa wolowa z ciebie, a nie biznesmen - warknal. - Zatkaj uszy!

Z torby wyjal granat F1 i wyrwawszy zawleczke, cisnal w strone największego skupiska czerwonych ślepi. Granat eksplodowal, odlamki zagwizdaly we wszystkie strony.

-Tu powietrze jest gęściejsze, więc wybuch ma mocniejsze skutki - wyjaśnił. - Chodź, dobijemy rannych.

Egzorcysta oświetlał latarką wijące się w konwulsjach istoty, a rycerz dzielnie przebijal je mieczem. Z karczmy wylegli uzbrojeni w pochodnie i tasaki goście.

-Zwycięstwo - krzyknął karczmarz - trzy razy hurra na cześć bohaterów!

Skorlinski ciekawie przyjrzał się jednej z zaszlachtowanych przez siebie postaci. A potem zemdlał.

Waska ścieżka piała się w gore. Skorlinski jechał z cicha. Po festynie z okazji zwycięstwa bardzo bolała go głowa. Jakub jechał w ślad za nim i pociągał z gasiorka złocistego klina. Nad gorami krążyły jakieś cienie. Zapewne ptaki, a może pterodaktyle. Nieoczekiwanie przebyli przełęcz i ich oczom ukazał się kamienny most rozpięty nad potokiem.

-Kurde - stwierdził Jakub, opuszczając dzban. Na moście stał obcy rycerz w czarnej zbroi.

-Co to jest? - jęknął biznesmen.

-Psychopata z mieczem - wyjaśnił egzorcysta. - Czasami się tu trafiają. Przypuszczam, że aby jechać dalej, trzeba go będzie pokonać - westchnął.

-Mam z nim walczyć?

-Jasne. Przecież to ty nosisz zbroję.

-Możemy się zamienić!

-Dinozaurów się zachciało. Wyskakuj z tych blach, tylko z życiem.

Czekając aż Skorlinski się rozbierze, zaczął coś majstrować przy mieczu. Określił rekojesc plastrem opatrunkowym i w zadumie popatrzył na swoje dzieło. A potem uśmiechnięty ubrał się w zbroję i wsiadł na konia. Ujął miecz w dłoń. Tajemniczy rycerz na moście dobył swojego. Jakub wydał z siebie ponury okrzyk bojowy złożony z różnych wojsławickich powiedzonek i ruszył galopem na spotkanie wroga. Paweł obserwował z niepokojem szarżę. Ku jego zdumieniu ledwie egzorcysta dotknął mieczem broni tamtego, wrog padł jak podcięty i zwaliwszy się z konia, zastygł w bezruchu.

Podjechał ostrożnie do miejsca potyczki. Jakub właśnie szukał kieszenie powalonego.

-Jak tyś to zrobił? - zdziwił się biznesmen.

-Oł, jak - egzorcysta pokazał porażacz elektryczny podczepiony zrecznie do klingi swojego miecza. - Jak mu wpakowałem trzy tysiące wolt, od razu się uspokoił.

-Ty to masz glowe - powiedzial biznesmen z podziwem. - Nie bedzie nas gonil?

-Nie bedzie - uspokoil go Jakub.

Z torby wyjal dwie tubki kleju poxipol i wymieszawszy, nakapal we wszystkie zawiasy zbroi czarnego rycerza.

-Zanim sie z tego wyplacze, uplynie troche czasu - usmiechnal sie zlosliwie.

-A jesli sie nie wyplacze?

-Sepy beda mialy konserwe. Ruszyli dalej pod gore.

Nocowali w korycie wyschnietego strumienia.

-Chyba juz jestesmy niedaleko - zauwazyl biznesmen.

-Dlaczego tak sadzisz?

-Rozgladasz sie po okolicy, jakbys czegos szukal.

Jakub kiwnal powaznie glowa.

-Bedziemy potrzebowali przynety - powiedzial. - Najlepsza bylaby dziewczica, ale uwazam, ze to byloby troche nieetyczne, ostatecznie kobieta tez chce zyc...Mam nadzieje, ze niebawem natrafimy na pasterzy. Kupimy od nich jedna owce.

-Pasterze pewnie sa niepismienni. Oddadza owce za dlugopis?

-Mam miejscowa walute - egzorcysta pokazal pekata sakiewke. - Zabralem temu czarnemu swirowi.

-Jesli bedziemy tedy wracali, to moze bedzie chcial ja odzyskac.

-I tak bedzie chcial, wiec nie ma to wiekszego znaczenia.

Skorlinski zasypiajac, widzial jak Jakub przelicza dziwne, trojkatne zlote monety pokryte hieroglifami.

-Dinozaurow mi sie zachcialo - mruknal. Od zapachu nafty bolala go glowa.

Pasterzy spotkali nastepnego dnia rankiem.

-Potrzebuje jednej owcy - wyjasnil Jakub. - Dobrze zaplace.

Przywodca pasterzy usmiechnal sie po slowiansku.

-Ceny owiec poszły w górę. Mamy spore straty w tym roku - powiedział. - To będzie dużo kosztowało...

Jakub rzucił mu sakiewkę. Pasterz rozsuplał ją i przeliczył zawartość. - Ile owiec potrzeba?
- zapytał rzeczowo. - Dziewiec wypasionych czy tuzin nieco chudszych?

-Jedna - wyjaśnił egzorcysta. - A za resztę mamony informacje.

-Jaka informacje?

-Straty tegoroczne są spowodowane działalnością dużych, zielonych, latających paskud?

-Tak.

-Gdzie najchętniej zerują?

-Widzieliśmy jedną samice. Chyba ma młode, bo atakowała niemal codziennie.

Jakub skinął poważnie głową i wydobyl z torby sztabówkę drukowaną na pergaminie. Pasterz bez wahania wskazał odpowiednie miejsce.

Owca beczala rozpaczliwie, gdy Wedrowycz pakował jej coś do gardła. Wreszcie zostawił ją uwiązana na środku łączki, a sam cofnął się do Skorlinskiego ukrytego pod drzewami.

-Musimy sobie wyjaśnić jedną rzecz - odezwał się ponuro biznesmen. - Az do tej pory mówiles o dinozaurach. Teraz wyjeżdżasz ze smokami. To na co w końcu polujemy?

-To są na dobrą sprawę dinozaury - powiedział Jakub. - Tylko, że latające...Amputujesz skrzydła i beda jak u Spielberga.

-Niech cię cholera. Już lepsze byłyby te czarnobylskie mutanty, przynajmniej nie musielibysmy się taki kawał fatygować.

-To trzeba było z Kleszczakiem gadac - zezłoscil się Jakub. - Nawet przez granice by ci je przerzucił. A tak, mnie narazasz...

-Dobrze, już dobrze - mruknął pojednawczo. - A nie trzeba było tej owcy nadziac smoła i siarka?

-Ach ty. Za dużo bajek się w życiu naczytales.

-To może granat wsadzić? Po co ci ta owca?

Zanim Jakub zdążył odpowiedzieć, z nieba runął wielki, oblesny, zielony smok i porwałszy nieszczęsne zwierze, wznosił się w niebo.

-Lal - westchnal Skorlinski. - Mozna by krecic nie tylko Park Jurajski III, ale nawet przygody szewczyka Dratewki.

-To juz twoj problem, co nakrecisz. W droge. Wyjal z kieszeni niewielki przyrzad.

-Dokad? - zdziwil sie biznesmen. - Skad wiesz, gdzie polecial?

-Poleciala. To samica. I to chyba kotna. A gdzie poleciala - usmiechnal sie, pokazujac urzadzenie. - Wsadzilem w owce pluskwe taka, jak gliniarze pakuja podejrzanym autom. Teraz doprowadzi nas prosto do gniazda.

Prowadzeni slabnacymi sygnalami pluskwy przedzierali sie trzy dni przez wawozy i przepascie. Wreszcie zatrzymali sie na krawedzi bardzo glebokiego urwiska. Jakub zajrzal do srodka.

-Gniazdo - powiedzial ucieszony. - No, to teraz sie oblowimy.

Skorlinski popatrzyll do dziury.

-Sa - mrukna - dziesiec malych. - Widac slaby miot.

-Spoko. Oskara masz juz w kieszeni. Trzeba bedzie tylko troche popasc sterydami i obciachac w diably te niepotrzebne skrzydla.

Rozwinal zwoj liny i spuscil do srodka. - Dziwne - westchnal biznesmen. - Czuje, ze o czyms zapomnialem.

-Nie wybierales nigdy smoczat z gniazda, stad ta trema - wyjasnil egzorcysta. - Zostaw tu te zbroje, tylko bedzie zawadzala.

Spuscili sie na dol. Mlode smoki byly wielkosci mniej wiecej jamnikow. Bez protestow daly sie zlapac i wpakowac do worka.

-To by bylo na tyle - powiedzial Jakub. - Wsiakamy. Nieoczekiwane cos zaslonilo slonce.

-Wiem juz o czym zapomnialem - powiedzial biznesmen. - Te smoki maja mamusie.

Z pochwy na plecach wydobyl miecz i stanal w postawie bojowej. Jakub popatrzyll na niego z uznaniem, a potem zlapal worek i zaczal wspinac sie do gory. Smoczyca nadleciala lotem nurkujacym. Biznesmen uskoczyl w bok i drasnal ja mieczem w podbrodek. Potwor, machajac ciezko skrzydlami, zakrecil i ponownie ruszyl w jego strone. Nieoczekiwane leb bestii stanal w plomieniach.

-Na gore - krzykna Jakub z wierzcholka urwiska. Pawel pospieszyl w jego slady. Smoczyca spadla na dno doliny. Plonela jak pochodnia.

-Kurcze, jak ja to zrobiłem? - zdziwił się.

-Rozcharatała jej przypadkowo zbiornik z glejem - wyjaśnił egzorcysta ochoczo.

-Z czym?

-Glej. To taki naturalny napalm. Dostępną, zawiera wiele koloidów, zapala się w kontakcie z powietrzem. Miała pełne wole i na twój widok zaczęła go przetaczać do kanałów jadowych. Gdy trafiła, zaczęła wyciekać na zewnątrz i zapaliła się.

-Ekstra - westchnął biznesmen. - To co, do domu? Egzorcysta energicznie kiwnął głową i podniósł worek.

Epilog

Lomot do drzwi wyrwał Jakuba Wedrowycza ze snu. Otworzył leniwie oko, ale zaraz je zamknął. Jakis sukinyś w mundurze akurat zapalił światło. -Oto nakaz ścisłej rewizji podpisany przez prokuratora - darł się Birski. - Zaraz wyswietlimy wszystkie twoje grzeszki.

-Kurde, nie wolno po nocy - jęknął egzorcysta. - O co jestem oskarżony?

-Szefie, znalazłem coś dziwnego - wrzeszczał ktoś z sadu.

Birski poprowadził Jakuba w tamtą stronę. W głębokim dole leżało dziesięć małych, zdechłych smoków. Ciężenie w naszym świecie okazało się dla nich zbyt silne.

-Klu-so-wni-ctwo! - huknął Birski. - Ty zgnily recydywisto. Piec lat jak obszył.

-Co to jest? - zagadnął Jakub, wskazując padline.

-Smoki...- posterunkowy stracił nieco pewność siebie.

-Świetnie. Proszę to wciągnąć do protokołu. Prowadzący rewizję znajduje się w stanie naprężenia jakimis prochami.

-Ja też to widzę - zauważył policjant. Jakub popatrzył na niego zimno.

-Takich zwierząt nie ma. A jak zwierząt nie ma, to znaczy, że nie można ich klusować. Lepiej zastanówcie się, jak to będzie wyglądało w raporcie. Zdechłe smoki znaleźliście - parsknął. - Kto w to uwierzy?

Reka Birskiego opadła. W tym momencie z wnętrza domu wyszedł aspirant Rowicki.

-Szefie, znaleźliśmy lustro ukradzione z muzeum i broje hrabiego Tytusa.

Na twarz Birskiego wypłynął szeroki, szczery, słowiański uśmiech. Jeszcze szerszy i

bardziej słowiański niż Jakubowy.

-Rowicki, masz awans.

-Ku chwale ojczyzny. A za co?

-Udowodniłeś właśnie w sposób nie budzący zastrzeżeń, że ten cały Wedrowycz to zwyczajna hiena cmentarna!

Jakub jęknął.

-No, co powiesz? - zagadnął Birski. - Skąd masz tą broń?

-Wrogowie podrzucili - mruknął.

W barakowozie biznesmen Paweł Skorliński pił truskawkową prytę z ukraińskim biznesmenem Josifem Kleszczakiem.

-Mutasy czarnobylskie będą prosto na plan filmowy. Celnicy już przekupieni. Znaleźliśmy chyba dokładnie takie, o jakie chodzi.

Biznesmen popatrzył na fotografię przedstawiającą młodego stegozaura czochrającego się o wrak UAZ-a.

-Po prostu znakomite - powiedział. Truskawkowa prytę zaczynała mu smakować.
Reprywatyzacja

Wychwalona w 2001 roku reprywatyzacja pozwoliła naprawić pewne krzywdy dziejowe. Niestety, niejako przy okazji naprawiono też krzywdy, które w żadnym razie nie powinny zostać naprawione.

Zapadał wczesny zimowy zmrok, gdy przed urzędem gminy w Lesniowie zatrzymał się mercedes o przyciemnionych szybach. Wójt gminy popatrzył lekko zaniepokojony przez okno. Z tyłu wozu wysiadł wysoki mężczyzna w kapeluszu, odziany w długi, czarny płaszcz. Szczeknęły zatraskiwane drzwiczki. W chwili później ktoś zapukał do drzwi gabinetu.

-Proszę - powiedział wójt.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich tajemniczy przybysz.

-Czym możemy służyć? - zagadnął wójt, wpatrując się w nieoczekiwanego petenta. Czarny płaszcz, rozpięty na piersi, odsłaniał śnieżnobiałą koszulę z idiotyczną, babską koronką przy guzikach.

"Pedal jaki albo transwestyt" - pomyślał wójt.

Oczy nieznajomego jarzyły się słabym, czerwonym poblaskiem, a skóra była nienaturalnie blada.

"Albinos transwestyt" - uzupełnił swoje obserwacje wojt.

-Jestem hrabia Michał Kokuszew - przedstawił się gościowi. - Na mocy ustawy reprivatyzacyjnej powinienem odzyskać pałac należący do mojej rodziny, a znajdujący się w tej gminie.

Gdy mówił, wojt zaobserwował coś dziwnego. Gość wyraźnie miał coś nie w porządku z zębami.

-Oto niezbędne dokumenty urzędowe - hrabia położył na blacie biurka kilka papierów. Jego dłonie były nienaturalnie wysmukłe.

Wojt przejrzał pobieżnie plik postanowień sądu i komisji reprivatyzacyjnej.

-No cóż - powiedział. - Mogę prosić o jakiś dokument tożsamości?

Hrabia wyjął z kieszeni amerykański paszport i polski dowód osobisty.

-Wszystko się zgadza - powiedział urzędnik, oddając dokumenty przybyszowi. - A zatem miło mi powitać pana w naszej gminie.

Wstał zza biurka i kordialnie ścisnął dłoń hrabiego. Ten odpowiedział uściskiem. Wojtowi aż świeczki stanęły w oczach. Siła wysmukłej dłoni była nieprawdopodobna.

-Miło wreszcie wrócić na stare smieci - powiedział hrabia. - W jakim stanie jest pałac?

-Hmm...Z tego, co wiem, był tam młyn, potem zakład poprawczy, potem koszary Zomo, a jak zaczęły się walić sufity, to przekazano go gminie. Była tam chlewnia, ale mury zaczęły pekac, wiatr wiał przez okna i świny się zaziębiały...No to chlewnie skasowali. I tak stoi od dwudziestu lat - wyjaśnił wojt. - Do zamieszkania się niezbyt nadaje, ale sądzę, że za dwa albo i trzy miliony dolarów będzie można przywrócić mu świetność.

Gość uśmiechnął się dość paskudnie.

-Trzeba będzie ustalić winnych dewastacji cennego obiektu zabytkowego - powiedział.

Wojt poczuł liznięcie chłodu na karku.

-Przyjadę w przyszłym tygodniu - dodał gość i odszedł.

Wojt popatrzył na zegarek. Dzień pracy dobiegł końca. Poskładał papiery i wyszedł, starannie zatrzaskując za sobą drzwi. Niemal dokładnie naprzeciw urzędu gminy znajdował się wioskowy pub i tamże skierował się urzędnik. Po wizycie tajemniczego gościa musiał

jakos odreagowac. Najlepiej nad kufelkiem piwa.

Wszedl do sali, w ktorej siedzialo niemal pol wsi i przez opary dymu z najposledniejszych papierosow przedarl sie do baru.

-Piwo - poprosil, kladac monety na ladzie.

-Cos ty taki przygnebiony? - zapytal barman, nalewajac do litrowego kufila pieniace sie piwko.

-Chlopy, posluchajta - wojt uderzyl dlonia w lade. - W ramach reprivatyzacji oddano naszej wsi hrabiego. W przyszłym tygodniu zamieszka w palacu.

Chlopstwo popatrzylo na niego bez wiekszego zainteresowania i powrocilo do konsumpcji pryty.

-To dobrze czy zle? - zapytal barman.

-A cholera wie. Palac mu oddali, ale ziemi nie...Znaczy, panszczyzny nie bedzie. Palac zrujnowany, wiec i robota przy odbudowie sie dla naszych pewnie znajdzie. Sprowadzi kumpli, zeby hulac, to bedzie kupowal mieso, jajka, bimberek, ukraiński spirytus, moze i jaka dzioucha ze wsi dupa na kieckie zarobi...A jak sie jakas besia z takim dorobi, to i alimenty na dziecko placic trzeba...Wiadomo, i droge nowa bedzie musial zbudowac, bo mu sie na naszych wertepach zawieszenie w limuzynie oberwie...Same zyski, by sie wydawalo. Z drugiej jednak strony, dziwny z niego gosc...W bluzce z falbankami chodzi, rece z palcami dlugimi...

-Musi muzyk i pedal - stwierdzil barman. - To ponoc na zachodzie teraz popularne, zeby te dwa zawody polaczyc...

-Blady jakis, jakby z pierdla wyszedl i z zebami cos nie tak. Paradentozie chyba ma...

-Co ty, to przeciez na Zachodzie lecza od reki...Chyba...czekaj, muzyk i pedal i dziasla sie nie goja? Hifa ma, znaczy sie...Bo to u pedalow teraz popularne...

-Wodki - zazadal wojt.

Otrzymaawszy szklanke, szybko zdezynfekowal reke.

-Masz szczescie, bo to sie nie przenosi przez skore - powiedzial barman. - Tylko przez oczy, gebe i takie tam - wskazal kciukiem dolne partie ciala. - Chyba, ze wirus bedzie suszony. Wtedy jest bardziej zarazliwy...Ale jak, kurde, pedal, to niedobrze. Dziouchy nie zarobia, bo kumpli pewnie ma takich samych...I wode zanieczyszcza...To juz lepiej chyba bylaby panszczyzna.

-Panszczyzna? - ocknal sie drzemiacy w kacie stary Mikołaj. - Co wy gadacie o panszczyźnie?

-Reprywatyzacja jest. Hrabia wrocil - objasnil go wojt. - Ale panszczyzny nie bedzie, bo pol mu nie oddali, tylko palac.

-Kurde, pamietam panszczyzne - mruknal starzec.

-Gdzie tam, dziadku - parsknal wojt. - Przeciez to bylo jeszcze w XIX wieku zniesione...

-Akurat - mruknal staruszek. - Tu sie panszczyzne odrabialo do 1947...Do reformy rolnej.

A potem opadl na stol i znowu zasnal.

-Popieprzylo mu sie - westchnal barman. - A moze? Cholera wie, mysmy przeciez zza Buga po wojnie przyjechali...Ociec mi opowiadal, ze tu tylko szesc rodzin mieszkalo i hrabia w palacu, ale go wygonili jeszcze wczesniej...

-Z tych pierwobylcow to juz chyba tylko on zyje? - wojt spojrzal na starego Mikołaja i zamyslil sie. - Moze i faktycznie moglo tak byc. Wies daleko od powiatu, w lasach, ten hrabia tak sie tu zakonserwowal...

-Hrabia jak sie nazywa? - Mikołaj ocknal sie.

-Michal Kokuszew - wyjasnil wojt. Stary zbladl i przezegnal sie.

-Wrocil - powiedzial nieskonczenie ponuro. - No, to teraz da nam popalic. Nie trza bylo palacu psowac...

-To nie ten - uspokoil go wojt. - Trzydziestki nawet nie ma...Syn pewnie, gdzie tam syn, wnuk...

Stary przymknal oczy.

-Blady na gebie, w koszuli z koronkami chodzi i plaszczu czarnym na czerwonej podpince?

-No, tak ubrany dzis do urzedu zaszedl. Widac to rodzinna taka tradycja.

Mikołaj popatrzył ponuro na szklanke z reszta pryty.

-Juz po nas - mruknal. - Nie odpusci.

-Ano, trza leciec - wojt dzwignal sie ze stolka. - Zonka z kolacja czeka...

-A i dzieci ucaluj, poki je jeszcze masz - powiedzial starzec.

-Ty nie pierdol, Mikołaj! Ze nasi ojcowie troche palac zdevastowali, to nie znaczy, ze teraz nas wymorduje! - huknal na niego barman. - Za duzo pryty sie ozlopales. Wraca hrabia, beda w gminie inwestycje! A panszczyzna nie wroci. Nie te czasy. Idz juz do domu, na dzis jestes gotow!

Mikołaj poslusznie dzwignal sie zza stolu i poszedl w ciemnosc. Jednak nie poszedl do chalupy. Ruszyl na wzgorze, gdzie w zapadajacym zmroku bielaly popekane mury palacu. Ominal je, nieufnie patrzac w puste, ciemne, otwory okien. Za palacem niegdys byl park, ale stare deby wycieto na deski. Tylko solidnie wymurowana kaplica sterczala wsrod drzew. Starzec wszedl do srodka i zapalil stojacy na podlodze znicz. Odszukal ciezka klapę w podlodze i odwalil jaz wysilkiem. Przyswiecajac sobie, zszedl do krypty. Podniosl wieko pierwszej trumny. Stary kosciotrup spoczywal na zetlalej wysciolce z dlonia zacisnieta na solidnym, osikowym kolku, sterczacym spomiedzy zeber. Podobnie jego trzej sasiedzi. Ostatnia trumna byla najnowsza. W odroznieniu od poprzednich wykonano ja z zelaza. Wokolo krawedzi biegla wyrazna linia spawu. Wygladala na nienaruszona, ale staruszek nie dal sie zwiesc. Pchnal ja ostroznie. Trumna wydala mu sie podejrzenie lekka. Poslugujac sie laska jak lewarkiem, obrocil ja na bok. W dnie ziala dziura. Szpony rozkroily blache jak otwieracz konserwe. Krawedzie zdazyly zardzewiec, musialo wiec minac wiele czasu.

-Psia mac - warknal, zly na siebie. - Nie upilnowalem.

-Nie tacy probowali - rozleglo sie warkniecie. Podniosl glowe i zamarl z przerazenia. Na schodach stal hrabia Michal. Rozpiety, czarny plaszcz odslanial bialy gors i bryczesy do konnej jazdy, sam szczyt mody z roku 1882.

-Nie spodziewales sie mnie? - zauwazyl przybysz. - Widzisz, jaki los bywa przewrotny?

-Jak ci sie udalo? - wykrztusil pytanie.

-Panu, chamie, panu! - ryknal hrabia. - Jak to jak, patalachy, wiecie o wampirach tyle, co z glupich przedwojennych powiesci zeszytowych wyczytalicie. Osikowy kolek, smiechu warte. Kamizelke kolko-odporna mialem. A teraz sluchaj uwaznie. Z dawnej ludnosci zostales tylko ty. Nie powiem, swinie mi podlozyles z tym lutowaniem trumny, ale sklonny jestem ci wybaczyc. A raczej pozwolic, abys zmazal grzechy. Pojdziesz do mnie na sluzbe, gdy opanuje te dziure. A jak sie dobrze postarasz, to kto wie, moze za dziesiec, pietnascie lat sam awansujesz na wampira?

Mikołaj przypomnił sobie, jak kiedys pobierali mu krew. Na widok czerwonego plynu napelniajacego strzykawke zemdlal wtedy...Coz mial poczac, byl taki wzraliwy. Na mysl, ze mialby pic krew, zebralo mu sie na mdlosci. Pospiesznie lyknal kilka lykow pryty, aby zatrzec wzrazenie. I naraz poczul cieplo w zoladku i przyplyw odwagi.

-Spierdalaj - powiedzial do hrabiego.

-Po pierwsze, niech pan hrabia laskawie raczy odejsc - warknal przybysz. - Po drugie, co ty

sobie właściwie myślisz? Wyświadczam ci łaskę, na którą nie zasługuje nikt z twojego chamskiego rodu, a ty odmawiasz? Odmawiasz pomocy swojemu hrabiemu?

-A co? - Mikołaj odkrył, że po pięćdziesięciu latach od reformy rolnej jego lek przed arystokracją zupełnie znikł. - Tytuły szlacheckie to jeszcze za Piłsudskiego zniesli. Teraz wszyscy są równi. A to, że ci pałac oddają, to tylko czkawka historii.

-O rany, jeszcze jeden socjalista - westchnął hrabia. - Namnożyło się tego jak wszy. Ale jak nie chcesz, to trudno.

-A właśnie, że nie chce. Skonczyło się wasze panowanie. Teraz my, chłopcy, tu na swojej ziemi. Pałac może i odbudujesz, i co z tego? Wroca czerwoni po wyborach, to znowu rozpirzemy!

-Za dużo truskawkowej pryty - wydedukował wampir. - Nie na darmo nazywają ją mozgotrzepem...

Gdy mówił, Mikołaj dopił fiaskę i teraz z rozmachem trzepnął nią o kant trumny, przekształcając w śmiercionośnego tulipana.

-I będziesz tu sam, i będziesz musiał od nas zarcie kupować, a my ci ceny podsrubujemy! - wydzierał się Mikołaj. Resztki leku rozpuściły się wraz z mózgiem. - My tu teraz państwo. Wyniesiesz się albo z głodu zdechniesz!

-Zarcie - westchnął hrabia. - Jak się okazuje, oni nawet tych zeszytowych horrorów nie umieli przeczytać. A przecież zbudowałem we wsi trzyklasówkę...

-Możesz mi naskoczyć! - darł się Mikołaj. - Nic już nie możesz! Jesteś gówno!

Wampir podszedł i obwachał go.

-Fuj - mruknął. - Siarka, etanol, nikotyna...A do tego grupa AB...Co za swinstwo...

Odwrocił się na piecie i wyszedł z krypty, zamiatając płaszczem wielowiekowy kurz posadzki. Mikołaj lyknął jeszcze pryty i pokazał mu na palcach wysoce obraźliwy międzynarodowy gest.

Jakub Wedrowycz wedrował przez Wojsławice. Strasznie go korciło, żeby się czegoś napić. Nieoczekiwanie spostrzegł niewielkie zbiegowisko. Ludziska stali koło przystanku i dukając, czytali jakieś obwieszczenie. Stanął obok i już po chwili, bez konieczności wysiłania mózgu, dowiedział się, co też tam napisano.

Praca! - 50 budowalców natychmiast zatrudnimy przy odbudowie pałacu w Lesniowie...

-Lesniowo - mruknął Jakub.

Ta paskudna nazwa cos mu przypominala. 1947 rok, palac...I ten idiota Mikolaj, co chcial zostac egzorcysta, a nie potrafil nawet wypic duszkiem flaszki pryty. Wedrowycz poszedl do knajpy posluchac plotek. Siadl w kacie i dziabnawszy kolejke, wsluchal sie w szum rozmow.

-...hrabia wrocil, znaczy sie palac maja odbudowac, dlatego ogloszenia blady na gebie, gadaja, ze ma hifa...

Zrezygnowal z zamiaru wypicia kolejki. Namacal w kieszeni zlota dwudziestodolarowke i zdecydowanym krokiem ruszyl pomiedzy oplotki, gdzie w jednej z chat cala noc okna swiecily blekitnym blaskiem, padajacym od komputerowego monitora. Nacisnal klamke i wszedl bez pukania. Informatyk siedzial wlasnie i wgapial sie w monitor. Jak to zwykle on...

-Jest robota - powiedzial egzorcysta. Informatyk nie poruszyl sie nawet.

-A nie wierzylem, jak slyszalem, ze internet wciaga ludzi - westchnal Wedrowycz, a potem kozikiem przecial kabel od telefonu.

Informatyk obudzil sie.

-Co sie stalo?

-Awaria sieci. Lepper serwer w gminie wysadzil - warknal egzorcysta. - Jest robota - rzucil na blat zlota dwudziestke.

-Co potrzeba? - na widok zlota informatyk wrocil do rzeczywistosci.

-Musze miec papiery mistrza murarskiego, spawacza, hydraulika, ciesli, dekarza, glazurnika - wyliczyl. - I jeszcze takie tam zaswiadczenie, ze pracowalem przy renowacji zabytkow.

-A dyplom inzyniera nie jest potrzebny?

Jakub zamyslil sie.

-E, chyba nie, zreszta tam maja pewnie wlasnego. - Dobra - informatyk postukal palcami w klawisze.

-Co jeszcze?

-Takie tam turlutu...

-Curriculum Vitae - domyslil sie.

-No przeciez mowie.

Palce informatyka strzelaly w klawisze z szybkościa karabinu maszynowego. Po chwili

zaterkotala laserowa drukarka i wyplula z siebie szereg papierow opatrzonych stosownymi pieczatkami.

-A wiec byles jakimś budowlancem przez piecdziesiat lat, pracowales przy remontach na Wawelu, przy odbudowie Zamku Krolewskiego w Warszawie i wyjazdowo w Dreźnie. Tu sa opinie z poprzednich miejsc pracy, zaswiadczenia i tak dalej. I napisalem ci, ze jestes o czterdziesti lat mlodszy, bo dziewiecdziesiecioletniego dziadygi by nie przyjeli...

Egzorcysta przejrzał papiery i usmiechnal sie. Byly tak piekne, ze dolozyl jeszcze jedna dwudziestke. A potem ruszyl do chalupy. Przed szukaniem pracy nalezalo ucywilizowac wyglad.

Mieszkańcy gminy zebrali sie niechetnie w budynku remizy. Za oknem zapadal juz jesienny zmierzch, ale na placu budowy palily sie solidne lampy. Robole odbudowywali palac na trzy zmiany. Inni ukladali droge. Wojt gminy przybyl punktualnie. Towarzyszyl mu hrabia.

-Witajcie, mieszkańcy - zagail wojt. - Obecny tu nasz drogi hrabia...

-Precz z panszczyzna! - wrzasnal ktos dobrze ukryty za plecami sasiadow.

-Nie potrzebujemy tu zadnych hrabiow! - krzykнал ktos inny.

Na twarzy arystokraty odmalowal sie dziwny, drapiezny usmieszek.

-Hifa ma! - krzyknela jedna staruszka, spluwajac w strone podium. - Powietrze zatruwa...

-Pedal! - krzykнал jakis starzec. - Do dzieciaczkow sie nam dobierze.

-Ludziska, uspokojta sie! - hukнал wojt. Hrabia ujal w dlon mikrofon.

-Witajcie, poddani - powiedzial spokojnie. - Przejdzmy od razu do rzeczy. Wrocilem na dobre i wasze wrzaski mnie nie przegonia. Ustawa gwarantuje mi...

-To Zydy w Izraelu te ustawe wymyslili! - zaskowyczala jakas babina.

-A Kwasniewski podpisal!

-To Zyd! - wrzasnal ktos inny.

-Precz z komuna! - wydarl sie ktos, ale inni zaraz go uciszyli.

-Wroca czerwoni, to na widlach oknem wyniesiemy - odgrazal sie staruszek. - Aby do wyborow...

Hrabia nieznacznym ruchem podkrecil glosnosc mikrofonu do konca skali.

-Juz zyskaliscie na moim powrocie. Zbudowalem wam droge do wsi, za dwa dni robotnicy zostana przerzuceni do kopania wykopow pod rury kanalizacyjne, na wzgorzu bedzie elektrownia wiatrowa, co oznacza tanszy prad...- jego spokojny glos przebil sie przez wrzawe.

-W dupe sobie, pedale, wsadz kabel z pradem! - krzyknal ktos.

Wojt popatrzył na hrabiego i bezradnie wzruszył ramionami.

-A dla waszych dzieciaczkow zorganizuje we wsi liceum - dokonczyl hrabia.

-Ty pedale, ty Zydzie! - wydarła sie hoza niewiasta. - Dzieciaki to sobie mozesz w Ameryce lapac, a od nas sie odwal!

-Widze, ze nie dojdziemy do porozumienia - westchnal arystokrata. - Szkoda.

W tylnym rzedzie mala dziewczynka pociagnela ojca za reke.

-Tatusiu, moge juz rzucic tego zdechlego kota?

Tlum zafalowal groznie, koty i jaja zaswistaly w powietrzu. Hrabia powoli wycofal sie i wyszedl wyjsciem dla artystow.

Jakub Wedrowycz szedl niespiesznie po rusztowaniu. Przejrzal sie w kawalku stluczonej szyby. Wlosy ufarbowane na czarno i przyciete brwi odmłodzily go o dobre czterdziesti lat. Zmarszczki usunal za pomoca kilkuset podskornych zastrzykow z pszczelego wosku. Jego wladcze spojrzenie przeszywalo robotnikow na wylot. Z kieszeni wyjal suwmiarke i zbadal grubosc spoiwa pomiedzy ceglami.

-Malinowski! - huknal.

Strusie jajko, ktore wypil przed wyjazdem z Wojslawic, wzmocnilo jego glos.

-Slucham, brygadzisto - Malinowski stanal przednim, mnac czapke w rekach.

Brygadzista Jakub przez trzy dni zdazyl sobie wyrobic renome czlowieka twardego i nieustepliwego.

-Co to jest, psi synu? - wskazal palcem zaprawe.

-No, wapno - jeknal robot.

-Grubosc, matole. Mialo byc 0,9 centymetra, a ty dales 1,03! Za taka fuszerke by cie w morde walnac wypadalo.

-Przepraszam - robot wtulil glowe w ramiona.

-Swoje dzieci bedziesz przepaszal! Zeby mi to bylo ostatni raz!

Na plac budowy wtoczyla sie ciezarowka z ceglami. Egzorcysta zeskokczył z rusztowania. Robole juz spieszyli, gotowi wyladowac towar. Zatrzymal ich wladczym gestem reki.

Z paki zdjal jedna cegle. Dostawca wlasnie wyszedl z szoferki. W rece trzymal papiery.

-Co to jest? - Jakub podsunal mu cegle pod nos.

-No, cegla - wyjasnil kierowca.

-To jest gówno, a nie cegla! - syknal. - To ma byc kolor? Nie dopiekliscie, trzeba bylo dwa dni dluzej w piecu potrzymac. I dac wyzsza temperature przez pierwsze dni.

-Mnie to nie obchodzi. Przywiozlem i podpisujcie. Egzorcysta bez wysilku zlamal cegle w dloniach. Robole cofneli sie z respektem.

-Zabieraj sie z tym i powiedz temu kutasowi dyrektorowi, ze jak jeszcze raz przysle taki szmelc, to sobie poszukamy innego dostawcy.

Kierowca popatrzył na przelamana ceglowke i bez slowa wsiadl do szoferki. Wykrecil i odjechal, jakby go wszyscy diabli gonili. Jakub z zadowoleniem przechadzal sie po placu. Budowlancy schodzili mu z oczu jak mogli. Stanal kolo baraczku i zaczal ich liczyc. Przeliczyl dwukrotnie, sprawdzil na wszelki wypadek na palcach. Za kazdym razem brakowalo mu dwu. Wszedl wiec miedzy sagi drewna. Faktycznie, przeczucie go nie mylilo. Dwaj pracownicy siedzieli i wlasnie przymierzali sie, by rozpic litrowa flaszke ruskiego spirytusu.

-Ha, bumelanci! - huknal na nich. - Dawac te flaszke migiem!

Oddali mu przestraszeni i skulili sie, oczekujac reprimendy.

-Od ruskich kupujecie, zamiast od wlasnego kierownika! - huknal. - Granda! Na tej budowie ja mam monopol na wode. Zreszta, Ruscy oszukuja. Pewnie kupiliscie flaszke zwyklej wody, a nie spirytus...

-Mnie tam Ruscy nigdy nie oszukali - wtracil jeden z pracownikow niesmialo.

-Milczec! - huknal na nich.

Odkrecil plastikowy korek, a potem przechylil szyjke do ust i wygulgal od razu polowe. Gardlo, wygarbowane roznymi wynalazkami, poczulo tylko mile laskotanie. Oderwal szyjke od ust i zakrecil korek.

-Widzicie, zwykla woda - powiedzial. - A teraz won do roboty!

Zebranie trwalo. Wojt otarl twarz z rozbryznetego jajka. Na szczescie walneli go

zwyczajnym. Bal sie pomyslec, co by sie stalo, gdyby tak oberwal smierdzacym.

-Ludziska, uspokojta sie - powiedzial przez porzucony przez hrabiego mikrofon. -
Zobaczcie. Nie bylo drogi, jest droga. Nie bylo liceum, bedzie liceum, palac w ruinie, za
pare tygodni bedzie jak nowy.

-Dla siebie buduje! - wrzasnal ktos.

-Zdychaj, konfidencie! - gdzies z tylu nadlecial tort. Wojt uchylił sie.

-Precz z pedalami! - Precz z Zydami!

Wojt podkrecil glosnosc do konca skali i chrzaknal.

-Ludzie - powiedzial spokojnie. - Pomyslta logicznie. Nasz hrabia to pedal. Dzieci miec nie
bedzie. Mezowi majatku nie zostawi, u nas im nie wolno sie zenic...Znaczy, za maz
wychodzic? Cholera...

-Kapujem, do rzeczy! - krzyknal ktos z konca sali. Zdechly kot nadlecial nie wiadomo skad i
zaczepil sie na lampie u powaly.

-Hrabia jest chory. HIV go w piec lat posle do piachu. A co sie dzieje, jak nie ma
spadkobiercow? Ano majatek przejmuję gmina. Poczekamy cierpliwie i to wszystko bedzie
nasze!

Koty i jajka zamarly w rekach rzucajacych. Twarze ludzi rozjasnily usmiechy.

-Trzeba bylo tak od razu! Niech sukinsyn jeszcze mleczarnie postawi.

-I dom kultury!

-Ludziska, a moze by postawil nam czworaki? Przeciez hrabia musi dbac o swoich chlopow
- podsunal wojt.

-Uch ty durny, panszczyzny ci sie zachcialo? - koty znowu zawirowaly w powietrzu.

-Ech, nie, ale on z Ameryki, no to postawi nam amerykanske domki, a nie czworaki. A
panszczyzny sie niebojta, zniesiona...

-Bedziemy zyc jak w Ameryce! - wydarla sie kobieta w powyciaganym, poplamionym
dresie.

-Rany, ludziska, obrazil sie pewnie. Jeszcze majatek na kosciol zapisze! Trzeba go szukac i
przeprosic.

Hrabiego odnaleziono szybko. Stal przed knajpa.

-Na czesc kochanego hrabiego HIV HIV Hura! - wydarl sie barman.

Po chwili wiwatowali wszyscy. Hrabia wyjal z kieszeni portfel. Wydobył z niego plik banknotow.

-To co, ludziska, strzelimy po jednym? - zapytal, usmiechajac sie przyjaznie. - Barman, wszystkim stawiam.

W knajpie bylo tloczno, gwarno i wesolo. Wszyscy pili. Hrabia stawial. Poczatkowo wzbraniał sie troche, ale w koncu zaczął pic razem z nimi. Doil wode rowno, jak swojak...

-Musze wam cos wyznac - hrabiemu odbilo sie i dostal ataku pijackiej czkawki.

-Ty sie nie przejmuj, ze jestes pedalem, ludziska sa u nas tolerancyjne - barman po dziesiatym kuflu miał problemy z utrzymaniem sie na nogach.

-Nie jestem pedalem - wyznal hrabia. - i nie mam hifa...

Ludziska zamarli. Wizja przejecia majatku oddalala sie.

-To czegos taki blady na gebie i w koszuli koronkowej chodzisz? - zapytal wojt.

-Bo ja jestem wampirem - wymamrotal hrabia.

-A nie mowilem! - wrzasnal Mikolaj. - Dawajcie osikowy kolek! Zaraz go przypalikujemy.

-Zamknij sie - wojt rzucil nim o sciane. - Znaczy, gryzc bedziesz nas, czy tylko w sasiednich wioskach?

-No, co wy - obrazil sie wampir. - Zalatwimy to cywilizowanie, postawi sie we wsi mala stacje krwiodawstwa, co by na moje potrzeby starczylo...

-Ja mam nawet legitymacje honorowego krwiodawcy - pochwalil sie barman.

-Ale ja jestem bogaty - wyjasnil feudal. - Placic wam bede za krew, dwa razy wyzej niz panstwowe stacje.

-To i dzieciaczkow gryzl nie bedziesz? - upewnila sie kobiecina w dresie.

-Zawsze wolalem krew dojrzala - wyjasnil z godnoscia hrabia. - Panszczyzna niepotrzebna, forsy mam jak lodu. Starczy dla mnie i dla was na najblizsze 300 lat...

Wiwaty wprawily szyby knajpy w drzenie. Nieoczekiwanie otwarly sie drzwi. Przez sale przeciagnal zlowrozbny podmuch lodowatego wiatru. Wszyscy obejrzeli sie. Przez sale kroczyła wysoka postac, odziana w czarna, esesmanska kurtke mundurowa. Postac dzierzyla krzepko kuszo - kolkownice.

Hrabia przywarł do ściany. Z rak wystrzeliły mu nietoperzowate skrzydła, ale był zbyt pijany, by móc się przemienić.

-Ktos ty? - zapytał wojt tajemniczego przybysza.

-To Jakub Wedrowycz, egzorcysta! - wydarł się Mikołaj. - Jesteśmy uratowani!

Jakub, przechodząc koło baru, złapał kufel piwa i wygulgał kilkoma łykami.

-No i wybiła godzina - powiedział do skamieniałego z przerażenia hrabiego. - Świeżej, polskiej krwi się zachciało, frajerze?

Wampir zaskomlał żalosiście, a z dziaseł wyrosły mu kły. Jakub wycelował kuszę prosto w serce wroga.

-Hy, hy - ucieszył się Mikołaj. - Zdychaj, frajerze. W tym momencie wojt kocim ruchem przyskoczył od tyłu do Jakuba i z rozmachem zdzielił go krzesłem. Brzeknęła ciecziwa kuszy, ale osikowy kolek wbił się w ścianę. Wedrowycz runął nieprzytomny między stoliki.

-Feudalizm to ustroj działający w obie strony - wyjaśnił hrabiemu wojt. - Zabrac to scierwo. Dopilnujemy, żeby się tu nie krecił...

-Dzięki - hrabia uśmiechnął się. - Może ten skromny czek na tysiąc dolarów wyrazi część mojej dożgonnej wdzięczności...A te gnide...- spojrzał ze złością na Mikołaja.

-Wywieziemy ze wsi na taczkach - obiecał barman.

Jakub ocknął się w rowie. Głowa go strasznie bolała.

-Spilem się, czy co? - zdziwił się. - Ale żeby aż taki straszny kac?

Zabawa w knajpie opodal ciągle jeszcze trwała. Pamięć mu wróciła.

-Nie chcieliście pomocy, to trzeba było powiedzieć - warknął. - A nie walić krzesłem w łeb...

Jakis cien zamajaczył obok niego. Hrabia.

-Widzisz, moje na wierzchu. Tydzień minal i już jedza mi z reki...- uśmiechnął się przybysz. - Nie wygrasz z ludzka chciwością, egzorcysto...

-Nie wygram - westchnął Jakub. Hrabia pomógł mu wstać.

-Proponuję pakt o nieagresji - powiedział poważnie. Jakub pomacał guz na głowie.

-Wykonasz całą wies, jak poprzednim razem? Czy też może naprawdę czasy się zmieniły?

-Zmieniły się - powiedział poważnie wampir. - Po co się uganiać po lasach za dziewczynami, jak można sobie kulturalnie siedzieć przy kominku i pić przefiltrowaną, schłodzoną krew z kryształowego kieliszka? No i oczywiście ryzyko hifa mniejsze...

W tym momencie Jakub usłyszał dziwnie znajome brzeknięcie. Na twarzy hrabiego odmalował się grymas bólu i zaskoczenia. Padł na drogę. Z pleców sterczał mu osikowy belt Jakubowej kuszy. Zwłoki rozkładały się w oczach. Ktoś nadchodził. Egzorcysta spodziewał się zobaczyć Mikołaja, ale, jak się okazało, to szedł wojt. Kusze zawadiacko przerzucił sobie przez ramię.

-Cos podobnego - warknął egzorcysta. - Poszliscie, widze, po rozum do glowy?

-Oczywiscie - usmiechnal sie naczelnik gminy. - To chyba twoje - oddal kusze Jakubowi. - Widzisz egzorcysto, tak sobie chlalismy i nagle nas oswiecilo.

-Mnie tez czasem od alkoholu oswieca - przyznal Wedrowycz. - I do jakich wnioskow doszliscie?

-Uswiadomilismy sobie, ze wampiry zyja bardzo dlugo, nawet po kilkaset lat...Wiec zeby dobrac sie do pieniedzy hrabiego, wies musialaby czekac do usranej smierci. Postanowilismy nieco przyspieszyc przekształcenia majątkowe...

Z ciała hrabiego pozostało tylko kilka kości i nieduża kupka popiołu... Spowiedz

Pewnego wiosennego dnia Jakub Wedrowycz obudził się w swoim walącym się domu na Starym Majdanie. Było już koło południa. Ponieważ, gdy kładł się spać, po całonocnej pijatyce, dniało, wioskowy egzorcysta - amator doszedł do wniosku, że wszystko jest w porządku. Wygramolił się z barlogu, kopnął pustą butelkę w kąt, poprawił zmierzwiłone kudły zgrzeblem i wyszedł przed chatę. W chwili, gdy otwierał drzwi, list wetknięty między nie, a framugę upadł mu do stóp. Jakub podniósł go i zbliżył do oczu. List adresowany był do niego. Poskrobał się po głowie.

Jak każdy człowiek, tak i Jakub, od czasu do czasu dostawał listy. Czasami przychodziły kartki z pytaniami od różnych nawiedzonych z towarzystwa psychotronicznego. Czasem wezwania do sadu. Co jakiś czas syn przysyłał mu z Warszawy trochę pieniędzy i zdjęcia. Jakub odwrócił kopertę, pragnąc ustalić nadawcę. Po drugiej stronie znajdowała się pieczęć. I to nie była, jaka. Była to pieczęć kurii.

-Wot te na - Wyraził swoje niebotyczne zdziwienie.

Posługując się swoimi nielicznymi zębami, odgryzł bok koperty i wyjął z wnętrza ciasno złożony papier. Rozprostował.

Szanowny panie.

Z niejaka przyjemnoscia spieszymy zawiadomic, ze w dowod wdziecznosc za cenna pomoc udzielona Kosciolowi, w dniu dziesiatego lutego ubieglego roku, podjeto decyzje zdjecia klatwy i ekskomuniki nalozonej 3 grudnia 1973 roku, jak takze poprzedniej klatwy nalozonej w 1957r. Oraz ekskomunik nalozonych przez roznych biskupow naszej diecezji i diecezji sasiednich w latach 1961, 1969, 1978, 1981, 1984.

Ponizej nastepowaly podpisy i pieczęcie.

-Aha - powiedzial, a potem zamyslil sie.

Jakub Wedrowycz bardzo rzadko odczuwal potrzebe pojednania sie z Bogiem. Gdy czasami nachodzily go takie ciagoty z reguly siadal i czekal az mu przejdzie. Zazwyczaj mial wyjatkowego pecha, co do spowiednikow. Jeden z nich zemdlal w konfesjonale, wysluchawszy zaledwie niewielkiej porcji Jakubowych grzechow. Wioskowy egzorcysta - amator musial zuzyc cala butelke samogonu zanim doprowadzil duchownego do przytomnosc. Inny z kolei dowalil mu pokute w postaci pielgrzymki do Ostrej Bramy.

Oczywiscie nie mogac liczyc na paszport, w owym czasie nie wydawano tego dokumentu byle komu, mial z wypelnieniem pokuty pewien klopot. W trakcie pielgrzymki omal nie wpadl na mine nad Bugiem, porazil go prad na zasiekach po tamtej stronie, a dodatkowo zostawil na szlaku radzieckiego pogranicznika z nozem malowniczo sterczacym z gardla.

Wedrowycze w ogole jako rodzina rzadko stosowali zaborstwa, ale w obronie wiary...W samym Wilnie tez poszlo mu kiepsko, ale mial jeszcze kalasza odebranego pogranicznikowi, wiec sobie jakos poradzil. Nawet nie uszkodzil swietego obrazu, choc wsrod wiernych bylo kilku rannych. Jednak wypelnil swoja pokute i wstapila w niego Boza Moc, co wydedukowal z faktu, ze mimo skoku przez okno, z kaplicy znajdujacej sie dosc wysoko, w dodatku pod gradem kul, nic powazniejszego mu sie nie stalo. W kazdym razie, po powrocie do kraju nie omieszkal znowu isc do spowiedzi.

Tym razem mial troche pecha, bo UB zamontowalo w konfesjonale podslych i nim wyszedl z kosciola czekali na niego w dwu radiowozach, ale i z tego sie wykrecil, symulujac starcza demencje. Niczego nie zdolali mu udowodnic, bo karabin zdazyl juz zakopac, a malo kto podejrzewalby siedemdziesieciolletniego dziadka o forsowanie radzieckiej granicy z nozem w zebach. Po tej przygodzie Jakub przez dobre dziesiec lat nie uczeszczal do spowiedzi.

Zaczal od rachunku sumienia. Zapisywal swoje grzechy na fiszkach i porzadkowal w kolejnosc alfabetycznej. To mile zajecie zajelo mu blisko miesiac. Kolejne cztery tygodnie poswiecil na porzadkowanie grzechow wedlug kolejnosc zlamanych przykazan Bozych i koscielnych. Pozostale uporzadkowal wedle kodeksu karnego carskiej Rosji, bo nie mial zadnego nowszego opracowania. Uporawszy sie z tym zajeciem, odkryl jeszcze kilka fiszek, ktorzych nie mogl w zaden sposob zaklasyfikowac.

Na przyklad polowanie na bezpanskie psy bylo niewatpliwie grzechem z typu "nie zabijaj", ale ich zjadanie potraktowane jako kolejne wykroczenie nijak nie pasowalo do zadnego

kanonu prawnego. Wreszcie, zniechęcony, stworzył oddzielną kategorię o nazwie "inne" i umieścił w niej wszystkie te dziwne fiszki, w liczbie przeszło tysiąca, porządkując je w kolejności alfabetycznej. Uporządkowawszy, postanowił nieco odpocząć. Zajęło mu to kolejny tydzień. Wreszcie i ta praca została wykonana. Teraz pozostało mu tylko wybranie miejsca spowiedzi.

Wydobył ze strychu przedwojenną mapę Polski i rozwiesił ją na ścianie cisnąc w nią ołówkiem. Pierwszy ołówek złamał się. Drugi, jak na złość, trafił w Wilno. Za trzecim razem udało się. Trafił w miejscowość o nazwie Zale, leżącą na Mazowszu. Spakowanie zajęło mu minutę. W wewnętrznej kieszeni wpuścił piersiówkę, po drugiej stronie dla lepszej równowagi zawiesił sobie podrzewiały rewolwer. Przygładził włosy dłonią, wyszedł z chalupy, położył klucz na framudze i dziarskim krokiem wszedł w dolinę.

Dwa dni później Jakub stanął w drzwiach świątyni. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mu się w oczy, był wielki konfesjonał. Jakub widywał w życiu różne różności, ale czegoś takiego jeszcze nigdy. Konfesjonał składał się z trzech komórek, przy czym po wejściu do jednej z nich za spowiadającym się patnikiem zatrzaśkiwały się ciężkie, debowe drzwiczki.

Wykorzystując obecność księdza w środkowej komórce, wszedł do tej po lewej stronie. Zamknął za sobą drzwiczki i z jakimś zdumieniem stwierdził, że wewnątrz nie mają klamki, zaś komórka obita jest od środka stalową blachą. Jedynie u samego dołu znajdował się otwór wentylacyjny zatkany szmatą. Z pewnością dokonałby jeszcze wielu ciekawych obserwacji, gdyby nie to, że ksiądz odsunął płytę odgradzającą go od wiernego, zostawiając sobie dla ochrony jedynie stalową siatkę, po czym zapytał grzmiącym głosem, który ponuro zabrzmiał w stalowej klatce:

-Czym osmieliłeś się obrazić swego Boga?

Jakub sprawdził przy metnym świetle tekst kanonu spowiedzi w książeczce do nabożeństwa, którą znalazł jeszcze w czasie wojny podczas przeszukiwania kieszeni poległych partyzantów.

-Szybciej - huknął ksiądz.

Nie było czasu dalej czytać. Wydobył pudełko z fiszkami - mi i zaczął recytować. Gdy doszedł mniej więcej do połowy, wstrząsnęty ksiądz przerwał mu.

-Wystarczy. Twoich grzechów synu nie zmyje żadna pokuta. Ale poradzimy sobie z tym. Zbyt wiele zgrzeszyłeś, aby móc nadal kłaść ziemię swoimi stopami.

Jakuba zdziwiły nieco słowa duchownego i zaczął obiecywać poprawę, ale ksiądz nie słuchając go, zatrzasnął od swojej strony klapy. Jakub został sam w całkowitych ciemnościach. Niespodziewanie rozległ się syk. Syk dobiegał z rurek umieszczonych w suficie komórki. Jednocześnie po ścianach biegały błękitne nitki wylądowań elektrycznych, a z podłogi zaczęły wysuwać się cienkie, ale bardzo ostre kolce. Jakub kleczał, komórka była

dosc niska.

Malo kto przezył ta uroczą pulapkę do likwidowania grzeszników i Jakubowi też zapewne nie udało się uciec z życiem, ale miał nad innymi ofiarami przewagę intelektualną, która nie pozwalała mu opuszczać domu bez drobnych zabezpieczeń. Ignorując wyladowania elektryczne i coraz wyraźniejsza won czadu pompowanego do środka przez pomyslowego duszpasterza, Jakub wyrwał szmatę, dwoma strzałami z pistoletu rozprawił się z kratką wentylacyjną, po czym wytoczył na zewnątrz konfesjonalu granat z wyrwaną zawleczką.

Nie był pewien czy zadziała, ostatecznie piastował go w kieszeni przez ostatnie trzydzieści, czy czterdzieści lat, ale "cytrynka" nie zawiodła jego oczekiwań. Granat, wybuchł roznosząc w drzazgi konfesjonal, ołtarz, witraże i kilka innych elementów wyposażenia świątyni. Ksiądz dostał odłamkiem i to w sposób ostatecznie kładący kres jego dalszej działalności. Wedrowycz wyczołgał się spod desek, popatrzył na ciało z oderwaną głową, po czym przeżegnał się.

-Chyba dosięgła go kara niebios - stwierdził.

Dłuższą chwilę walczył z chęcią przywłaszczenia sobie wykonanych z kruszców przedmiotów liturgicznych, po czym wymknął się z kościoła. Kolejny raz poszedł do spowiedzi dopiero jedenastym latem później, ale to już zupełnie inna historia. Titanic

W ciemnościach panujących przeszło półtora kilometra pod powierzchnią Atlantyku zalsniły reflektory sporego batyskafu.

-Zaraz powinniśmy go zobaczyć - powiedział szef ekspedycji, ziewając dyskretnie.

Faktycznie, kilka chwil później w ciemnościach wyrosła stalowa ściana, gęsto najezona skorodowanymi nitami. Wodorosty powiewały wokół jak anielskie włosy na choince.

-Wysyłam robota - odezwał się zastępca.

Maly, zdalnie poruszany próbnik, ciągnąc za sobą kabel, wpłynął do wnętrza wraku. Obserwowali na monitorze jego drogę. Reflektory robota wyłowily z ciemności zarysy rozpadających się mebli.

-Zatrzymaj - polecił dowódca. - Co to u diabła jest?

-Nie mam pojęcia, strasznie obrosnięte mulem.

-Zabieramy - polecił.

Kleszcze automatu zacisnęły się na niekształtnym przedmiocie. Robot wracał do batyskafu.

-Pełne wynurzenie - polecił dowódca.

Jakub siedział i knajpie i patrzył w zadumie w kufel z piwem.

-Wszyscy slyszelismy historie o zatonięciu Titanica - odezwał się nieoczekiwanie telewizor.

Jakub przekrecił głowę.

-Daj trochę glosniej - polecil Ajentowi.

Na ekranie przesuwaly się obrazy wykonane pod woda przez kamery batyskafu.

-Hy - mruknał Jakub.

-Ty kiedys mowiles, że byles na Titanicu? - Semendal mu sojke w bok.

Egzorcysta niechętnie kiwnał głową.

-Bylem - mruknał. - Przed zatopieniem ta lajba wygladala duzo lepiej...

-To moze opowiesz? - Zapytał Jozef. Wedrowycz westchnał.

-To bylo tak dawno - mruknał. - Minelo tyle lat, a jawciaz pamietam zapach swiezego zacieru...

Liverpool 1911

Lokomotywa parowa, ciagnac za soba sznur wagonow, wpadła na stacje. Zapiszczaly hamulce, a w szyny uderzyly snopy iskier. Pociąg zatrzymal się ze zgrzytem. Lokomotywa wyplula jeszcze ostatni klab pary i zamarła. Trzasnely jednoczesnie wszystkie drzwiczki i z ciepłego wnętrza pociągu wylala się rzeka podrozných. Na peronie zderzyła się z tłumem oczekujacych, po czym rozbiwszy się na strumyki zniknela w czelusciach dworca. Wowczas w kible wagonu pierwszej klasy rozległ się słaby zgrzyt. Kawal podłogi obok sedesu uniosł się do gory. Spod klapy blysnely jasne, wodnisto-blekitne oczka. Wszedzie panowal spokój. Klapa uniosła się jeszcze bardziej i z otworu wygramolily się dwa indywidua. Przestrzen pomiedzy podwoziem wagonu a torami nigdy nie byla dostosowana do przewozu podrozných, totez obie postaci, wieksza i mniejsza, usmarowane byly ponad wszelkie wyobrazenie. Na ich obliczach zastygl smar wagonowych osi, oraz kilogramy kurzu wzbijanego z torowisk przez pedzacy pociąg. Pawlo Wedrowycz nachylil się nad otworem i wydobył jeszcze bagaz, stary worek od kartofli wypchany sucharami oraz odrapana walizke z roznymi przydatnymi drobiazgami.

-Chyba dojechalismy, tato - powiedzial siedmioletni Kubus, ocierajac twarz pokryta gruba warstwa weglowego mialu.

-Trzeba się trochę umyc - zauwazyl jego tatko. - Czystosc to pierwsza oznaka intelektu.

Chłopiec rozejrzal się po toalecie. Jego bystre, złodziejskie oczka wypatrzyly mosiezna

klamke i tabliczke pokryta jakimis angielskimi napisami. Tabliczka trzymala sie na czterech srubkach, z jej odkreceniem nie powinno byc zadnych problemow. Ocenil jej wage na jakies dwadziescia deko. Jedno piwo juz za to bedzie. Jego zadarty ruchliwy nosek zlowil w powietrzu nutke dziwnej woni. Podniosl z poleczki kostke pachnacego mydla. Obwachal ja nieufnie.

-Tatko? - Haw? - Co to jest?

Ojciec obejrzal nieufnie pachnaca kostke.

-Ano chyba burzujskie mydlo...Pewnosci nie mam. Chlopiec wlozyl koniec mydla do ust i zatrzasnal energicznie szczeki, a nastepnie zaczai przezuwac kes.

-I co? - Zapytal Pawel.

-Smakuje jak mydlo - powiedzial. - I mydli sie nawet - charknal piana i splunal w lustro.

-To daj troche.

Kubus wyciagnal z cholewy buta bagniet i przerznil mydlo na pol. Przez chwile obaj przezuwali papke, a potem starannie natarli nia geby i splukali woda. Przez nastepne dziesiec minut obaj podroznicy przywracali sobie wyglad pierwotny. Gdy skonczyli, ich twarze lsnily czystoscia, za to cala toaleta pokryta byla rozbryzgami blota, plamami smaru i sadzy.

-Do chrzanu ta zagraniczna technika - parsknal Pawlo, prostujac sie. - Nie pomysleli o wygodzie podroznich. Ciezko sie tu umyc w tej lazience. Nie dosc, ze trzeba sie zdrowo schylac, to jeszcze, co chwila musi czlowiek ciagnac za sznurek, zeby woda leciala...

Wytarli twarze kawalkiem szmaty i krytycznie przejrzeni sie w lustrze.

-Ujdzie - zdecydowal Kubus.

-Uszy jeszcze umyj - huknal na niego rodzic.

Chlopiec poslusznie wsadzil do ucha kawalek przezutej na koncu galazki i przekrecil energicznie, wygarniajac porcje "miodu". Tymczasem jego tatko przygladzil wlosy skorka od boczku, aby lsnily i gladko przylegaly.

-Dobra, nic tu po nas - zarzadzil. - Czas poszukac tego cholernego statku do Ameryki.

Niebawem ojciec i syn staneli na nabrzezu. Postrzepione nogawki wpuscili w nowiutkie gumofilce firmy "Prowodnik" z Rygi. Kubus mial na plecach parciany worek z sucharami przygotowanymi na droge, a jego ojciec trzymal stalowa raczke odrapanej walizki. Plocienne, samodziyalowe kurtki wywrocili na lewa strone, dzieki czemu plamy smaru

czesciowo przestaly byc widoczne.

-Kurde - powiedzial ojciec w zadumie.

Kubus przez dluzsza chwile wpatrywal sie w wielka, nitowana gesto burte okretu.

-Tatko? - Haw?

-To, kiedy do Ameryki?

Pawlo wyciagnal z cholewy kalosza wymieta gazete i przez chwile szukal podkreslonego miejsca. Potem przez dziesiec minut sylabizowal tekst i porownywal go z nazwa widniejaca na burcie statku.

-To cos - wskazal reka statek - odplywa tam juz pojutrze. Kubus kiwnal glowa.

-Strasznie duza ta lajba - powiedzial. - Wyglada na to, ze nie utrzyma sie na wodzie. Tyle blachy...Poplyniemy?

-Pewnie dlugo nie - mruknal ojciec. - Ale na dwa, trzy rejsy powinno starczyc. Jesli pod spodem wsadzili duzo drewna, to bedzie sie trzymac na wodzie, poki nie nasiaknie. Wtedy specznieje, rozsadzi blachy i wszystko pojdzie na dno...

Kubus z frasunkiem poskrobal sie po glowie.

-A, po co te drewniane burty tak obili blacha? - Zapytal. - A to pewnie na piratow zabezpieczenie - wyrazil przypuszczenie ojciec. - W takie metalowe, to kule sie gorzej wbijaja...A moze nawet na wikingow?

-Jaki ty tatko jestes madry...

-Ano ktos w rodzinie musi miec leb na karku.

Ojciec kiwnal w zadumie swoja genialna glowa, z kieszeni wyciagnal garosc wojslawickiej machorki i kawalek szarego papieru pakowego, po czym z niebywala wprawa skrecil sobie "cygaro". Zaciagnal sie cuchnacym, szarym dymem.

-Ale jak poplyniemy tym statkiem, skoro nie mamy biletow? - Zagadnal Kubus. - W gazecie pisali, ze bilet kosztuje szesc tysiecy dolarow...

-A ty skad znasz angielski alfabet? - Zdziwil sie jego ojciec,

-Nie musialem nic znac, tam byla napisana cena. Pawlo poskrobal sie po glowie.

-Tradycyjnie - powiedzial. - Nie ma biletow, to jedziemy na gape. Wprawe juz mamy...

-To co, pod podwoziem? - Kubus nieufnie popatrzył na wodę.

-Gdzie tam. Jak byśmy oddychali, chyba że przez rurkę...Zreszta, nadmiar wody szkodzi organizmowi. Tkanki się rozrastają...

Ruszyli w stronę statku, pilnie wypatrując trapu. Niebawem znaleźli odpowiedni. Przy trapie stała tabliczka w kilkunastu językach informująca, że statek można za niewygodną opłatą zwiedzić z przewodnikiem. Była też po polsku. Rozszyfrowanie napisu zajęło im tylko piętnaście minut i tylko raz musieli zajrzeć do kieszonkowego elementarza.

-Hy - skomentował ojciec. - Zaraz wejdziemy na pokład.

-Tu pisze, że to kosztuje szylinga - przeczytał Kubus na kartce przypiętej pod spodem.

-To fatalnie - mruknął ojciec - Mamy tylko ruble, a te będą nam niezbędnie potrzebne w Ameryce.

Grupa zwiedzających właśnie wkraczała na statek. Wachman przy trapie zainkasował pieniądze i policzył ich. Obaj emigranci usiedli na ławeczce i zaczęli się zastanawiać. Po półgodzinie grupa wróciła. Wachman ponownie ich przeliczył i zadowolony zaznaczył to w kajecie. Na nabrzeżu zebrała się kolejna grupka, licząca coś ze dwadzieścia osób.

-Kluczyk - zdecydował ojciec.

Kubus z jedynej całej kieszeni wyjął płaski mosiężny wytrych. Tatko wciął go w zamek walizki i po chwili pokonał jego opór. Wewnątrz wydobyl butelkę okreconą w szmaty i z westchnieniem przelożył ją do kieszeni. Podeszli do wachmana. Grupka zwiedzających właśnie przechodziła na pokład.

-Bo widzi pan kapitanie - powiedział Pawło po niemiecku. - My są biedni, ale chcielibyśmy zwiedzić łajbę...

Wachman obrzucił ich taksującym spojrzeniem, a potem mrugnął i nadstawił lewą dłoń. Pawło wcisnął mu flaszkę. Brwi wachmana uniosły się ze zdziwienia. Odkorkował i pociągnął niewielki łyk, a jego twarz rozjaśniła się uśmiechem. Mrugnął i przepuścił ich.

-Dobra nasza - powiedział ojciec - Nic na siłę tylko młotkiem...Jesteśmy już na statku. Teraz trzeba poszukać dobrej kryjówki.

-Tatko skąd wiedziałeś, że on lubi sobie chlapanac?

-A po kolorze nosa poznałem.

-Ale nos miał zwyczajny, biały.

-No właśnie. Mąka z kartofli przypudrował...Tak białej skóry być nie może. No chyba, że u

arystokracji.

Dogonili wycieczkę. Przewodnik mówił coś po angielsku, ale co, tego nie wiedzieli. Nie oni jedni. Grupa kandydatów na emigrantów raczej słabo władała tym językiem. Za to oczywiście dwudziestki strzelały na boki w poszukiwaniu dobrych kryjówek. Przeszli przez górny pokład i zagłębili się w trzewiach statku. Mijali setki kajut przeznaczonych dla pasażerów trzeciej klasy, potem przeszli przez ogromną maszynownię.

-Może schowamy się w węglu? - zaproponował tato. Kubus popatrzył krytycznie na milczące maszyny i stosy koksu.

-Brudno - zaprotestował.

-Uch ty, wybredny - warknął ojciec zezłoszczony. - Sam poszukaj czegoś nowego. Ino bystro.

Znowu wyszli na pokład. Przez reling widac było wachmana. Nadal tkwił na swoim posterunku przy trapie, choć jego pozycja wskazywała, że walka z grawitacją staje się dla niego pewnym problemem.

-Tutaj - chłopiec wskazał szalupę nakrytą grubym brezentem. Odciągneli go lekko i wskoczyli do wnętrza. Oddalająca się grupa niczego nie spostrzegła. Potoczyli się po klepkach wewnątrz łodzi i upadli na coś miękkiego.

-Wnimajcie barin - dobiegł ich z ciemności szept. Pawło zapalił zapalke. W jej świetle spostrzegli dwóch osobników o wyjątkowo czerwonych nosach. Włonki na nogach zdradzały ich narodowość. Osobnicy posunęli się, robiąc miejsce. Zaraz też wyjęli flaszki.

-Chocicie pofraternizowawsja? - zapytał ten zezowaty.

-Dawaj ogorki - zarządził ojciec.

Kubus z za pazuchy wyciągnął sześć ogorków, które jeszcze wczoraj rano rosły w ogrodku na przedmieściach Londynu oraz bryle soli - lizawkę dla bydła rabnieta pod Hamburgiem. Gospodarze nalali zaraz bimbru do czterech poobijanych blaszanych kubków.

-Zdrowia - wznosił toast ten z broda.

Stuknęli się i wychylili. Wódka była ostra w smaku, ale znakomita.

-Moskowska podwójnie destylowana - zgadł Kubus. Obaj Rosjanie uśmiechnęli się szeroko.

-Kluczyk - rozkazał ojciec. Z walizki wydobyl litrową flaszę bimbru z porzeczek.

-Smorodina? - zaproponował Rosjanom.

Ucieszyli się wyraznie. W dwie godziny później ucztą powoli wygasła. Cztery ciała zmorzone bimbrem legły w stepce szalupy. Powietrze pod brezentem przesyciła won gorzelni. Całe szczęście, że nikt nie przeszedł obok z papierosem w zębach.

Wachman przeliczył powracających ze zwiedzania. Liczyło mu się ciężko. Raz, że cały świat podejrzanie się kiwał, dwa, że przechodzący obok niego dwoili się i troili.

-Weszło dwudziestu dwu, zeszło szesćdziesięciu trzech - stwierdził wreszcie. - Ponieważ więcej wyszło niż weszło to znaczy, że nikt nie został na miejscu.

Zadowolony zanotował to w kajecie, a potem pociągnął jeszcze jeden łyk wedrowyczej nalewki. Białe myszki, dotąd przyczajone w kieszeniach, zaczęły tanczyć kankana na jego przedramieniu. Potrzaskał reka, ale trzymały się mocno.

Kubusia obudził tupot butów i klaskanie bosych stop na deskach pokładu. Rosjanie gdzieś się ulotnili. Została po nich tylko kartka, z której wynikało, że postanowili wyskoczyć jeszcze na ląd i uzupełnić zapas wódki.

-Długo spalimy - odezwał się jego ojciec. - Pasażerowie wsiadają na statek.

-Ile czasu będziemy płyneli?

-Jakies trzy dni. Ale trzeba będzie chyba zmienić lokal. Moga sprawdzić szalupy przed wypłynięciem.

Wypelzili spod brezentu.

-Musimy odnaleźć ładownie numer osiemdziesiąt sześć - odezwał się Pawło.

Wyciągnął z kieszeni zmiętą i pogniecioną list bez koperty.

-Pawło Wedrowycz zobowiązany jest stawić się w ładowni numer osiemdziesiąt sześć okretu Titanic w dniu wypłynięcia. Niestawienie pociąga za sobą wykluczenie z cechu - odczytał.

-Sporo tych ładowni - mruknął Kubus - Przydałby się plan statku.

-To da się zrobić - ojciec odczepił tabliczkę ze schematem z mijanej ściany.

Bez trudu zagubili się w gęstym tłumie turystów wypełniających pokłady trzeciej klasy. Gorzej poszło im odnalezienie się. Bez przerwy mijali tabliczki z jakimiś numerami, żaden jednak nie pasował do cyfr, które mieli zapisane na kartce.

-Cholera - zaklął Jakub. - A to wybudowali sobie blaszankę...

-Tatko, w tej lajbie by się całe Wojsławice zmieściły - powiedział przejęty syn. - I to z

kosciolem...

-Uch nie gadalbys tyle. Wojslawice Wojslawicami. A statek, co innego. Gdzie by tu konie i krowy wypasal...Zreszta, arka Noego i tak byla zapewne wieksza.

Nieoczekiwanie obaj pasazerowie na gape zatrzymali sie i dluzsza chwile weszyli. W korytarzu klebily sie rozmaite wonie. Pachnialy wedzone kielbasy, dawno nie prane onuce, tlumoki z rogozy, przeszmuglowane na poklad kury i gesi zdazyly narobic po katach. Emigranci z Rosji wonieli dziegciem i juchtem. Za snujacym sie po pokladzie anarchista ciagnela sie won trotylu. Jednak nad ta kakofonia zapachow wyraznie dominowal swoisty smrodek zacieru nastawionego na gnijacych kartoflach.

-Nasi - ucieszyl sie Pawlo.

Ruszyli naprzod jak po sznurku. Przebyli dwa poklady, kilkanascie korytarzy, pare razy skrecili i wreszcie dotarli do niepozornych drzwi jednej z kajut trzeciej klasy. Kubus obwachal krawedz.

-To stad - powiedzial.

Ojciec zastukal specjalnym, miedzynarodowym, bimbrownicznym szyfrem. Drzwi otworzily sie i stanal w nich rosly, rudy Irlandczyk w kamizelce. W dloni trzymal papier.

-Imie i nazwisko? - Zapytal.

-Pawlo Wedrowycz z synem.

Odszukal ich na liscie, odhaczyl i wpuscil do kajuty. Nastepnie zatrzaszal i zaryglowal drzwi.

-Dobrze, ze jestescie. Czekaaja juz tylko na was.

W kajucie nie bylo nigdzie widac ani kadzi z zacierem, ani aparatury, ale won unoszaca sie w powietrzu swiadczyla, ze trafili na miejsce.

-Tedy - Irlandczyk otworzyl metalowe drzwi szafy.

Jej tylna sciana, jak rowniez blaszana sciana kajuty zostaly przeciete, prawdopodobnie odpowiednich rozmiarow otwieraczem do konserw. W glebi otworu cos pelgalo slabo czerwonawa barwa. Ognisko. Ojciec i syn ruszyli w ciemnosc. Za cienka sciana oddzielajaca kajuty mieszkalne rozciagala sie olbrzymia ladownia. Byla niemal zupełnie pusta. Tylko posrodku walal sie stos pospiesznie ukradzionych mebli: lozek, lawek, stolikow, krzesel, wieszakow. Porabane siekierami sluzily do podsycania plomienia. Dym uchodzil gdzies gora. Ognisko otaczal krąg postaci. Obaj bimbrownicy usiedli na wolnych miejscach. Zaraz tez podano im butelki. Pawlo pociagnal spory lyk.

Bimber z zurawin, siedemdziesiąt procent mocy - ocenil.

Kubus ciekawie rozgladal sie wokolo. Przy ogniu zebrali sie przedstawiciele wszystkich europejskich nacji. Szwedzi i Norwegowie w kurtkach podbitych futrem z renifera, Tyrolczyk w krotkich skorzanych spodniach, Holender w drewnianych chodakach, wystrojony jak malpa Francuz z cienkimi napomadowanymi wasikami, pociagajacy z wykwintnej flaszeczki wode kolonska. Byli tez przybysze z Balkanow, a nawet Turek w fezie na glowie. Wbity w ciasny mundur Prusak wychylal kolejne sznapsy jak automat. Uwage chłopca przykul jednak siedzacy po drugiej stronie ognia starzec. Staruszek mial dluga, zmierzwiona brode, przenikliwe spojrzenie, a na siwej glowie korone z grubej, zlotej blachy. Oprawiono w nia zamiast szlachetnych kamieni malenkie buteleczki z odrobinami najwykwintniej szych alkoholi. Krol wydobyl zza siebie paczke swiec i zaczal podawac najblizej siedzacy. Ci zapalali je od ognia i podawali dalej. Niebawem krag pojasnial. Ktos dorzucil jeszcze wieszakow do ognia.

-Otwieram czwarta, miedzynarodowa konferencje przedstawicieli cechu europejskich bimbrownikow - powiedzial krol w miedzynarodowym bimbrownicznym esperanto.

Wszyscy zaklaskali.

-Panowie - powiedzial krol z uczuciem. - Przed rokiem zlecilem cechom i konfraterniom we wszystkich krajach Europy, aby wylonily z grona swoich czlonkow najgodniejszych, najlepiej obznajomionych z tajnikami produkcji taniej, smacznej i nielegalnej gorzalki. Tak wiec oto spotykamy sie na pokladzie statku plynacego do Ameryki. Jestescie panowie najlepszymi fachowcami od pedzenia bimbru w historii tej planety.

Zgromadzenie zamarlo. Maly Kubus pokrasnial z dumy. Swiadomosc, ze znalazl sie w tak doborowym towarzystwie oniesmielala go, a mysl, ze jego ojciec zostal wybrany delegatem do tak czcigodnego gremium, napawala duma.

-Sytuacje miedzynarodowa, ktora sklonila mnie do zwolania tej konferencji, przedstawi cechmistrz Hans Zweischnaps.

Spojrzenia zebranych skoncentrowaly sie na wysokim, jasnowlosym mezczyznie, ktory dotad skromnie i cicho siedzial po prawicy krola. Ktoz o nim nie slyszal...Szwajcarski bimbrownik, przylapany na pedzeniu alkoholu z czekolady Milka, wykradzonej prosto z wytworni w Genewie...Mimo wielomiesiecznych tortur, w czasie, ktorych wielokrotnie grozono mu smiercia lub wszyciem esperalu, nie zdradzil siepaczom szwajcarskiego monopolu spirytusowego sekretu produkcji. Powitano go burzliwymi oklaskami. Hans odchrzaknal i zaczal mowic:

-Panowie. Ziemia obiecana, Ameryka stoi dzis w przededniu największego krachu cywilizacyjnego. Wladze tego kraju, depczac brutalnie prawa czlowieka, zaplanowaly wprowadzenie prohibicji, to jest calkowitego zakazu produkcji, posiadania i konsumpcji

jakichkolwiek alkoholi.

Zgroza ogarnela siedzacych wokolo ogniska bimbrownikow. Na mysl o takim bestialstwie wielu z nich wzdrygnelo sie.

-Czy to sprawdzona informacja? - Zapytal Pawlo.

-Niestety. Mamy przeciek z samego senatu. Rozpisane bedzie referendum, czy narod zgadza sie na wprowadzenia zakazu.

-To tak jak rozpisac referendum, czy narodowi potrzebne jest jeszcze powietrze do oddychania - mruknal ktos.

-Referendum zostanie sfalszowane - powiedzial Zweischnaps. - Wszystkie przygotowane komisje obsadzone zostaly przez agentow komitetu trzezwosci.

-Sami panowie rozumieja, ze nie mozemy pozostawic bratniego narodu amerykanskiego na pastwe zdegenerowanych abstynentow - powiedzial krol. - W USA dotad praktycznie nie bylo miejscowych bimbrownikow. Nie mowiac juz o zorganizowanej strukturze, cechach, konfraterniach, gildiach i calej reszcie naszych europejskich instytucji. To kraj calkowicie zanarchizowany. Moj pomysl jest nastepujacy. Stworzymy na terenie Ameryki delegatury naszego europejskiego związku. Setki podziemnych fabryk, dziesiatki szkol, gdzie mlodzi adeptci naszej szlachetnej sztuki poznaja tajniki zawodu. Przyszlosc bedzie nalezala do nas.

Rozlegly sie brawa.

-A jak sie bedziemy dzielic? - Zapytal ktos, gdy oklaski ucichly.

-Oczywiscie, aby nie wchodzic sobie wzajemnie w droge, dokonamy podzialu terytorium USA - powiedzial krol. - Jak zapewne wiecie, Stany Zjednoczone dziela sie na stany, o dosc zblizonej wielkosci. Te nad morzem, od strony Europy, sa wprawdzie mniejsze, ale za to gesciej zaludnione. Proponuje, abysmy po prostu wylosowali. Mam tu w woreczku loteryjke, drewniane klocki z numerkami. Mam tez liste stanow w ukkladzie alfabetycznym.

-A ja chce Alaske - dobiegl z ciemnosci grobowy glos.

Bimbrownicy odwrocili sie jak na komende. Wiekszosc wyciagnela z kieszeni spluwy i odbezpieczyla je. W krag swiatla wkroczył wysoki, zwalisty Rosjanin w walonkach i karakulowej papasze.

-Cos ty za jeden? - Zapytal krol.

-Iwan Miedwied - mruknal przybysz. Usiedli.

-Nie zapraszalismy nikogo z Rosji - powiedzial krol.

-Wasze cechy nie naleza do naszego związku...

-Dlatego tez zaprosilem sie sam - mruknal nieproszony gosc. - I jak widze, slusnie zrobilem. Chce Alaske.

-A to niby, dlaczego? - Zapytal Hans. - Wszyscy, ktorzy tu siedzimy, jestesmy najlepszymi z najlepszych, pierwsi posrod rownych...Wszyscy mamy na koncie powazne dokonania, odkrycia naukowe, publikacje w fachowej prasie bimbrowniczej.

-Ja tez dokonalem odkrycia - mruknal Iwan. - Wynalazku, w porownaniu, z ktorym wasze doswiadczenia wypadaja zalosnie.

-A, co takiego odkryles? - Zainteresowal sie krol.

-Wymyslilem nowy, rewelacyjny napoj alkoholowy

-powiedzial z duma Rosjanin - Nazywa sie denaturat.

-Nigdy nie slyszelismy - Pawlo wzruszyl ramionami.

-To da sie naprawic - mruknal Miedwied i wydobyl z kieszeni butelke pelna fioletowej zawartosci. Na butelce naklejono krzywo etykietke z trupia czaszka.

-Juz poszlo do sprzedazy w Moskwie - pochwalil sie, po czym podal flaszke krolowi.

Starzec ujal ja w rece i popatrzył pod swiatlo.

-Czysta jest - mruknal, a potem odkrecil korek i nieufnie powachal zawartosc.

-U...- mruknal. - Co za straszliwy smrod...Ano zobaczymy jak w smaku...

Przytknal szyjke do ust i ostroznie pociagnal niewielki lyk. A potem puscil pawia prosto w ognisko. Paw strzelil natychmiast plomieniem. Krol otarl usta.

-Nagroda za takie wynalazki moze byc tylko wyrzucenie za burte.

Podal butelke Hansowi. Ten powachal ostroznie i puscil ja dalej. Flaszka krazyla z rak do rak, zapach zniechecal, nikt nie odwazyl sie sprobowac.

-Nie chcecie to nie - warknal Rosjanin. - Nie bedzie Alaski, bez laski. Ale i tak zamierzam wystartowac w konkursie.

-A ty skad wiesz o konkursie? - Zainteresowal sie krol.

-Mamy swoje metody wywiadowcze - mruknal Iwan i cofnawszy sie nieco w ciemnosc, usiadl na podlodze i zaczal bawic sie flaszka.

-A wiec panowie - krol podjal watek przerwany wizyta niespodziewanego goscia, - wiadomo, ze gdy opanujemy Ameryke dla sprawniejszej kontroli nowego terytorium przyda sie krol.

-Krol amerykanskich bimbrownikow - szepnal Kubus. - Wlasnie. Ktos, kto bedzie mogl wlozyc na skronie korone. Sadze, ze w przyszlosci monarchie, europejska pod moim kierownictwem i amerykanska, zjednoczone wspolnota interesow, beda mogly przystapic do podboju swiata, a w pierwszej kolejnosci Rosji - spojrzal wymownie na Miedwiedia.

Ten mruknal cos niewyraznie.

-A jak wylonimy krola? - Zapytal Pawlo. - Bo chyba nie godzi sie tak droga losowania?

-Nie. Krolem zostanie ten, kto wydestyluje najlepszy bimber. Tu i teraz. W kacie znajdziecie panowie wszystkie potrzebne skladniki i aparature. Jutro o tej samej porze przystapimy do wypedu.

-Ja tez moge wystartowac w konkursie - mruknal Iwan.

-Ty nie. Czlowiek, w ktorego zbrodniczym umysle narodzila sie idea denaturatu, nie moze pedzic bimbru razem z godnymi...

-A ja i tak wypedze - warknal Iwan i odszedl w ciemnosc.

Gdzies daleko trzasnely drzwi prowadzace do sasiedniej ladowni. Krol klasnal w dlonie, aby zwrocic na siebie uwage sluchaczy.

-Panowie. Powiem jeszcze jedna rzecz, najwazniejsza. Zwyciezca konkursu, oprócz korony, otrzyma tajna swieta recepture.

-Recepture bimbrownika Sedziwoja? - Zdumial sie Jakub.

-Sekret umozliwiajacy pedzenie etanolu z trocin? - Wykrzyknal Hans - To niemozliwe. Receptura zaginela przed wiekami...

Krol usmiechnal sie zagadkowo.

Okret prul fale. Podrozni pierwszej klasy spacerowali po pokladzie nieswiadomi, ze pod ich stopami, w ladowni numer osiemdziesiat szesc, trzydziestu bimbrownikow w pocie czola przygotowuje sie do wielkiego finalu. Przy trzydziestu kadziach z kartoflanym zacierem krzatali sie najlepsi w Europie fachowcy. Kubus i jego tatko dosypali do swojej porcji wzmacniacz z woreczka i wyrysowali kreda tajemnicze znaki. Teraz wystarczylo tylko poczekac. Wreszcie kolo polnocy zacier dojrzal. Wczesniej grupa wyslana przez krola na rekonesans zwlokla do ladowni mase opalu: krzesla z jadalni pierwszej klasy, wieszaki, szafy, a nawet kilka par drzwi od kajut. Do calonocnego wypedu potrzeba bylo duzo

drewna. Wreszcie o polnocy rozpalono pod kotlami. Niebawem pierwsze struzki aromatycznej wodki popłynęły z miedzianych rurek do podstawionych kubków. Król w koronie i czerwonym płaszczu obszytym barankiem przechadzał się, podziwiając trud swoich poddanych. Wreszcie na długim stole stały rzedem kubki oznaczone kodami. Komisja złożona z króla i Hansa Zweischnapsa zasiadła wygodnie na dwu ocalałych krzesłach. Bimbrownicy ustawiali się wokół. Król przelewał zawartość każdego kubka do dwu szklanek. Razem z przybocznym oceniali kolor, przejrzystość, osad i konsystencję. Następnie zbliżali szklanki do nosów i długo badali bukiet. Na koniec przystępowali do oceny smaku. Wyniki analiz zapisywali w punktach na kartkach. Mijały godziny. Wreszcie ostatni kubek został zdegustowany. Tymczasem wiaderka ustawione koło kotłów napełniły się aromatycznym trunkiem. Kubus wysłany na przespiegi przy włożył z okretowej spizarni worek suszonej kielbasy i wiaderko kawioru na zagryche.

-Panowie - odezwał się wreszcie król. - Bracia. Wszyscy dzisiejszej nocy wspieliscie się na szczyty sztuki bimbrowniczej. Wszystkie zaprezentowane próbki posiadają właściwy smak i przejrzystość. Innymi słowy wódka godna królewskiego nosa. A teraz pozwólcie, że odczytam wyniki konkursu. I tak zwycięzca we wszystkich kategoriach został...Pawło Wedrowycz! Gratuluje.

Z torby podróżnej wyciągnął złotą koronę i nałożył ją uroczysto na skronie wojsławickiego bimbrownika.

-A oto receptura - podsunął mu kartkę papieru, na której kłopotliwym ołówkiem naniesiono rząd tajemniczych znaków.

-Wszyscy złożymy przysięgę na wierność naszemu nowemu monarsze - zaproponował Hans.

Bimbrownicy ukleknęli i podniosły dłonie, przysięgli.

-Dziękuję przyjaciele - powiedział Pawło, ocierając łzy wzruszenia. - Dziękuję. Postaram się godnie nosić te korony na skroniach i nigdy nie splamie swojego bimbrowniczego honoru.

-A ja? - z sąsiedniej ładowni dobiegł głos Iwana. - Poczekajcie z werdyktem na mój denaturat,...

Obaj królowie wzruszyli ramionami.

Zostałeś zdyskwalifikowany - powiedział starzec.

-A ja i tak będę pedził dalej - warknął Rosjanin.

-Nie będziemy ci przeszkadzać - mruknął Pawło.

A potem wsunął troskliwie kartkę z recepturą do cholewy kauczukofilca i ruszył na pokład.

Kapitan stal na mostku i patrzyl w zadumie w ciemnosci. Przed chwila nadeszlo przez radio ostrzezenie o gorach lodowych. Nieoczekiwanie uwage kapitana przykulo dziwne zjawisko. Z wnetrza statku wybiegl malowniczo obdarty typ. Typ, co dziwne, mial na glowie cos w rodzaju korony. Podbiegl do dziobu i sciagnawszy z nog kalosze, wdrapal sie na reling. Rozlozyl rece i cos zaskowyczal. Kapitan nie znal polskiego, wiec nie wiedzial, ze Pawlo daje upust swojej radosci.

-Jestem krolem Ameryki - wydarl sie bimbrownik. Iwan zamkniety w ladowni, uslyszal jego radosny zew.

-Wala - mruknal i dorzucil swieza porcje drewnianych klepek wymontowanych z podlogi korytarza. Kociol sapnal, a potem bok rozdarl sie jak namoknieta tektura. Bimbrownik zdazyl zobaczyc, jak klab pary strzyka prosto w plomienie.

Gdzies z trzewi okretu dobiegl odglos gluchej eksplozji. Titanic zadrzal i przechylil sie nieco.

-Co sie tam u diabla dzieje? - Zdziwil sie kapitan. - Kociol pekl w kotlowni czy ki diabel?

W tym momencie na mostek wpadl pierwszy oficer.

-Kapitanie, toniemy.

-Bzdura, moj drogi, nasz okret jest calkowicie niezatapialny. A co sie tak wlasciwie stalo?

-W dwunastej ladowni wybuchla bimbrownia! Wyrwalo cala burte i przebilo cztery grodzie wodoodporne. Kapitanowi zrobilo sie zupełnie lyso

-Kiedy pojdziemy na dno? - Zapytal z niepokojem.

-Najdalej za dwie godziny...

-Fatalnie. Nasze linie okretowe nie sa ubezpieczone od wybuchow bimbrowni. Daj dziennik pokladowy.

Oficer podal mu. Kapitan wyjal z kieszeni wieczne pioro i w zadumie popatrzyl na biala kartke papieru. Nagle spostrzegl ostrzezenie przed gorami lodowymi i poczul przyplyw natchnienia.

"Przyczyna zatonicia okretu: zderzenie z gora lodowa" - wpisal.

A potem popatrzyl przez okno. Wstrzas stracil tajemniczego oberwanca z dziobu. Nadal w tajemniczej koronie na glowie miotal sie po pokladzie z jednym butem w dloni i wyraznie usilowal odnalezc drugi od pary.

Ze tez ludzie nie maja wiekszych zmartwien - mruknal kapitan. A potem wydal rozkaz, by spuszczano lodzie ratunkowe.

Dwie godziny później, na opustoszałym oceanie, unosila się tratwa wyrobiona z desek pokładu. Na tratwie, grzejąc się przy wiatrym płomieniu, siedzieli trzej rozbitkowie. Pawło, Kubus i Hans. Przyszły egzorcysta otworzył ocalałą walizkę i wydobyl z niej flaszkę. Hans zza pazuchy wyciągnął butelkę swojej słynnej czekoladowki na serze.

-Przepadło - powiedział Pawło grobowym głosem. - Król nie żyje, receptura zgubiona razem z butelką...Dalem ciała...

-Nie martw się - próbował go pocieszyć Hans. - Płyniemy do Ameryki. Twoje królestwo czeka. Miliony spragnionych otrzymają najlepszy bimbler. Z pewnością jeszcze kilku naszych przeżyło katastrofę. Każdy dostanie teraz po dwa, może po cztery stany. Ty przeprowadzisz losowanie. Na początku będzie ciężko to wszystko obrobić, ale poradzimy sobie. Ostatecznie nie wypadliśmy sroce spod ogona.

Pawło popatrzył na niego ponuro.

-Hans przyjacielu, nie jestem godny tego, by być królem. Przez własną nieostrożność utraciłem recepturę. Najcenniejszy dorobek ludzkości został zaprzepaszczone.

-Może uda się ją odtworzyć.. Znam kilku niezłych chemików.

Wedrowicz popatrzył na niego zgaszonym wzrokiem.

-Daj jakiś papier. Abdykuje na twoją korzyść...Jestes godniejszy niż ja...

-Jestes tego pewien? - Zdziwił się Hans. - Nie wolno się tak załamywać.

Pawło zdjął z westchnieniem koronę z głowy i przyozdobił nią skronie przyjaciela.

-Ameryka jest tam, wskazał gestem. - Najdalej jutro będziesz na miejscu.

-A wy?

-My wracamy do domu. Kubus, siekiera! Rab tratwę na dwie części...

-I tak kurde mól, wszystko przepadło - zakończył Jakub ze złością. - Król utonął, but przepadł, receptura zaginęła. Kumpole otarli lzy.

-To naprawdę tragiczna historia - powiedział Semeni dolał sobie jeszcze truskawkowej pryty.

W telewizji przez chwilę leciały reklamy, a potem pojawił się dalszy kawałek reportażu. Obraz nieco snieżył, ale to i owo dało się wypatrzeć. Na pokładzie jakiegoś statku stał wysoki jasnowłosy facet.

-Nasze działania wzbudzają pewne kontrowersje - powiedział - Spójrzcie jednak na to -

Wskazał na but moczający się w kuwecie z wodą. - Ten kałosz przeleżał na dnie morza siedemdziesiąt lat, a mój zespół zdołał go wydobyć i zakonserwować. To prawdopodobnie ostatni na świecie egzemplarz prototypowej serii kauczukofilców firmy "Prowodnik" z Rygi. Model z 1907 roku, dotąd znany tylko z fotografii w katalogach sklepowych. Czy ten bezcenny zabytek rosyjskiego przemysłu obuwniczego powinien spoczywać na dnie morza?

Jeden z konserwatorów wygarnął z wnętrza buta skoltuniona onuce i kawał starego papieru pakowego. Rozprostował go ostrożnie w misce z wodą. Na powierzchni widac było jeszcze ciąg tajemniczych znaków naskrobanych kopiowym ołówkiem.

-A niech mnie! - Wykrzyknął Jakub.

A potem wyrwał zaskoczonemu agentowi długopis z kieszeni i pośpiesznie przerysował szyfr na obrusie. Następnie zwinął plastikową serwetę i zaczął upychać ją do kieszeni.

-Zostaw obrus idioto - wściekł się agent.

Jakub podsunął mu pod nos kulak zacisnięty na granacie.

-Spierdalaj pacholku - rzucił.

I wyszedł, unosząc ze sobą lupę. Pozostali w knajpie kumple popatrzyli po sobie bezradnie.

-Znowu mu odbija po wódce - zawyrokował Józef.

-Najpierw ta idiotyczna bajka o królu bimbrowników, teraz obrus pomazał i zabrał...

Semen uśmiechnął się do swoich myśli. Dopił i ruszył w ślad za przyjacielem. Pozostali goście dolali sobie trunków. Oglądali dalej program. Ekipa właśnie prula wydobyty z dna morza sejf.

Jakub szedł do chalupy. Na wzgórzach przewiał go zimny wiatr. Przymknął oczy. Przypomnił sobie, jak jego tata usiłował ukrącić hitlerowski U-boot, aby dostać się do wraku Titanica... Nagle usłyszał za sobą kroki. To Semen go doganiał.

-Podobno zrobienie etanolu z trocin jest niemożliwe

-mruknął stary Kozak.

-Ja jednak spróbuję - Jakub pogładził kieszeń, w której spoczywał plastikowy obrus z recepturą.

-Tak sobie pomyślałem... Nie potrzebujesz przypadkiem ucznia albo czeladnika?

-Czemu by nie? Z przyjemnością... Nie wiem, co nam wyjdzie z tych wiorów, ale przecież ktoś będzie musiał tego skosztować... - uśmiechnął się sadyście, jak naukowiec na

widok krolika doswiadczonego.

Semen poczul lekkie uklucie leku, ale nadal krocyl w slad za przyjacielem. Zbrodnia doskonala

Jakub Wedrowycz rzadko mial ochote kogos zabic. To znaczy ochote taka miewal srednio kilka razy dziennie, ale tak na powaznie, ze skutkiem smiertelnym raczej mu sie nie zdarzalo. Az do pewne - go milego wiosennego ranka, kiedy zaczerpniete ze studni wiadro wody okazalo sie byc wypelnione, delikatnie mowiac, gownem. Studnia Jakuba byla najstarsza w okolicy. Miala drewniana cembrowine i dawala najlepsza wode w czterech gminach. Jakub oprzytomnial w ciagu kilku sekund. Zajrzal do studni. Brunatny zaciek i bijacy z wewnatrz smrod nie dawaly zadnych watpliwosci. Ktorys z sasiadow noca podjechal szambiarke i spuscil zawartosc wlasnie tu. Zreszta, slady rury i kol ciezarowki dobrze odcisnely sie w wilgotnej ziemi. Jakub zawyl. Mieszkancy czterech sasiednich gospodarstw, slyszac to wycie, zagrzebali sie glebiej w swoich lozkach. Gdy Jakub byl zly, moglo sie to zle skonczyc. Nawet dla niewinnych. Egzorcysta amator poszedl do swojej chalupy i wydobyl z garnka na piecu kilogramowa kostke trotylu oraz zapalnik. Umiescil trotyl w wiadrze, podpalil lont i spuscil je na dol, przezornie odsuwajac sie jak najdalej od studni. Szczatki belek polecialy na kilka metrow do gory, po czym studnia zapadla sie. Pozostal po niej tylko dol w ziemi gleboki na jakies dwa metry. Jakub splunal ponuro.

Wybuch uslyszalo pol wsi. Ludzie zaszyli sie w chalupach i nie wysciubiali nosa za prog. Jesli Jakub byl w takim nastroju, ze bral sie a materialy wybuchowe, to byl to zdecydowanie dzien, ktory nalezalo przeznaczyc na siedzenie w domu. Lepiej takiemu nie wchodzic w oczy. Wytropienie sprawcy zatrucia studni nie zajelo Jakobowi duzo czasu. Osiodlal konia i ruszyl swiezym jeszcze tropem za pojazdem. Szambowoz nie zrzucil calego ladunku i przez polne drogi ciagnal sie szlak niewielkich plamek fekaliiow. Trop ten doprowadzil Jakuba do gospodarstwa niejakiego Guciuka. To zreszta nawet sie zgadzalo, bo tylko on mial w gminie prywatna szambiarke. Jakub stanal za plotem i patrzyl. Janusz Guciuk wylazl ze swojej chalupy z wiadrem czegos dla swin. Ich spojrzenia skrzyzowaly sie. Gospodarz odstawil wiadro.

-Won dziadu! - Wrzasnal.

Oczy Jakuba zablysy. Wyrok smierci zostal wydany. Pozostawalo jeszcze wymyslic sposob. To bylo najtrudniejsze. Oczywiscie zastrzelenie wroga nie stanowilo tu problemu. Pod chalupa Wedrowyczow zakopany byl caly arsenal. Wystarczyloby tego dobra na stoczenie krotkiej, ale z pewnoscia zwycieskiej wojny z cala armia. Strzelac tez umial, choc oczy na skutek picia roznych napojow byly juz nie tak dobre jak dawniej, wiadomo metanol szkodzi. W celu zdobycia natchnienia Jakub udal sie do gospody. Pomimo wczesnej pory siedzieli tu jego kumple. Wylozyl im swoje zale.

-Zaden problem - powiedzial Jozef Paczenko. - Zajdziemy go w nocy i z karabinami...

Paczenkowie tez zawsze skrzetnie gromadzili bron palna i amunicje, i troche im tego zostalo z dawnych, dobrych czasow.

-Z karabinami robaczki? - Zaciekawil sie posterunkowy Birski z drugiego konca sali.

Ten facet mial koci sluch.

-Z karotenami panie wladzo - sprostowal Jozef. - To takie barwniki roslinne koloru czerwonego. Dodaja ich do tego najtanszego wina.

-Odpada - szepnal Semen Korczaszko. - Uslyszal i nawet, jesli teraz uwierzyl, to skojarzy.

-A moze by go tak bimbrem z jakims dodatkiem? - Zaproponowal Tomasz. - Tak jak we wojne truliscie Niemcow?

Birski wyrosil kolo nich.

-Dobra - powiedzial. - Jakich Niemcow chcecie zastrzelic?

-Wspominamy sobie wojenne przygody - wyjasnil Jakub z godnoscia.

-A to chetnie poslucham - gliniarz przystawil sobie stolec i zamowil po piwie dla kazdego.

Po drugiej kolejce Jakub dal sie namowic.

-No, wiec wlazlem ja i ten caly von Stauffenberg doWolfensteinu. On mial przy sobie przepustke na wypadek gdybysmy spotkali wrogow, a ja nioslem bombe, ta na Hitlera. A to byl juz dziewietnasty lipca i zamach mial byc nastepnego dnia, wiec wyciagalismy nogi w tych korytarzach...

Birski popelnil jeden blad, bo za czesto zamawial nastepne kufle. Dla Jakuba i dla siebie. Jakub snul opowiesc.

-Nu, wiec on pojechal, a ja siedzialem za biurkiem, zeby dopilnowac jak Adolf rozerwie sie na kawalki...

W pijackiej fantazji nie mial sobie rownych. Snul opowiesc, jak schowal sie za palma w czasie, gdy esesmani przetrzasali sztab. Wreszcie dobiegla swojego finalu.

-Zobaczylem jak stoi kolo biurka i nacisnalem detonator. Lup i z Adolfa zostaly strzepy.

-Zaraz, zaraz - Birski troche sie ocknal. - Zamach w Wilczym Szancu sie przeciez nie udal. Czytalem w ksiazkach.

-Ty czytales, a ja widzialem na wlasne oczy - wyjasnil Jakub. - Zaraz udowodnie.

-Ale on prowadził wojnę jeszcze przez pół roku...

-Nie dali jego sobowtóra, bo bali się paniki - egzorcysta poszukiwał czegoś pilnie po kieszeniach. Wreszcie wyciągnął wyschniętą dłoń.

-O macie. Po zamachu zabrałem sobie na pamiątkę. Pare osób wybiegło, aby wymiotować. Birski wpatrywał się w dłoń mumii.

-To jest reka Adolfa Hitlera? - Zdziwił się.

-Jasne.

-A można by sprawdzić odciski palców?

-Masz w prezencie i postaw jeszcze jedno, bo muszę już lecieć.

Birski pstryknął palcami. Przyszła kelnerka.

-Jeszcze dwa duże - poprosił.

Stuknęli się kufłami i wypili. Birski patrzył z jakimś zdziwieniem, jak Jakub odlatuje jak rakieta, wyrывая w suficie dziurę.

-Stan nieważkości? - Zdziwił się.

Cała knajpa kreciła się dookoła własnej osi. Gdy podniósł głowę spostrzegł, że dziury w dachu już nie ma. Ludzie w gospodzie mieli głowy psów, krow i koni.

-To na pewno derilium - pomyślał, waląc się pod stół. Knajpa zakreciła się dookoła własnej, a może jego, osi.

Gdy się zatrzymała, stali nad nim Adolf i jakiś drugi.

-Jasna cholera kapitanie, co pan narobił? - Wydarł się na niego Hitler.

Wrzeszczał głosem aspiranta Rowickiego.

-Trzeba go chyba do izby wytrzeźwien, ale najpierw musimy go trochę docucić. Najważniejsze to trzeba mu trochę wywalić z żołądka. Dam mu trochę środka wymiotnego, ale może wyciągniemy go na zewnątrz.

Birski rozpoznał mówiącego.

-Heil Hitler doktorze Mengele - wybelkotal, a potem walnął głową o ziemię.

Nad głową załopotały mu nazistowskie flagi. A może to były plastikowe obrusy w

gospodzie? Tymczasem Jakub szedł przez pola do domu. Cześć jego umysłu zaczęła być alkoholem, ale pozostałe dziewięćdziesiąt procent, których człowiek normalnie nie używa, u niego pracowało na przyspieszonych obrotach. Z głębin głowy wypelzały wspomnienia. Te prawdziwe. Szedł ulicą Lubelską w Chełmie, zaraz po wojnie. Z bramy wyjrzała rozczochrana dziewczyna.

-Może skorzysta pan z niebywalej okazji i da sobie powróżyć? - Zapytała.

-Nie wyglądasz na Cyganke.

-Ja tylko naganiam klientów mistrzowi. Niedrogo...

-Dobra.

Wszedł w bramę, potem do piwnicy. Facet, który tam siedział, wyglądał na Araba albo Turka. Siedział za biurkiem. Miał na sobie wytarty radziecki mundur. Przed nim paliła się świeca i leżała stara księga w skórzanej oprawie.

-Proszę podać mi lewą dłoń - powiedział dość łamana polszczyzną.

Jakub wyciągnął rękę. Chiromanta odczytał całą jego przeszłość jak z książki.

-Niestety, w przyszłości nie osiągniesz ani szczęścia, ani majątku, powiedział.

-To też jest tu napisane? - zdziwił się przyszły egzorcysta, patrząc na swoją dłoń.

-Tak. Brak linii odpowiedzialnych za bogactwo. A linia życia jest krociutka i wroży jeszcze najwyżej dwa lata.

Jakub poskrobał się w głowę.

-A jak to powinno wyglądać, żeby było dobrze? Mag otworzył książkę, i pokazał mu rysunek ludzkiej dłoni z zaznaczonymi liniami.

-Tak jak tutaj - powiedział. - To rysunek dłoni szczęśliwej.

-Mogę sobie to przerysować?

-Proszę.

Jakub odrysował sobie obrazek na kawałku jakiegoś gazety. Za wizytę zapłacił srebrną, przedwojenną dziesięciozłotówką.

Nim doczłapał do chalupy, był już prawie trzeźwy i nawet miał plan. Plan był szatanski. Szatanski w każdym calu. Następnego dnia rano wykopał zagrzebany pod progiem słoik z dolarami i wsiadł w pociąg. Późnym popołudniem wysiadł z pociągu na dworcu w

Warszawie. Jego wiadomości okazały się dobre. Po drugiej stronie Alei Jerozolimskich w podziemiach świeżo otwartego hotelu Marriott był Pewex. Siedząca z łada paniienka zamarła ze zdumienia, gdy do sklepu wtoczył się malowniczo obdarty typ.

-Słuchaj no, kicia, macie tu różne kosmetyki? - Zagał przymilnie.

-Mamy różne kosmetyki. Ale tu się płaci dolarami. Jakub wyciągnął z kieszeni grubą plik studolarowych banknotów.

-Macie coś na zmarszczki?

-Kilka różnych środków.

-Dobra. Daj mi dziesięć albo lepiej dwadzieścia tubek najmocniejszego.

Zamrugła oczami, ale posłusznie podała mu zadany specyfik. Zapłacił bez mrugnięcia okiem.

-Jak nie zadziała, to wróć tu i spal ten kurnik - zapowiedział i wyszedł.

O świcie był już z powrotem w Wojsławicach. Była czwarta rano. Guciuk spał jeszcze snem sprawiedliwego w swoim plugawym barlogu, gdy Jakub przeniknął cicho na jego podwórze. Koło szambiaraki stał duży słoik pełen żółtawego kremu ochronnego do raka. Jakub uśmiechając się szatancko, wcisnął do słoika dwadzieścia tubek masek przeciw zmarszczkom i wybeltał zawartość patykami. Zemsta, Zemsta, Zemsta!

Minęło kilka tygodni. Z Guciukiem działo się coś dziwnego. Zawsze był dość majątny, ale teraz niespodziewanie zbankował. Jego żona uciekła. Przy robocie też mu nie szło. Szambiaraka psuła się raz po raz. Pewnego dnia, jakiś miesiąc z kawałkiem po wycieczce do Warszawy, Jakub siedział w gospodzie i słuchał opowieści Tomasza.

Tomasz powiadał właśnie zmyślane przygody z czasów jak pływał z rybakami po Bałtyku. Doszedł właśnie do wstrząsającego kawałka o tym, jak zaatakował ich wieloryb. Kawałek był podbudowany książką Julesa Verne'a "Waz Morski" i obejrzanym u syna na video filmem "Szczeki", toteż było czego posłuchać. Niespodziewanie wszedł Guciuk. Choroba wyniszczyła go tak, że wyglądał jak żywy trup. Popatrzył na Jakuba z nienawiścią.

-To ty - wycharczał. - To twoja robota.

A potem oczy nagle wywróciły mu się białkami do góry i wywalił się jak długi. Pochylili się nad nim. Już nie żył. Jakub ujął dłonią nieboszczyka i odwrócił ją wewnętrzną stroną do góry. Skóra była idealnie gładka. Jak laminowana powierzchnia stołu. Milicja i lekarz weszli po chwili. Odsunął się od ciała. Wiedział już wszystko.

Birski i Rowicki stali w pomieszczeniu prosektorium w szpitalu miejskiego w Chelmie. Na

stalowym stole lezalo ciało Guciuka. Obok stal lekarz z plikiem kartek pod pachą.

-No coż - powiedział. - Nie znajduje tu żadnych przyczyn.

-Jak to żadnych? - Zaniepokoił się Birski. - Jaka była przyczyna zgonu?

-Wedle naszej wiedzy nie było żadnej ani naturalnej, ani nienaturalnej. To wygląda jakby życie z niego jakos wyciekło.

-Trucizny, alkohol, narkotyki? - Zapytał Birski.

-Nic z tych rzeczy.

-A może sugestia post-hipnotyczna? - wtracił się Rowicki.

-Jeśli pan umie wykazać na drodze sekcji zwłok sugestie post-hipnotyczna, to proszę bardzo - lekarz wykonał zachęcający gest w stronę ciała.

-A to nie dałoby cię wyciąć dziury w głowie i zobaczyć, o czym myślał? - Zaciekawiał się posterunkowy.

Lekarz wznosił oczy ku niebu.

-A ja myślałem, że te wszystkie dowcipy o milicjantach to tylko tak...

-Dobra, dobra - powiedział Rowicki. - Od myślenia to my tu jesteśmy. Więc nie ma żadnych śladów?

-Żadnych.

-Zbrodnia doskonała! Szefie mamy przypadek zbrodni doskonałej!

Posterunkowy westchnął.

-Nie ma zbrodni doskonałej. Nie uczyli cię?

-A ja myślałem, że to ten przypadek, co potwierdza każdą regułę.

-Wiem, kto zabił.

-Kto? - Zapytali jednocześnie Rowicki i lekarz.

-Jakub Wedrowycz oczywiście. Mamy motyw, bo podobno Guciuk spuścił mu szambo do studni. Mamy ciało i nawet zeznania świadków, bo zanim denat się przewrócił to powiedział do Wedrowicza, że to wszystko jego wina.

-Ciekawe, co wszystko? - Zamyslił się podwładny.

-Jakies dodatkowe ślady? - Zapytał lekarza.

-Tak. Na rekach miał resztki masek przeciw zmarszczkom produkcji kapitalistycznej.

-Masz swoją zbrodnię doskonałą! Ta maska jest oczywiście toksyczna?

-Nie. Zupełnie nieszkodliwa.

-A w bardzo dużej ilości?

-Też nie. Z całą pewnością to nie ona spowodowała zgon. W narządach wewnętrznych nie ma po niej nawet śladu.

-Ale Wedrowycza i tak, i tak przymkniemy - postanowił Birski.

-Może jednak sugestia?

-Co ty. On jest na to za głupi.

Jakub wdrapał się na wzgórze. Wiatr wiał taki jak wtedy, gdy Beria dusił Stalina poduszką. Jak tamtego wieczoru dwudziestego lipca, czterdziestego czwartego w Wilczym Szancu. Bo i dzisiaj zginął człowiek. Wszystko zapisane jest w liniach, a gdy nie ma linii, to nie ma też przeznaczenia. Gdy nie ma linii życia, to też oczywiście...

Wracając do chalupy, oddawał się wspomnieniom. Wtedy czterdzieści lat temu, po wyjściu od chiromanty, odczuwał strach. Dwa lata życia. Ale Wedrowycze nigdy nie poddawali się losowi. Nigdy. Kupił butelkę piwa i usiadł na ławce, w parku. Należało się spieszyć. Wypił piwo i rozbił flaszkę. Kartkę z rysunkiem położył obok siebie na ławce. Przygniotł ją kawałkiem cegły, aby nie odleciała. Z kawałkiem szkła przystąpił do pracy.

Zaczął od linii życia. Ryjąc szklanym odpryskiem w ciele, przedłużył ją sobie aż na drugą stronę dłoni. Potem wgryzł się w ciało, tworząc grubą i wyraźną linię bogactwa. Wyszła mu słicznie. Na koniec zostawił sobie linię szczęścia. Za ledwie ją skończył, zza zakretu alejki wyszła asystentka chiromanty. Ozeńił się z nią pół roku później.

A jeszcze rok później zaciął się w dłoń drutem i powstała kolejna linia. Ta odpowiedzialna za paranormalne zdolności. I został egzorcysta... A linia pecha sprawiająca, że bez przerwy go pudłowali do mamra, powstała przez pomyłkę przy podważaniu wieka trumny pewnego domniemanego wampira. I nawet nie wiedział, że ona tam jest. Radiowóz ryknął silnikiem i wyjechał z wawozu. Jak zwykle... Pogotowie

Jakub Wedrowycz dreptał w zadumie ulicami obcego miasta. Coś mu nie pasowało. To chyba nie była Warszawa. W stolicy był już kilka razy. Nie umiał powiedzieć, co jest nie tak.

Domy były niby podobne, ludzie też chodzili normalnie poubierani, nawet mówili tym samym językiem...

-Kurde - skwitował. - Ide na dworzec, kupię bilet do Chelma i spróbuję jeszcze raz od tamtej strony...

Przysiadł na skwerku i wyciągnawszy z kieszeni piersiówkę pociągnął solidny łyk. Nieoczekiwanie przed ławką na której siedział zatrzymała się karetka.

-Skoraj pomoszcz - odcyfrował bezbłędnie czerwony napis cyrylicą zdobiący bok pojazdu. Drzwi uchylily się gościnnie.

-Zdrastwujcie gospodin, wy by chcieli pojechać? - rozległo się nad jego uchem.

Pielegniarka miała na oko dwadzieścia lat. Nosila biały fartuch, co nie było rozpięty tu i owdzie. Pod fartuchem też była ubrana - w pas do ponczoch. I nic poza tym.

-Wot te na! - krzyknął radośnie egzorcysta i wskoczył do środka.

Wewnątrz karetki jedna dziewczyna właśnie robiła reanimację metodą usta - usta jakiemus gogusiowi w garniturze, ale trzy pozostałe obdarzyły staruszkę szerokimi uśmiechami.

-Minutoczku - egzorcysta wyciągnął z kieszeni paczkę podrabianej ukraińskiej viagry i od razu połknął połowę tabletek.

-Muuu!!! - zawył jak szalona krowa i rzucił się do dzieła. Karetka, chybcząc się na wszystkie strony, pedziła przez miasto. Pierwszy wyskoczył nagi biznesmen w krawacie. Potem pojazd opuścili, skacząc w biegu, wszystkie dziewczyny.

-Cholera - mruknął Jakub patrząc na pobożowisko.

Wszędzie poniewierały się podarte ponczochoy, fartuchy i inne części garderoby. Pojazd ciągle jechał, więc zająrzył do szoferki.

-Co je tak wymiotło? - zapytał szofera.

Ten nic nie odpowiedział. Wpatrywał się zdumiony w przyrodzenie egzorcysty sterczące z rozporka...Wiele w życiu widział, ale...

-A, pal diabli - mruknął klient - dziewczyny uciekły to chodź ty. Jebat chociaż się - dodał po rosyjsku.

Kierowca porzucił swoje miejsce pracy i oddalił się klusem. Egzorcysta w ostatniej chwili zapanował nad pojazdem i wbił go w opuszczone ogrodki działkowe. Rozejrzył się wokół. Nigdzie w zasięgu wzroku nie było widać niczego żywego. Psy i koty też się pochowały.

-Nie to nie - wzruszył ramionami.

Schowal ptaka do nogawki, a wystajacy kawalek umiescil w cholewie gumofilca. Kurtke od ortalionowego dresu, jak sie okazalo, podarl w calym tym zamieszaniu, ale na podlodze poniewierala sie marynarka biznesmena. Ubral sie w nia z obrzydzeniem i wysiadl z pojazdu.

-Dobra, a teraz na dworzec - warknal.

Cos poruszylo sie w jego lewej cholewie, ale przyladowal kopa i ruchy ustalyl. Viagra powoli parowala i egzorcysta mogl juz normalnie myslec. Ruszyl spieszny krokami przez miasto. Niebawem dotarl do duzego wezla drogowego. Nie namyslajac sie wiele wszedl na asfalt. Przeciez go nie rozjada...Nie przewidzial, ze te bardzo duze ciezarowki z przyczepami moga miec problemy z hamowaniem...

W karetce pogotowia zagdakil interkom.

-Mengele? - rozlegl sie glos dyspozytora. - Jest cos dla ciebie. Facet z wypadku, wpadl pod tira, jeszcze zyje, ale...

-...sie rozumie - usmiechnal sie lekarz. - Dwadziescia procent dla ciebie.

-Trupiarz dalby dwadziescia piec...

-Ale on jest frajer, co bys zrobil, gdyby jego klient przezytl? Gowno bys dostal. A u mnie nie ma strachu...

-Tez racja. Ale podnies mi stawke..

-Bedzie trzeba to podniose...Ja tez musze chlopakom dole odpalic - wylaczyl mikrofon ucinajac dyskusje. - Dluugo nie pociagnie. Ducholap, gaz do dechy - polecil kierowcy, - a ty, Skoro-lapka, przygotuj sprzet...

Denat w garniturze i gumofilcach lezal na poboczu. Kierowca tira robil mu masarz serca.

-Zyje? - zafrasowal sie Mengele.

-Na to wyglada - powiedzial kierowca. - Nie wiem jakim cudem, mialem z 80 na liczniku, jak wylazl mi pod kola. Miotnelo nim ze dwadziescia metrow...Zderzak do wymiany...

-Spoko, teraz my sie nim zajmiemy...Zaladowali egzorcyste na nosze i ruszyli z piskiem opon. Kierowca uruchomil radio i rozpoczal negocjacje.

-Dom Pogrzebowy "Wesola Wdowka"? Ile dacie za skore? 1800? Malo..."Ostatnia posluga"? Mamy dla was sztywniaka. 1700? wypchajcie sie. "Usmiech losu"? Mamy truposza...Dwa tysiacie? Ok. dorzuccie jeszcze dwie setki i jest wasz...Zalatwione - zwrocil

sie do szefa.

-Jak tam nasz ptaszek? - ten zwrocil sie do Ducholapa. - Jeszcze dycha...Sukinsyn. Moze mu pavulonowi strzyknac?

-Szkoda dobrego srodka. Zatkaj mu czymys gebe i po klopocie.

Pielegniarz sprobował reka. Nieoczekiwane zawyl.

-Odgryzl mi palec, pierdolony...

-W leb go czymys ciezkiem, zanim sie obudzi! Z wypadku jedzie, nikt sie nie przyczepi do obrazem...

Podwladny wyciagnal z szafki specjalnie naszykowana cegle i przyladowal lezacemu w glowe.

-Bez skutku, ciagle oddycha.

-Zlam podstawie czaszki. Co ty, pierwszy dzien jeździsz w pogotowiu?

Jakub dal sie odwrocic...Pielegniarz zdzielil go z calej sily tuz ponizej potylicy.

-Kurde - egzorcysta opedzil sie jak od komara.

-Nie skutkuje.

-Sily nie masz, daj to mnie.

Lekarz przeszedl na tyl i wlasnorecznie przydzwonil pacjentowi w czache.

-No, juz nie wstanie - mruknal uspokoiony.

Jakub jakby wbrew jego slowom uniosl dlon i zaczal przecierac zaspiane oczy.

-Gdzie ja jestem? - rozejrzal sie wokolo.

-W karetce - warknal Mengele. - Trzy, cztery, dusimy!

Przygnietli glowe Jakuba kawalem gumy. Pluca przestaly pracowac.

-Ufff - odetchnal Ducholap opatrujac nadgryziony palec.

-Sprawdz prace serca - polecil drugi pielegniarz. Rozerwali koszule na piesi lezacego.

-Nie oddycha, ale serce bije!

-Bredzisz, niemożliwe!

-Kaftan bezpieczeństwa, znowu się budzi!

Musieli zjechać na pobocze. Do okielznania siły starca potrzeba było trzech silnych mężczyzn. Viagra czyni cuda.

-Co z nim robimy? - zapytał Skoro-lapka.

-Kroplówka - zdecydował lekarz.

-A co do środka? Formalina?

-Nie, za łatwo wykryć. Ale gdyby tak pół litra! Wody! Z solą fizjologiczną. Powie się, że wykorkował z przepicia...

-Od pół litra?

-A co ty myślał nieuku, żołądek rozkłada 90 procent alkoholu. Pół litra w krwioobiegu to tak jakbyś 5 litrów wypił...

Dwadzieścia minut później zrobili kolejny postój.

-Ciągłe oddycha, ale serce nie bije - zameldował Ducholap.

Wspólnymi siłami wyciągnęli nosze z przywiązany egzorcysta i zanieśli do pobliskiego parku. Zaraz z brzegu znajdowała się sadzawka z fontanną. Rozhustali i wrzucili nosze do wody. Schowały się całe.

-Ja ci pooddycham bydlaku! - Mengele skakał po trupie pilnując, aby w żadnym miejscu nie wystawał na powierzchnię.

-A co panowie tu robią? - zagadnął przechodzący policjant.

-Wieziemy chorego cierpiącego na zakażenie gronkowcami - powiedział Ducholap. - Skoczyła mu gorączka, musimy natychmiast schłodzić bo wykorkuje...

-Ale nie trzymajcie go za długo w wodzie, bo się zaziębi - zafrasował się gliniarz.

-Spokojna głowa - Mengele przestał deptać ciało - Znamy się na tym, nie pierwszozna nam...

Po kwadransie wyciągnęli trupa z sadzawki.

-No, wszystko w porządku - powiedział zadowolony Skoro-lapka badając ciało stetoskopem. - nie oddycha, serce nie pracuje...Nie przyczepia się, że mokry?

-Pochmurno dzisiaj, powiemy że na autostradzie deszcz padał - pouczył go zwierzchnik. -
Dobra, wieziemy go, i tak dużo czasu zmarnowaliśmy...

Piec minut później powrócił oddech. Trzy pary oczu spojrzały na leżącego z nienawiścią.

-Tu trzeba zastosować radykalne metody - mruknął kierowca.

Zatrzymał się w zaułku. W skrzynce z narzędziami znalazł się zwoj miedzianego drutu.
Zaczepili go do trakcji tramwajowej.

-No to raz, dwa, trzy - polecił Ducholap. Przytknęli druty do skroni nieboszczyka.

-Jasna cholera! - zawył egzorcysta szarpiąc się na noszach. Zaraz jednak oklapł i zwiłczał.

-Dobra, już po nim - ucieszył się lekarz. - Do prosektorium.

Wedrowycz otworzył jedno oko i popatrzył na niego, po czym przezornie je zamknął...

Dyzurny w prosektorium już czekał.

-Widzę, że przywieźliście pięknego sztywniaka...

-Dwie stowy dla ciebie. Rano beda ci z "Uśmiechu losu". Trochę trzeba go będzie
podmalować, żeby się rodzina nie czepiała...

Na obu skroniach Jakuba widac były wielkie plamy kopcia po porażeniu prądem. Dyzurny
przełożył zwłoki na wózek i nakrył przescieradłem.

-Nie mogliście jakos delikatniej? - skrzywił się.

-Cholernie żywotny był. Ledwo dalismy rade - mruknął Ducholap. - Robimy jutro grilla. Może
wpadniesz?

-Jasne...Gdzie tym razem?

Ciało przykryte calunem lekko drgnęło jakby nastawiło ucha.

Ledwo za kolesiami z pogotowia zatrzasnęły się drzwi kostnicowy złapał za telefon
komorkowy.

-Halo? Profesor?

-Tak, o co chodzi?

-Chciał pan pokroić jakiegos sztywniaka? I miało być po cichu. Na lewo...

-Jest cos?

-Za trzysta złotych. Gosc z wypadku, nikt sie nie przyczepi ze pokiereszowany.

-Bede za pol godziny...

Profesor i jego student pochylili sie nad nieboszczykiem. Jakub wygladal nie gorzej niz zwykle, kostnicowy zmyl okopcenia na skroniach, sciagnal tez cale ubranie.

-Niezly okaz i w sumie malo uszkodzony - mruknal profesor. - Prosze zwrocic uwage na te plamy.

-Plamy opadowe, pojawiaja sie na zwlokach kilkanascie godzin po zgonie - blysnal wiedza uczen.

-Brawo. Co nam potrzeba do kolekcji dydaktycznej?

-Watroba sztuk jeden, cztery nerki, jelito cienkie, serce...- przeczytal z kartki.

-Ale sztuka - mruknal profesor patrzac na przyrodzenie Jakuba. - Natura obdarzyla. Tez utniemy. Bedzie mozna straszyc studentki - usmiechnal sie oblesnie.

-W sumie to troche nieetyczne - mruknal student. - Rozumiem jak ktos zapisuje zwloki do badan ale tak po cichu wycinac...Przeciez mozna by skorzystac z plastikowych modeli...

-Nie przyszlismy tu dyskutowac o moralnosci tylko zaiwanic troche potrzebnych nam kawalkow. - Profesor wyraznie sie wkurzyl. - Chrzanmy etyke, kolekcja dydaktyczna jest najwazniejsza...

Ujal w dlon skalpel i wykonal naciecie skory na brzuchu. Ze srodka wionelo zapachem starej gorzelni.

-Co jest? - zdziwil sie. - Ktos te zwloki konserwowal? Gosc wpadl pod ciezarowke a nie zachlal sie na smierc...Zreszta, niewazne. Hmmm. A moze zaczniemy od tego.

Ujal siurka egzorcysty w dlon i przylozyl skalpel do nasady.

-Ty zasrany pedale! - zawyl nieboszczyk zrywajac sie na rowne nogi. - Sam se ptaka obetnij!

Piec minut pozniej profesor lezal nago, zakneblowany i przywiazany do stolu. Jakub wciagal na siebie jego garnitur. Zszokowany student wbil sie kat prosektorium i szczekal zebami.

-A ty co? Ocipial? - huknal na niego Wedrowycz. - Mowisz, ze co tam wam potrzeba do kolekcji dydaktycznej?

Splunal z pogarda na lezacego. Skalpel wsadzil do kieszeni - przyda sie. Spojrzal ponownie na skulonego.

-Cos ty taki otumaniony?

-Plamy...Pan mial plamy opadowe...- wyszczekal zebami. - to znaczy...

-Ty, konowal, jakbys zamiast koniaku pil denaturat tez bys mial plamy - prychnal egzorcysta. - I morda w kubel co tu sie stalo bo wroce i zrobie wam taka sekcje, ze do konca zycia popamietacie, a i na tamtym swiecie bedziecie mieli co opowiadac.

Wyszedl trzaskajac drzwiami. Student popatrzył na zwiazanego wykladowce. Na jego twarzy pojawil sie wredny usmiech.

-Rozwiaz mnie do cholery - wsciekl sie uczony.

-Najpierw pogadamy na temat pewnego zaleglego egzaminu...- wydobyl z kieszeni indeks.

Uwolnil jedna reke. Po chwili zadowolony schowal ksiazeczke do kieszeni i ujal w dlon ciezki metalowy taboret.

-Wybaczy pan to nic osobistego ale liczba trupow musi sie zgadzac. Zreszta sadze, ze pan zrozumie. Ostatecznie sam pan powiedzial zeby chrzanic etyke, a kolekcja dydaktyczna jest najwazniejsza...

Czterej konowalowie wracali z grilla duzym fiatem. Wypili po kilka piw, prowadzilo im sie bardzo dobrze, spiewali sobie nawet momentami. Pocisk pancerfausta uderzyl w tyl wozu i pojazd fiknal koziolka...Minute pozniej kolo wraku zatrzymala sie, wyjac syrena, karetka reanimacyjna. Jedyny swiadek wydarzenia byl zachwycony szybkościa, z jaka sluzba zdrowia przyszla rannym z pomoca. Zdziwilo go tylko, ze nieprzytomnych do pojazdu wrzucal tylko jeden, zupełnie siwy sanitariusz w gumofilcach...

-Co sie stalo? - Mengele z trudem otworzyl oczy.

Byl we wnetrzu karetki reanimacyjnej. Jego kumple tez powoli dochodzili do siebie. Sylwetka kierowcy wydala im sie dziwnie znajoma.

-Mieliscie wypadek, ale udalo wam sie przezyc - powiedzial sanitariusz siedzacy za kierownica. - Ale nie bojcie sie, do kostnicy jeszcze daleka droga, mamy mase czasu. No i pare rzeczy do obgadania. Tylko zjade tu w bok do lasu, zeby nam nikt nie przeszkadzal...

Radiowoz zatrzymal sie kolo porzuconej karetki. Na boku samochodu czerwienil sie piekny napis cyrylica "Skoraja pomoszcz". Dwaj policjanci wysiedli i podeszli do pojazdu.

-No, siostrzyczki, mamy was. Koniec kariery - wyzszy zapukal w karoserie pistoletem. -

Wysiadka...

Drugi szarpnął drzwi. Widok wewnątrz był naprawdę drastyczny. Przez chwilę obaj czytali krwawy napis na ścianie.

-O kurde - młodszy policjant szarpnął się do tyłu.

-E, lipa - powiedział jego szef. - Hannibal Lecter nie pisze się przez "ch".

A potem też zemdlal.

Spotkanie z pisarzem

Jakub Wedrowycz pogwizdując wesoło wskoczył do autobusu jadącego na dworzec. Z kieszeni wyciągnął wymiety, wielokrotnie skasowany bilet i wpuścił go w szczelinę kasownika. Na bilecie przybyło dziurek, a jedna jego część odpadła i została wewnątrz. Było już dość późno, nad Warszawą zapadł ciepły sierpniowy zmrok. Na następnym przystanku wsiadł wampir. Jakub rozpoznał go od razu. Zresztą nie było to trudne. Wampir miał na sobie długi czarny płaszcz na czerwonej podszewce, nienaturalnie blada cera i dziwnie wyglądające zęby. Jakub cofnął się odruchowo a jego dłoń wsunęła się za pazuchę i namacała stalową linke hamulcowa zaopatrzoną w pętle. W autobusie było jednak sporo ludzi.

-Zaatakuję go to się na mnie rzuci - mruknął sam do siebie. - Trzeba czekać.

Przejechali sześć przystanków, po czym wampir przesiadł się do innego autobusu. Egzorcysta przeskoczył zrezygnownie za nim. Przejechali jeszcze kilka przystanków i wysiedli na jakimś wygwizdowie. Koło wiaty wampir spotkał kilku kumpli. Jakub już miał zaatakować, ale zawahał się.

-Przewaga sześć do jednego - mruknął - Trochę dużo. Trzeba będzie po jednym szczytać.

Ruszył za nimi wzdłuż plotu jakiejś budowy. Niebawem zakreślił w ciemną uliczkę. Sześć wampirów weszło do okazałego budynku podpartego kolumnami.

-Wydział Matematyki - przeszybał Jakub napis na tabliczce koło drzwi. W drzwiach stali jacyś dwaj wachmani, którzy zezwolili na akredytację. Takowej nie posiadał przemknął się od tyłu. Zgodnie z jego przewidywaniami natrafił na okienko od piwnicy. Wślizgnął się zrezygnownie do środka. W piwnicy stały jakieś metalowe beczki. Beczki miały niepokojąco znajomy kształt. Jakub odszukał kontakt i zapalił sobie światło. No tak. Przeczucie go nie myliło. W beczkach było piwo. Odbił pokrywę. Napój pozbawiony był białek, więc włożył do środka rękę i przez chwilę beltalnia złośliwa ciecz. Potem przypiął się do rantu beczki i wypił duszkiem ze cztery litry. Rozejrzał się po piwnicy i zauważył porzuconą przez kogoś szklanke.

-Trzeba kulturalnie - mruknął sam do siebie. - A nie tak z gwinta beczki obalac.

Dwie godziny później, gdy poziom plynu opadł o połowę a pod ścianą pojawiło się jedenastu brzydko pachnących kaluz Jakub doszedł do wniosku, że wypadaloby zajac się działalnością podstawową. Niezbyt sobie wprawdzie przypominał po co tu przyszedł, ale ufal, że mózg włączy mu się w odpowiednim momencie samoczynnie.

Właśnie przeciągał się gdy zazgrzytał w zamku klucz. Egzorcysta zamarł w kacie. Do wnętrza wszedł wysoki szczupły młodzieniec.

-O cholera - zaklął na widok rozbitej beczki. - Jakis proletariat się wdarł.

Zapewne dokonalby jeszcze wielu interesujących spostrzeżeń, ale w tym momencie Jakub trzasnął go od tyłu pokrywa beczki w głowę. Rozciągnął powalonego wroga na podłodze. Sprawdził długość jego zębów, ale jak się okazało były zupełnie normalne. W kieszeniach nie było nic nadzwyczajnego, ale na piersiach powalonego przyczepiono plakietkę z napisem "Organizator".

-Chy! Przepustka - wydedukował egzorcysta.

Przypiął ją sobie do kurtki po czym pobrzekując peczką kluczy ruszył w głąb budynku. Wszedł po schodkach na parter. Natrafił na niedużą salę w której jakieś szczeniaki suwały figurkami po makietach. Zaraz potem na korytarzu natknął się na chłopaka w kolczudze, który podał dokądś z kuszki malowniczo przewieszona przez ramię.

-Sprzedaj - zagadnął Jakub.

Chłopak pokręcił przecząco głową i dopiero widok złotej piętnastorublowki go zmieknął. Egzorcysta zajrzał do kolejnej sali, gdzie jakiś człowiek mówił o czymś otoczony przez gromadkę słuchaczy. Pod jednym z siedzących Jakub wypatrzył odpowiednie krzesło. Podeszedł i bezceremonialnie wyciągnął je.

-Co jest? - wściekł się słuchacz. - Oddawaj!

Jakub musnął palcami identyfikator.

-Prezes kazał - zelgał.

Słuchacz ustąpił i przesiadł się na inne krzesło stojące pod ścianą. W drzwiach Jakub obejrzał się jeszcze na przemawiającego. Ich spojrzenia spotkały się.

-Jakub? - zdziwił się prelegent.

Egzorcysta zaczął się zastanawiać. Skąd znalazł te szczera szeroka słowiańska twarz. Chyba? Aż tak. To wredne oblicze widniało na rozlepianych nocą w Wojsławicach listach

gonczych. Z kieszeni wyjął wymięta ulotkę.

Za szkalowanie ojczystej ziemi, a w szczególności rodzinnej wsi

Poszukiwany!

Andrzej Pilipiuk.

Zywy lub martwy, (najlepiej martwy).

Nagroda sto litrów samogonu!

Mieszkańcy wsi Wojsławice

Uniosł kuszę, ale przypomniał sobie że nie ma pocisków. Wybitny literat pomachał do niego radośnie.

-Następnym razem grafomanie - warknął z nienawiścią Jakub.

Błysnął złotymi zębami i zatrzasnął drzwi. Wycofał się do piwnicy z piwem. Ogluszony zaczął przychodzić do siebie, więc związał go i zakneblował. Krzesło roztrzaskał o ścianę. Zza cholewki kamasza wyjął bagnet i zrecznie wystrzelał dziesięć beltów.

-Prawdziwe osikowe drewno - mruknął. - Teraz się zabawimy.

Wszedł na piętro i przyspilił do ściany ogłoszenie:

Uwaga! Wszystkie wampiry proszone są na naradę.

Piwnica nr. 06.

Przyczaił się za beczkami i czekał. Pierwszy wampir nadszedł po niespełna pięciu minutach. Jakub położył bagnet na prowadnicy i zwolnił spust. Kulek trafił prosto w serce. Odcignął zabitego za beczki i znowu czekał. Po godzinie liczba kulek zmniejszyła się o osiem. Wyciągnął zwłoki przez okienko. Za budynkiem biegł wykop pod jakimiś kablami. Ułożył w nim zabitych i starannie przysypał. Założył na beczkę pokrywę i wyciągnął ją przez okienko.

-To na drogę - mruknął, choć nikt go nie pytał.

Tocząc beczkę przed sobą omiął budynek. Teraz dopiero zauważył rozpięty nad ulicą transparent:

Polcon Warszawa 1999

-Ciekawe co to takiego ten Polcon - mruknął sam do siebie. - Sprawdź muszę w słowniku.
?? ?? ?? ??

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2009-11-30

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/